

WYBORY PREZYDENCKIE

Łukasz Warzecha krytycznie
o szansach Karola Nawrockiego



Mentzen kontra Braun
– wojna w Konfederacji

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 12/621 17–23 MARCA 2025

CENA 12,90 Zł (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

KSIĄDZ MICHAŁ
CZAJKOWSKI
– DONOSICIEL
BEZ SKRUPUŁÓW



Jak celebryci influencerzy
wprowadzają w błąd
swoich fanów

SUPERPAŃSTWO Z OBAWY PRZED PUTINEM

Unijczycy wykorzystują strach przed Rosją do federalizowania UE

EMMANUEL MACRON, URSULA VON DER LEYEN, FRIEDRICH MERZ, DONALD TUSK

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



9 772299 850000

Nakład: 43 500 egzemplarzy

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

DEKADA CHAOSU I NADZIEI



Od transformacji do frustracji – Miliony Polaków w latach 90. walczyły o lepsze życie, „grając” na bardzo nierównym „boisku”

Polska w mackach mafii – Gangsterzy czuli się bardzo pewnie w pierwszych latach III RP. Słabe państwo kapitulowało przed mafiami

Sprawiedliwi z Nankinu – Japończycy zamordowali w tym mieście ok. 300 tys. Chińczyków. Bohaterscy obcokrajowcy uratowali tysiące osób

Jak Canuck z Jankesem – Wydawałoby się, że Kanadyjczycy i Amerykanie powinni żyć obok siebie jak świetnie dogadujący się kuzyni. Nic bardziej mylnego

Ostatni powstaniec – Stanisław Brzóska był księdzem dowódcą oddziału walczącego w powstaniu styczniowym, stawiając opór jeszcze długo po klęsce zrywu

Nazistowskie zaloty – Hitler przez kilka lat przymilał się do Polaków, starając się przeciągnąć Warszawę na swoją stronę

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Wyklęte słowa wracają

Z każdym dniem bardziej zaczynam troszczyć się o tych polskich komentatorów, ze szczególnym uwzględnieniem prawicowych, którzy tak bardzo i tak bezwarunkowo zaangażowali się po stronie Ukrainy. Niemal codziennie bowiem muszą zderzać się z wypowiedziami i czynami przedstawicieli amerykańskiej administracji, które to do niedawna uchodziły w ich oczach za przejaw propagandy Moskwy, narracji prorosyjskiej, głosu Putina itd., itp. Gdyby myśleli konsekwentnie, musieliby uznać i nie wykluczam, że najbardziej rozgorączkowani bliscy są przyjęcia takiej tezy, że w Waszyngtonie zasiadł ukryty agent Putina, który teraz złośliwie i absurdalnie niszczy wielki dorobek swojego poprzednika, Joe Bidena, i właściwie całego Zachodu.

Jednak takie postawienie sprawy – obecna administracja Białego Domu składa się z grupy putinowskich agentów lub pożytecznych idiotów Moskwy – mimo swych zalet, z których największą jest prostota, ma też poważne wady, zdaje się bowiem ocierać o szaleństwo. Prowadziłaby ona do uznania, że macki Kremla są tak potężne, iż wprowadziły do Waszyngtonu całą grupę szpiegów – nie tylko prezydenta, lecz także szefa wywiadu i ministra spraw zagranicznych oraz w ogóle wszystkich ważnych obecnie Amerykanów. Można w to wierzyć. Jednak czy nie jest to droga do Tworek? Jak do tej pory najbardziej konsekwentnym wyznawcą podobnych teorii zdaje się Tomasz Piątek. Czyżby część innych publicystów miała mu przyznać rację?

Nie mam wątpliwości, że z tego punktu widzenia dwie szczególnie wypowiedzi wywołały wśród naszych specjalistów wstrząs przypominający nieco efekt tsunami.

Pierwszą była wypowiedź Marca Rubia, amerykańskiego sekretarza stanu, który stwierdził, cytując: „Szczерze mówiąc, jest to wojna między mocarstwami nuklearnymi – Stanami Zjednoczonymi, które pomagają Ukrainie, a Rosją – i musi się ona zakończyć. I nikt nie ma pomysłu ani planu, jak to zrobić”. Coś takiego? W telewizji Fox, a nie dla Sputnika? Marco Rubio? No nie może być. Takie opinie jeszcze niedawno polscy publicyści, jak choćby Piotr Zaremba z „Rzeczpospolitej”, określali „językiem prorosyjskiego i antyukraińskiego medialnego komanda” – warto przytoczyć ten zwrot, bo pokazuje on, że poziom frustracji naprawdę sięga szczytów.

Wprawdzie polski publicysta odnosił te wdzięczne określenia do mnie, ale czynił to dlatego, że pisałem i mówiłem dokładnie to samo, co teraz przyznaje pan Rubio. Jak to się stało, że amerykański sekretarz stanu publicznie deklaruje, że wojna na Ukrainie jest wojną zastępczą między USA i Rosją i nie mówi on głosem Moskwy – to jest dopiero zagwozdką.

Pomogę polskim ekspertom. Pierwsza odpowiedź: Rubio ma rację i polscy publicyści przez ostatnie lata się mylili, bezmyślnie powtarzając tezy zachodniej propagandy wojennej. Odpowiedź druga: Rubio jest idiotą. Trzecia: Jest szpiegiem, kupionym przez Kreml. Przykro mi, ale nie chciałbym być na miejscu takich publicystów, jak wspomniany przeze mnie autor „Rzeczpospolitej”, i być zmuszonym wybrać jedną z trzech odpowiedzi.

Jednak uznanie, że wojna na Ukrainie to wojna zastępcza, w której Ukraińcy odegrali rolę pionka, to niejedyne wyzwanie, z którym muszą się zmierzyć polscy znawcy świata. Jest jeszcze gorzej! Otóż raptem kilka dni temu padło

słowo, które powinno być wyklęte (i faktycznie za sprawą PiS zostało wyklęte). A oto i ono – reset. Stało się ono synonimem zdrady, zaprzaństwa, spisku poprzedniego rządu Tuska z Moskwą. Wystarczyło je powiedzieć i sprawa jasna. Na tym zarzucie o reset była przecież zbudowana najważniejsza część medialnego przekazu prawicy. Tymczasem nagle pojawiło się ono w przestrzeni publicznej i to, gorzej być nie mogło, za sprawą Keitha Kellogga, specjalnego wysłannika USA do spraw Ukrainy i Rosji. „Podejście prezydenta Donalda Trumpa do wojny Rosji z Ukrainą opiera się na szerszej strategii konieczności zresetowania stosunków z Moskwą. Nie można dalej izolować Rosji”. To się po prostu w głowie nie mieści i nic dziwnego, że wielu dotychczasowych ekspertów rwie sobie włosy z głowy i mówi o szaleństwie (publicznie) lub zdradzie (w zaciszu domów). Jak to nie można izolować Rosji?

Ciała polska polityka zagraniczna oparta była na przesvědczeniu, że Rosję trzeba izolować, że jest ona wyłącznym źródłem zła. Prawdziwie patriotyczną politykę można uprawiać tylko tak, jakby Rosji nie było, co w rezultacie miało prowadzić do tego, że ona naprawdę zniknie, najlepiej grzecznie rozpadając się. Zamiast tego Moskwa bierze udział w rozmowach.

Teraz najgorsze: Nowy dyrektor CIA John Ratcliffe i szef rosyjskiego wywiadu Siergiej Naryszkin odbyli w zeszły wtorek rozmowę telefoniczną. Uzgodnili regularne kontakty w celu zmniejszenia napięcia między USA i Rosją – donoszą media. Dla polskich zagończyków to prawdziwy koniec świata i koniec wszystkiego. Piekło zamarzło. Przecież z takimi ludźmi jak pan Naryszkin się nie rozmawia. ©

TEMAT TYGODNIA

16 WOJCIECH GOŁONKA

SUPERPAŃSTWO ZE STRACHU PRZED PUTINEM

Kolejny pretekst do federalizowania UE

19 ROZMOWA Z GEN. LEONEM KOMORNICKIM

POCZĄTEK KOŃCA NATO?

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

HARCOWNIK UNII

KRAJ

26 ŁUKASZ WARZECHA

KAROL NAWROCKI I PIS, CZYLI SŁOŃ W POKOJU

Skutki bezbarwnej kampanii

30 PAWEŁ ZDZIARSKI

MENTZEN KONTRA BRAUN – WOJNA W KONFEDERACJI

32 ANNA MANDRELA

BOHATEROWIE WCIAŻ WYKLĘCI

34 RADOŚLAŃ WÓJTAS

SZCZĘŚCIE W KONSERWIE

36 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

JAK CELEBRYCI INFLUENCERZY WPROWADZAJĄ W BŁĄD SWOICH FANÓW

KULTURA

38 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK

FILMOWE ORLICE I ORŁY Z „TEGO KRAJU”

Dokąd zmierza polski film

40 PIOTR GOCIEK

CZARNY WTOREK

42 MICHAŁ MURGRABIA

PODRÓŻ DO SAMOPOZNANIA

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, GRA

OPINIE

48 JAN FIEDORCZUK

ZAKOCHANI W TRUMPIE

Miłosne zaślepienie polskiej prawicy

51 PIOTR SEMKA

NIKT NIC NIE WIE, CZYLI UKRAIŃSKI FILM Z AMERYKAŃSKIM KAPITAŁEM

54 LECH MAŻEWSKI

DLACZEGO REALIŚCI PRZEGRALI?

56 PAWEŁ CHMIELEWSKI

NOWA DATA WIELKANOCY?

HISTORIA

58 RAFAŁ ŁATKA

KSIAŻDZ MICHAŁ CZAJKOWSKI – DONOSICIEL BEZ SKRUPUŁÓW

Czarna karta Kościoła „otwartego”

ŚWIAT

64 MACIEJ PIECZYŃSKI

CZYM GROZI WOJENNA TRAUMA

Trwały ślad wojennego koszmaru

EKONOMIA

68 JAKUB WOZINSKI

NA WSCHODZIE BEZ ZMIAN

Rosyjska gospodarka stabilna,
lecz bez perspektyw

71 JACEK PRZYBYLSKI

STWÓRZ WŁASNE „500+”

PODRÓŻE



74 JACEK PAŁKIEWICZ

SZOKUJĄCA KOPALNIA

Na nieludzkiej ziemi

NA PIERWSZY OGIEŃ

Szelest spadających autorytetów



PIOTR SEMKA

Przyznam państwu, że przegapiłem pewną ważną rocznicę. Ale już się połapałem i naprawiam zaniechanie. Dwadzieścia lat temu, 27 lutego 2005 r., powołano w Warszawie nowe ugrupowanie: Partię Demokratyczną – Demokraci.pl. Powołali ją politycy Unii Wolności oraz dawnego SLD. Inicjatorami ze strony UW byli Władysław Frasyniuk, Tadeusz Mazowiecki i Janusz Onyszkiewicz. Ze strony byłych postkomunistów partię współtworzył ówczesny premier Marek Belka i ekonomiczny guru dawnego SLD Jerzy Hausner. Pod deklaracją ideową Partii Demokratycznej podpisał się cały crème de la crème ówczesnego salonu. Kogóż tam nie było! Zbigniew Bujak, Marek Edelman, Piotr Fronczewski, Agnieszka Holland, Marek Kondrat, Waldemar Kuczyński, Kazimierz Kutz, Daniel Olbrychski, Jerzy Pilch, Andrzej Seweryn, Joanna Szczepkowska, a nawet Zbigniew Zapasiewicz.

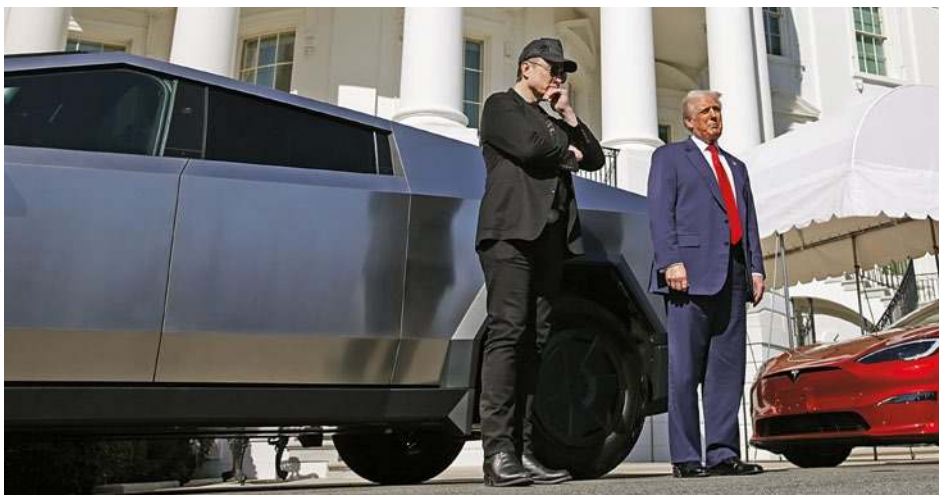
Na pierwszym kongresie partii Władysław Frasyniuk tryskał optymizmem. Chwalił się, że są de facto partią władzy, ponieważ

ówczesny premier Marek Belka jest ich człowiekiem. Było to oczywiście urojenie, bo Belka przewodził dryfującemu rządowi, który po odejściu Leszka Millera wegetował na bazie dawnej SLD-owskiej większości sejmowej.

Zimny prysznic pokazujący, jak bardzo czasy się zmieniły, przyszedł jesienią. W wyborach do Sejmu w 2005 r. demokraci nie przekroczyli progu wyborczego. A przecież na czołówkach jej list umieszczono takie lokomotywy wyborcze jak Tadeusz Mazowiecki w okręgu warszawskim, Władysław Frasyniuk we Wrocławiu i Marek Belka w Łodzi. Cóż z tego, skoro w skali kraju Demokraci.pl zdobyli wynik 2,45 proc. głosów. W wyborach prezydenckich Partia Demokratyczna wystawiła kandydaturę dość popularnej wówczas bizneswoman – Henryki Bochniarz. Jednak „Nika” Bochniarz uzyskała tylko 1,26 proc. głosów. A potem było coraz gorzej. W końcu, po latach biedowania, partia demokratów wyzionęła ducha w 2016 r.

Dlaczego opowiadam państwu o tym epizodzie? Bo tamten

polityczny happening wymyślony przez Frasyniuka, Mazowieckiego i Onyszkiewicza był spełnieniem lansowanej w połowie lat 90. przez Adama Michnika idei „sojuszu mądrych”. Naczelną „Wyborczej” marzył, by pod parasolem wygranej prezydenckiej Aleksandra Kwaśniewskiego stworzyć partię, która połączyłaby lewicę postsolidarnościową i postkomunistów. Ale na przeszkodzie do tego wymarzonego scenariusza stały najpierw wygrana Akcji Wyborczej Solidarność w 1997 r., potem ambicje Leszka Millera, a wszystko zagłuszyła afery Rywina. Ta ostatnia tak doszczętnie skompromitowała środowisko Unii Wolności i – z drugiej strony – SLD, że utorowało to drogę do władzy zarówno Donaldowi Tuskowi, jak i Jarosławowi Kaczyńskiemu. Tylko sędziwy Tadeusz Mazowiecki oraz niegrzeszący specjalnie politycznym sprytem Władysław Frasyniuk myśleli wciąż, że trzeba zrealizować ideę sojuszu czerwonych z różowymi. No cóż. Obie strony spóźniły się wtedy o dobre 10 lat. A dziś niespecjalnie chcą pamiętać o ówczesnej hiperkompromitacji. ©



CZY TRUMP URATUJE TESLĘ?

Po tym, jak akcje Tesli zanurkowały 10 marca o ponad 15 proc. w reakcji na dane o słabej sprzedaży w USA i za granicą, odnotowując tym samym najgorszy dzień od czterech lat, Donald Trump ruszył na pomoc Elonowi Muskowi. Prezydent USA zamienił Białą Dom w salon wystawowy Tesli i obiecał, że kupi zupełnie nowy model tej marki. W środę tygodnia kurs Tesli odbił, ale w czwartek znów przeważali sprzedający. Od początku roku akcje Tesli straciły na wartości ponad 43 proc. (jap) ©

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Radosław Wojtas (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiękiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmicki, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarniecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki,
Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper,
Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk, Piotr Litka,
Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz,
Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzecki, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromejczyk, Jakub Wozniński,
Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: Karol Gac z zespołem: Zuzanna Dąbrowska-
Pieczyńska, Małgorzata Puzyn, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin
Bugań, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Sienkowski, Łukasz Żygadło

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, **Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska**, **Magda Zubrycka-Wemerowska**,
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYŚOWNICY: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzysztopa**
Okładka: **Neil Hall/EPA/PAP**, **Olivier Matthys/EPA/PAP**

WYDAWCA: Do Rzeczy SA

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, **Orle Pióro SA**, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej **PMPG Polskie Media SA**, notowanej na GPW.



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, **Jolanta Kloc**

Zarząd Spółki Do Rzeczy SA:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:

Joanna Gosek, **Joanna Nowakowska**

+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00

e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:

Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88

e-mail: prenumeratawarszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasa@poczta.pl

www.poczta.pl/prenumerataprasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829 Nakład: 43 500 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Okres dojrzewania

Szanowni Państwo,
w książce „Kalendarz i klepsydra” **Tadeusz Konwicky** zauważył, że postępujący proces infantylnizacji dorosłych doprowadzi w końcu do tego, że cofną się oni do okresu krótkich spodenek i zaczną przyszywać szkolne tarcze na rękawach.

Ostatnia wizyta prezydenta Ukrainy w Białym Domu stanowi egzemplifikację tego trendu.

Przybysząc do Ameryki na negocjacje pokojowe w sprawie swojego zrujnowanego nie swoją wojną i wyludnionego kraju, głowa ukraińskiego państwa prezentowała postawę „gadaj zdrów”, typową dla okresu dojrzewania. W najświeższym gabinecie świata zarośnięty, odziany w dres, arogancki, nadąsany 47-letni mężczyzna kontestował gestem i słowem dużo starszego od siebie, eleganckiego przywódcę. Jakby chciał zaimponować swojej „pacze” z podwórka. I faktycznie zaimponował, przynajmniej oficjalnie.

Swoją postawą „na złość mamie odmrozić sobie uszy” pan **Zełenski** mógł zaszkodzić nie tylko swojej ojczyźnie, lecz także całej Europie. Jednak chłopaki z amerykańskiego podwórka okazali się silniejsi. Nie ma wyjścia – trzeba udać się do Canossy.

Smieszno i straszno, jak tигра j....!

Z poważaniem
Ewa Kowynia

„Przez okulary rosyjskie”, Jan Bogatko, „DRz” nr 10/2025

Szanowna Redakcjo!
Z wielką wdzięcznością przeczytałam artykuł pana **Jana Bogatki** na temat „Russlandversteher”, postawy absolutnie powszechnej w Niemczech. Zabrakło tylko tam informacji o tym, że Rosja płaciła przez wieki ogromne pieniądze na to, żeby tak właśnie było. Propaganda niemiecka zawsze przedstawiała Rosję jako kraj, z którym należy współpracować, nieważne, jaki on jest, natomiast Polskę po prostu

przez lata zamilczano. Polski w świadomości Niemców po prostu nie ma. Byłam tam w szkole i uczyłam się tam historii i wiem, jak to wyglądało.

Jaskrawym przykładem skutków takiej edukacji było dla mnie przykre zdarzenie, gdy kiedyś jako studentka zwiedzałam Europę i w Hiszpanii w schronisku młodzieżowym przy śniadaniu zagadałam do pewnego studenta z Niemiec. To był rok 1996, a więc już kilka lat po zjednoczeniu. Kiedy na pytanie o to, skąd jestem, odpowiedziałam, że z Warszawy, usłyszałam: „To gdzie w Rosji jest, tak?”.

To było jak wymierzony w twarz policzek. Szok. Człowiek przyszłych elit, student prawa w Wiesbaden, nie wie, że sąsiednim krajem jest Polska i jej stolicą jest Warszawa. I to nie był student z NRD, gdzie propaganda rosyjska była jawnie obowiązującą wersją prawdy o świecie, ale z RFN, czyli tych niby lepszych Niemców. Pod jakim względem lepszych?

Artykuł pana redaktora **Bogatki** jest kroplą w morzu potrzeb, jeśli chodzi o ukazanie, co siedzi w niemieckich głowach, bo naprawdę jako społeczeństwo jesteśmy omamieni wizją Niemców, która jest kompletnie oderwana od rzeczywistości. Ktoś wszędzie musi przebić ten mur kłamstwa, który przez lata budują Niemcy wspólnie z Rosją na temat Polski i Polaków.

A swoją drogą polecam swoją książkę „Checkpoint Isabella”, która od poniedziałku będzie w sprzedaży. Tam opisuję, jak to było naprawdę z tym obalaniem muru berlińskiego.

Z wyrazami szacunku
Kamila Zagórska

Od autora

Bardzo dziękuję Pani za list i słowa uznania. Oczywiście pisałem felieton, a nie książkę, i permanentnie trawi mnie, podpisując materiał, pytanie, czy zawarłem w nim wszystko. Otóż nie – zawsze jest niezbędny ciąg dalszy.

Zaproszenie do lektury z chęcią przyjmę.

Jan Bogatko

Zacznijmy od siebie

Nie pochwalam chamskich odzywek. Zwłaszcza w miejscach publicznych. Pogróżki z sali sądowej w kierunku

Emmanuel ofiarowuje parasol atomowy



kogośkolwiek powinny być karalne. Lecz przypomnę, że to z ust pana D. Tuska padły już chyba 20 lat temu określenia na starszych ludzi: moherowe berety! Określenie pod adresem mojego pokolenia. Było to i jest nadal przykre, bo nastolatki jadące autobusem tak określiły mnie, gdy zwróciłam im uwagę na ich niegrzeczne zachowanie w miejscu publicznym.

Kolejne sformułowania przed pewnymi wyborami także ze strony zwolenników PO: zabierz babci dowód! Wulgarnie odzywki polityków takich jak Palikot czy inni stronnicy PO pod adresem innego stronnictwa były tak powszechne, że aż zaczęły uchodzić bezkarnie. Wniosek: kij ma dwa końce. Przykre, że jeśli bije kogoś innego, to uważamy, że można, a reagujemy dopiero wtedy, gdy biją nas lub kogoś z naszych. Dbajmy o kulturę języka, ale zacznijmy od siebie! [...]

Z poważaniem
K. Dudziak

Niskie loty TVP

Nie ma rządów Jacka Kurskiego w telewizji, a poziom audycji telewizyjnych nadal pasujący do świetlicy w remizie strażackiej: powtórki, seriale tureckie czy hiszpańskie, a nawet jeśli polskie, niby historyczne, to z błędami merytorycznymi, brakiem ze strony realizatorów wiedzy historycznej, także z dziedziny języka i kostiumologii. TVP Kultura uszczęśliwia powtórkami, reklamami, zapraszaniem do studia pseudoartystów i artystek, którzy szokują, owszem, brakiem kultury, może też tatuażami powodującymi, że albo lepiej odwrócić oczy, albo wyłączyć telewizor.

Przypomina mi się sytuacja sprzed lat, z powodu której naraził się środowisku artystycznemu Poznania Piotr Bernatowicz, kiedy skrytykował zachowanie jednej z artystek na wernisażu: pani, absolwentka ASP, zaprosiwszy gości na swój wernisaż, wyeksponowała w stronę przybyłych swoje plecy, bo to miał być jej gest w stronę widzów: artystka odwrócona plecami do wchodzących udawała skupienie się nad czynnością dość pospolitą, jaką jest obieranie ziemniaków!

Jeśli ta czynność jest sztuką, to nie ma co urządzać wernisaży, bo tę sztukę masową uprawia każda gospodyni w domowej kuchni kilka razy w tygodniu. Pisząca te

słowa też. Sztuka wymaga metafory, aluzji, niedomówienia. Nie prostactwa. Radio, telewizja winne dbać o propagowanie kultury wysokiej. Jeśli uprawia ktoś satyrę, to musi wyostrzyć język, jak żyłkę (pozdrawiam Dwóch Panów G.). Publicysta nie może ani pisać, ani mówić, jakby umiał operować tylko siekierą lub tępą piłą.

Przy okazji odsyłam do niby-nowoczesnej, niedawno otwartej placówki w Warszawie w pobliżu Pałacu Kultury i Nauki. Świadomie nie używam nazw „galeria” ani „muzeum”. Placówka zaprasza do oglądania nierówno pociętych kawałków drewna brzoźowego. W sam raz na wsad do kominika. Mnie też tak krzywo wychodzi cięcie, bo ręka seniorki już mniej sprawna, narzędzie niewyostrzone... A wokół wielu bezrobotnych, lecz trudno o robotnych.

Genowefa Świątkoń,
Katowice

„Trzy lata wojny o niepodległość. Czy to mało?”, Piotr Semka, „DRz” nr 9/2025

Szanowny Panie Redaktorze! Pan Piotr Semka w numerze 9/2025 „Do Rzeczy” daje do zrozumienia, że dzięki trzyletniej wojnie, okupionej ciężkimi stratami, Ukraina zdefiniowała swoją tożsamość. Nie pisze jednak, jaka to jest tożsamość, choć oczywiste jest, że państwową ideologią Ukrainy jest banderyzm. Oczywiście ta ideologia jest groźna dla Polski, ale przede wszystkim dla Ukrainy. Na kulcie morderców nie da się zbudować nic dobrego.

Z poważaniem
Mariusz Dzierżawski,
Słomczyn

Od autora

Ubolewam, że nie zrozumiał Pan sensu mojej uwagi, że „dzięki trzyletniej wojnie,

okupionej ciężkimi stratami, Ukraina zdefiniowała swoją tożsamość”.

Chodziło mi o ogromny wysiłek Ukraińców, aby obronić swoją podmiotowość i niepodległość od Rosji. Państwową ideologią Ukrainy nie jest dziś banderyzm, ale standardy demokratyczne typowe dla dzisiejszych państw zachodnich. Kwestią sporną między Polską a naszymi sąsiadami ze Wschodu jest obecność pamięci

o ideologach i aktywistach OUN, a potem UPA w oficjalnej ukraińskiej polityce historycznej.

Aby podjąć szerszą polemikę z Panem, musiałbym wiedzieć, co rozumie Pan pod nazwą banderyzm. Ten termin używany jest w polskiej debacie publicznej w sposób bardzo rozciągliwy.

Piotr Semka

„Ukraińskie zapętlenie”, Łukasz Warzecha, „DRz” nr 8/2025

Brawa dla p. Łukasza Warzechy. „Ukraińskie zapętlenie” to doskonała analiza ukraińskiej rzeczywistości. Dziękuję za przybliżenie mi niektórych kwestii. „Do Rzeczy” jest jedynym tygodnikiem, który nie boi się pisanie prawdy.

Pozdrawiam serdecznie
Cecylia z Poznania

Od deski do deski

Szanowni Państwo! Prenumeruję i czytam od deski do deski „Do Rzeczy”.

Mam pewność, że przeczytam prawdziwe wiadomości na tematy polityczne, społeczne, gospodarcze, kulturalne.

Chciałam szczególnie podziękować panom piszącym w nr. 6/2025:

1. Dwom Panom G. – z humorem opowiadającym o poważnych sprawach
2. Młodemu Wykształconemu i z Wielkich Ośrodków – świetna parodia korpo
3. Jak zwykle śmieję się w głos, czytając „Ćwierkot” Sławomira Jastrzębowskiiego – Via Trociana prowadząca do Owальной Wygody – dla mnie bomba!

4. Nawet zwykle poważny prof. Grzegorz Kucharczyk napisał „[...] pani minister do spraw równości i wszystkiego najlepszego Katarzyna Kotula, która kulturowo czuła się magistrem [...]”.

Zresztą wszyscy redaktorzy są świetni!

Barbara Świdarska z Warszawy
(ale pravicowa i konserwatystka)



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Rolkowanie lemingów

Jedno trzeba premierowi Tuskowi przyznać: jako polityk jest pionierem i, jak dotąd, mistrzem wykorzystania nowoczesnego sposobu komunikowania się, którym są tzw. rolki (w niektórych społecznościach zwane też „reelsami”). Rolka czy też „reels” to filmik, który z zasady zaraz znika. Gwiazda pokazuje albo mówi coś tam, kto ma zalajkować, lajkuje, po czym obiektu lajkowania nie ma, pozostaje ogólne wrażenie, że coś było fajnego. George Orwell musiał w swoich czasach projektować całe systemy poprawiania przeszłości, dziś przeszłość nie istnieje z założenia. Tym samym sfera komunikacji społecznej we współczesnych demokracjach zbliżyła się do opisanego w bada-

niach Bronisława Malinowskiego „wiecznego teraz”, w którym żyją ludy prymitywne.

I tę właśnie zmianę doskonale rozumie Tusk, a nie potrafią jej pojąć jego zanurzeni w dawnych nawykach konkurenci, którym ciągle się wydaje, że jak powiedzą „a”, to będą kiedyś musieli powiedzieć „be”, a przynajmniej, że ktoś ich w końcu o to „be” zapyta. Nikt nie zapyta, bo rolka z „a” była wczoraj i już znikła.

Przykład najnowszy: nastrój chwili wymaga, żeby powiedzieć coś, co stworzy wrażenie, że władza rozumie powagę sytuacji. No to premier strzela: „Chcemy mieć do końca roku gotowe ogólne założenia szkolenia wojskowego wszystkich dorosłych”. Co to zna-

czy? Nic. Ja np. mogę powiedzieć, że chcę mieć do końca roku kopalnię miedzi, i to na Marsie. Ale ludzie staroświeccy myślą, że jak premier coś mówi, to coś znaczy, więc pytają: Jakie szkolenia? Obowiązkowe? No bo dobrowolnie każdy może się szkolić, np. w WOT, już od lat, i wielu to zrobiło. Wszyscy to znaczy kobiety też?

Wszyscy – powiada zagadnięty o to premier – to znaczy 100 tys. może. A w ogóle to, o, patrzcie, puszczam nową rolkę: PiS zdraycy, Erdoğan pomoże nam wygrać z tym wrogiem demokracji Trum-pem. I zanim ktoś spyta, jak można u brutalnego dyktatora szukać ratunku demokracji przeciw prezydentowi USA, wygaśnie i to. I tak od rolki do rolki. A Jagodno lajkuje. ©©



MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

O polską Ostpolitik

W czasach Zimnej Wojny funkcjonowała, a raczej manifestowała się prosta zasada geopolityki. Zuchwałość i ostrożność rosły i malały w zależności od geograficznego dystansu wobec ZSSR. Wielka Brytania była bardziej antysowiecka niż Francja, Francja bardziej niż Niemcy. I tak samo na północy – Norwegia bardziej niż Szwecja, Szwecja bardziej niż Finlandia.

Ciekawy jest przypadek Niemiec. Willy Brandt, człowiek, który wyznaczył kierunek ich współczesnej polityki, uważał, że jeżeli utrwali się podział Niemiec, to z dwóch państw powstaną dwa narody, więc w niczym nie naruszając niemieckiej pozycji w Przymierzu

Atlantyckim, stał się radykalnym orędownikiem odprężenia. Oczywiście w tle była również świadomość, że wojna w Europie może Niemcom przynieść jeszcze większe zniszczenia niż te, które sami sobie zgotowali w drugiej wojnie światowej.

Tak, Niemcy długo pracowali, by jeszcze kanclerz Scholz mógł powiedzieć, że ich „kraj został zjednoczony dzięki przewidującym politykom i wsparciu partnerów zarówno z Zachodu, jak i ze Wschodu”.

Polska, odzyskawszy niepodległość, powinna mieć jeszcze więcej powodów, by pokój w Europie uznać za zasadniczy nakaz naszej racji stanu. I by mieć świadomość,

że o ile w naszym położeniu możemy realnie wzmocnić każdą politykę Zachodu, o tyle nie mamy potencjału, by komukolwiek ją narzucić.

Ostrożna determinacja, to nie kwadratura koła? Nie, dowodzą tego nie tylko współczesna historia Niemiec, lecz także przykład Turcji w czasie toczącej się wojny, jej mocne wsparcie dla Ukrainy i jednocześnie ustawiczne, wręcz monotonne wspieranie prób pokojowych. Bo w ogóle, parafrazując mądrego Stefana Kisielewskiego, powiedzieć można, że dla kogo utrwalenie niepodległości „jest za mało atrakcyjną ideą, ten nie jest w ogóle godzien miana polskiego patrioty”. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



c e z a r y k r y s t o p a

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O włoskich gołąbkach pokoju

Swiat wypada z wiązań, nowy szeryf w Waszyngtonie pokazuje Europie figę, Ukraina płonie, a kagebista na Kremlu idzie po to, co – jak twierdzi – mu się należy i nie wiadomo, gdzie się zatrzyma. Śmiertelnie zagrożona Unia zareagowała planem ReArm Europe. A włoska szajbolewica i Matteo Salvini, wicepremier, arcy populistyczny szef Ligi, nadają swoje. Jak się wydaje, prosto z Marsa.

Giuseppe Conte, dwukrotny premier Włoch, szef Ruchu 5 Gwiazd: „Szalony plan horrendalnych wydatków na zbrojenia Ursuli von der Leyen! A co z naszymi rachunkami za energię i upadającą służbą zdrowia?”. Angelo Bonelli, rzecznik Zielonych: „Wojna spycha na drugi plan wielki kryzys

klimatyczny. A to prawdziwy wróg, którego musimy pokonać. Trzeba to szaleństwo zatrzymać dla dobra Europy!”. Maurizio Landini, szef największej centrali związkowej CGIL: „Szaleństwo! Te pieniądze to finansowanie Stanów Zjednoczonych. Przecież od nich będziemy kupować broń!”. Gianfranco Pagliarulo, szef Stowarzyszenia Partyzantów Włoskich: „Zbrojenie państw wywołuje i wzmacnia nacjonalizm!”. Ruch Przeciw Przemocy: „Nie buduje się pokoju na zbrojeniach!”. Związek Deportowanych do Obozów Nazistowskich: „Muszą się wsłuchać w głos przeciwników zbrojeń!”.

Wtym samym chórze, choć po drugiej stronie politycznej barykady,

śpiewa wicepremier Salvini: „ReArm Europe to był bardzo zły wybór. Paradoxem jest, że można teraz wydać 800 mld na zbrojenia, ale nie można zainwestować dodatkowo jednego euro na opiekę zdrowotną i szkoły. Gdybyśmy mieli dziś armię europejską, Francja i Niemcy już by nas wysłały na wojnę na Ukrainę. Italia musi bronić swoich interesów i nie może dać się w to wciągnąć”. Na swoich stronach internetowych Liga publikuje sondaż, z którego wynika, że 67 proc. Włochów jest przeciw zwiększaniu wydatków na zbrojenia. Słowem, parafrazując poetę, „niech na całym świecie wojna, byle włoska wieś zaciszna, byle włoska wieś spokojna”. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

NA WASZINGTON!

W Polsce powinien powstać oddział celebrytów zaangażowanych, którzy najadą na Białą Dom i obalą Donalda Trumpa. Naprawdę. Dowodzącym musi koniecznie zostać Krzysztof Zalewski, ponieważ muzyk, jak zachwycają się mainstreamowe media, „wykazał się wielką odwagą”. – Walić Trumpa i wszystkich jego współpracowników – stwierdził wokalista w śniadaniówce Polsatu. – Wsparcie dla wszystkich demokratycznych przywódców, którzy chcą obalić tego wariata – dodał Zalewski. Przypomnijmy, że wyraz niechęci do obecnego prezydenta Stanów Zjednoczonych artysta dał już wcześniej, gdy powiedział, że „Trump jest szalonym mizoginem, nie



FOT. PAMEL WODZIŃSKI/FAST NEWS

lubię gościa”. Co w ogóle nie zaskakuje, jednym tchem zadeklarował poparcie dla Donalda Tuska. – Kibicuję ekipie rządzącej. Wszystkie te sprawy, które są ważne dla mnie i dla ciebie, zostaną w końcu rozwiązane. Zdaję sobie sprawę, że polityka to nie jest bułka z masłem i trzeba się tam ugadywać, więc dajmy im chwilę czasu. Trzymam kciuki, że wszystko uda się zrobić tak, jak było zapowiadane, mocno w to wierzę – przekazał Zalewski. Kaczyńskiego obalili, to i z Trumpem sobie poradzą.

NIE WSZYSTKO ZŁOTO

Sandra Kubicka i Aleksander Baron rozwodzą się. Ta wiadomość zaszokowała portale plotkarskie i obserwatorów życia celebryckiej pary. No bo jak to tak? Wielka miłość, ślub, dziecko, wyznania miłości w sieci i idealne życie. Tymczasem po raz kolejny okazuje się, że Instagram Instagramem, a prawdziwe życie... No właśnie. „W grudniu 2024 r. złożyłam pozew o rozwód. Dlaczego go złożyłam, wiemy tylko my z Aleksandrem oraz nasi najbliżsi. Nie będę wchodzić publicznie w szczegóły tego, co dokładnie się wydarzyło, zachowam to dla sądu – zaznaczyła na początku oświadczenia Sandra. Przez wiele miesięcy próbowaliśmy jeszcze się dogadać i nauczyć, jak podzielić opiekę nad dzieckiem. Ja też miałam momenty zaważania i chciałam jeszcze spróbować zawalczyć o to, by Leonard miał dwóch rodziców obok siebie w jednym domu. Niestety, nie udało nam się porozumieć” – poinformowała modelka. „Mimo że się rozstajemy, na zawsze zostajemy wspólnie rodzicami Leonarda. Jeśli Aleksander będzie chciał mieć stały kontakt z synem, to oczywiście nie będę mu go utrudniać, tak jak nie robiłam tego do tej pory, wręcz odwrotnie, miesiącami walczyłam, aby chciał spędzać z nim czas” – zarzuca Kubicka mężowi. „Mimo przykrych sytuacji chcę powiedzieć głośno, że niczego nie żałuję. Chciałam być mamą i byłam świadoma, że życie drastycznie się zmieni. Dzięki Aleksandrowi mam największy dar, jaki mogłam dostać od życia – naszego syna Leonarda” – podkreśla celebrytka. Na koniec przypomniała swoim fanom, że nawet osoby publiczne borykają się ze zwykłymi problemami. „Pamiętajcie, że to, co widzicie w social mediach, to urywek życia. Każde z nas przechodzi przez to inaczej, na swój sposób i w swoim tempie. Proszę dla dobra naszego dziecka, abyście zachowali przykre komentarze dla siebie. Nasza rodzina się rozbiła i jest to wystarczająco bolesne dla nas i naszych bliskich” – zakończyła

modelka. Jak to Instagram potrafi zakłamać rzeczywistość...

KTO Z KIM?

A teraz „news”, do którego przydatny byłby jakiś wykres pokazujący, kto jest kim. W skrócie: syn Edyty Górniak, Allan Krupa, rozstał się z Nicole Pniewską, córką Barta Pniewskiego. Rozstanie miało być dalekie od pokojowego. Pan Bart, podobno znany biznesmen milioner, opowiedział mediom o kulisach owego rozstania. To z kolei bardzo nie spodobało się projektantce mody Ewie Minge, która zarzuciła Pniewskiemu, że sprzedaje prywatę tylko po to, aby zrobić sobie reklamę. Na odpowiedź pana Barta nie trzeba było długo czekać. Ojciec eks Allana Krupy nagrał filmik, w którym odniósł się do zarzutów. Przekonuje, że Minge to hipokrytka, ponieważ sama chce się wybić na aferze, która jej w ogóle nie dotyczy. Zapowiedział też, że rozważa podjęcie kroków prawnych. – Pani Minge mimo tego, że dostała ode mnie szereg informacji, szereg screenów, zamiast zakończyć całą dramę, ciągnęła ją jeszcze w większy i bardziej perfidny sposób [...]. Nie ma nic bardziej perfidnego, niż na czyjejs dramie próbować zarabiać pieniądze i promować siebie oraz swoje produkty. Ja pani jasno wytłumaczyłem, że nie ja naruszyłem prywatność naszych dzieci – mówił. – Pani Minge nie zdecydowała się wycofać [...]. Nie pozwolę, żeby ktoś na mnie pluł. Okazała się ogromną hipokrytką i też dlatego z moim działem prawnym rozważamy złożenie pozwu – dodał biznesmen. – Minge stwierdziła również, że pani Edyta pod osłoną nocy zabrała ze studia to, co należało do Allana... Skąd może wiedzieć, co do kogo należało? Stwierdziła, że pani Edyta jest wspaniałą matką. Skąd może wiedzieć, skoro w wiadomości do mnie stwierdziła, że nigdy bliżej jej nie poznała? Całe to zajście ma jedno na celu. Przypomnienie o sobie i na czyjejs dramie wypromowanie swoich produktów. Hipokryzja największego kalibru – podkreślił pan Bart. Ciąg dalszy z pewnością nastąpi. Niestety. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, strasznie się zdenerwowaliśmy, ale też zawstydziliśmy. Prawie zrobiliśmy coś nielegalnego, ale ukazał nam się świecki duch współczesnego patriotyzmu i na szczęście udało nam się uniknąć zachowania, za które wstydziłoby się nasi potomkowie na 10 pokoleń do przodu. Ale po kolei.

Otóż zauważyliśmy, iż mamy dziurawą skarpetkę. Co prawda, tylko jedną, druga była dobra, jednak – jak dobrze wiecie – noszenie skarpet nie od pary jest po prostu modne, a więc uznaliśmy, iż jedną skarpetę wyrzucimy, drugą zostawimy i będzie git.

Zeszliśmy więc do zamkniętej wiaty śmietnikowej na naszym zamkniętym osiedlu, iżby tam do pojemnika na śmieci zmieszane wyrzucić dziurawą na pięcie czarną skarpetę z napisem „SPORT”. Nasza niewielka mikroosobówka znajduje się na takich przedmieściach Krakowa, iż na najbliższy przystanek komunikacji miejskiej musimy iść pół godziny (ale asfaltową drogą), więc w okolicy nie ma żadnego punktu, do którego można byłoby wyrzucić używane ubrania.

Weszliśmy więc do tej wiaty i chcieliśmy tę skarpetę wyrzucić i czmychnąć, iżby nikt nas nie zauważył, ale wtem w naszej głowie rozległ się głos mówiący: „Wstyd!”; a nam pojęcie wstydu jest bardzo bliskie, więc się zatrzymaliśmy i pomyśleliśmy, i doszło do nas, iż wyrzucając tę skarpetę do kontenera na nią nieprzeznaczonego, zaprzepaszczałyśmy wysiłki

ustawodawcy, który tak pomysłowo nam znowelizował ustawę o utrzymaniu czystości i porządku w gminach.

Wiadomo, że stara skieta to nie jest jakiś tam odpad, który można po prostu wrzucić do kosza i o nim zapomnieć; jest to odpad, którego zarządzaniem pokazujemy nasz stosunek do takich



współczesnych obowiązków patrioty jak segregowanie odpadów, zbieranie kup po psieku czy niepalenie papierosów.

Dlatego oświeceni w ten sposób z radością pojedziemy do najbliższego PSZOK, gdzie zutylizujemy skarpetę, zrobimy może nawet z tego relację na insta, iż jako influencerzy jesteście odpowiedzialni za dawanie przykładu innym, którzy stają na skraju podobnej zbrodni przeciw środowisku, naturze i organizacji państwowej.

Nie wiemy, czy zauważyliście, ale właśnie mija pięć lat od ogłoszenia pandemii. Pamiętacie, jak było? Zakaz wchodzenia do lasów, spacerów po ulicach z zachowaniem dystansu od współdomowników, godziny sklepowe dla osoboseniorów, studia zdalne, praca zdalna, wszystko zdalne.

Z jednej strony wspominamy z rozrzewnieniem ten jasny podział forsonowany w najważniejszych mediach na zaszczepionych, odpowiedzialnych i zatroskanych patriotów oraz na ciemnotę foliarską, która szczepić się nie chciała i w związku z tym, jak napisała piórem swojego dziennikarza pewna gazeta, której kiedyś nie było wszystko jedno, należałoby jej odebrać smak życia. No i te ekskluzywne paszporty kowidowe, niemal jak przepustka do lepszego świata. Gdyby tylko można było z nią pójść w czasie zamknięcia lasów na grzyby, to pewnie poszlibyśmy na grzyby, mimo iż nigdy nie byliśmy na grzybach.

Z drugiej strony było to jednak niezręczne, kiedy wdzwanialiśmy się na calla o godz. 10 w pidżamie i z łóżka, a niektórzy patrzyli na nas z politowaniem, iż tak nie wypada. No i jednak nie można było wyskoczyć na miasto, pójść na koncert, no jednak słabo.

Of kors nie tęsknimy za kowidem, ale jakby obecna władza pomyślała, jak by można było odebrać smak życia wszystkim tym januszom, prawakom i innej ciemnocie, to byłoby spoko. ☺☺



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Dobry czy zły?

Radek, Trump w końcu jest zły czy nie?

Ale, Szymon, pytasz o dzisiaj czy w ogóle?

Inaczej: Czy dzisiaj mam mówić, że jest dobry czy zły?

A jak mówiłeś wczoraj?

Że zły.

No właśnie. Ale teraz jest problem, bo właśnie wczoraj wieczorem zaczął cisnąć Putina.

To może powiem, że dobry jest? Bo inaczej na onucę wyjdę...

Nie możesz tak z dnia na dzień, bo ktoś ci wyciągnie. Trzeba odczekać z tydzień. I w tym czasie jakoś powoli zmieniać zdanie.

Ale on za tydzień może coś nowego odwalić.

W sumie racja. To jak cię zapytają, mów, że PiS jest zły. To się zawsze sprawdza. ☺☺

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Musk za to zapłaci”.

GENERAL WALDEMAR SKRZYPczAK

w „Expressie Biedrzyckiej” o ostrej odpowiedzi Elona Muska na atak, który pod jego adresem przypuścił Radosław Sikorski

POLITYCZNY CHAOS W RUMUNII

Sąd Konstytucyjny Rumunii (CCR) podtrzymał w ubiegły wtorek decyzję Centralnego Biura Wyborczego (BEC) o ostatecznym odrzuceniu kandydatury populisty Călina Georgescu w powtórzonych wyborach prezydenckich.

„Jeśli demokracja w Rumunii upadnie, to upadnie cały demokratyczny świat! To dopiero początek. Europa jest teraz dyktaturą, Rumunia jest we władzy tyranii!” – grzmiał Călin Georgescu, którego władze oskarżają o to, że jego kampania została wsparta przez Rosję, a który w sondażach cieszył się poparciem ok. 45 proc. Rumunów. W pobliżu Pałacu Parlamentu w Bukareszcie kolejny raz odbyły się zaś wielotysięczne protesty jego zwolenników.

W grudniu ubiegłego roku rumuński Sąd Konstytucyjny niespodziewanie unieważnił wybory prezydenckie, gdy w pierwszej turze zwyciężył Călin Georgescu. Decyzję o wykluczeniu faworyta wyborów z zadowoleniem przyjęli eurokraci w Brukseli. Jednocześnie skrytykowały ją władze w Waszyngtonie. „Jeśli waszą demokrację można zniszczyć paroma setkami tysięcy dolarów wydanych na reklamę cyfrową z zagranicy, to znaczy, że już wcześniej nie była ona zbyt silna” – zauważył amerykański wiceprezydent J.D. Vance.

Pierwsza tura powtórzonych wyborów ma się odbyć 4 maja. O głosy wyborców Georgescu walczyć będzie lider prawicowego Sojuszu na rzecz Jedności Rumunów (AUR) George Simion. „Odrzucenie kandydatury Călina Georgescu to nowe nadużycie i kontynuacja zamachu stanu z 6 grudnia [...]. Precz z dyktatorami!” – napisał kandydat opozycji na Facebooku, podkreślając, że niezależnie od tego, czy się Georgescu lubi czy też nie, jest „to człowiek, na którego głosowali Rumuni”. Aby zostać dopuszczony do wyborów, Simion musiał jednak uzyskać co najmniej 200 tys. podpisów. Termin składania wniosków mijał zaś po zamknięciu tego wydania „Do Rzeczy”, w sobotę 15 marca. **(jap)** © ©

FOT. DANIEL MIRALESCU/AP/IST NEWS





Wbrew sondażom pokazującym, że kandydatowi Mentzenowi rośnie, a kandydatowi Nawrockiemu nie, wiewiórki z Nowogrodzkiej wykazują się głębokim optymizmem i mówią nawet o fali, która niesie ich kandydata – i która go ostatecznie wyniesie. Zawsze nas niepokoją takie nastroje. Nigdy nie wiadomo, czy ich przyczyną jest fakt, że idzie dobrze, więc trzeba mówić, iż idzie dobrze, czy że idzie źle, więc trzeba mówić, iż dobrze.

Barwy kampanii. Na jednym z wieców kandydat Rafał Kazimierz Trzaskowski tak się rozochocił, że zaczął liczyć na aktywną współpracę z salą. No i rzucił: „Myślicie państwo o bezpieczeństwie?”. „Taaa” – odpowiedziała sala. „A czujecie się państwo bezpiecznie?” – rzucił Rafał. „Nieee” – odpowiedziała sala. Nas to nie dziwi. My się nigdy nie czujemy bezpiecznie, kiedy polityk Platformy zaczyna coś mówić.

Sporo zamieszania wywołała podana przez nas tydzień temu informacja o tym, że Szymon Franciszek Hołownia miałby rozważać wycofanie się z wyborów prezydenckich w zamian za utrzymanie stołka marszałka Sejmu. Okazało się bowiem, że niezależnie od nas, korzystając z innego źródła, podobne wieści przekazały tefaueny. Tym, którzy podejrzewają, że korzystaliśmy z jednego źródła, oświadczamy – nie chcielibyśmy korzystać z jednego źródła z tefauenami, nawet gdyby to było ostatnie źródło na Saharze.

Ale dość płochych wieści, zajmijmy się czymś poważnym. W końcu, jak mówi stare przysłowie, Pałac Prezydencki jest daleko, a areszt – zawsze blisko. Otóż w ministerstwie Bodnara rozkręca się poszukiwanie kreta. Chodzi o świetnie poinformowany profil serwisu X o nazwie „Jack Strong”, który prawie codziennie

odpala ekskluzywne informacje z życia bodnarowców. Między innymi o lipnych etatach dla koleśki czy wizytach mecenasa Qnia w centrali prokuratury. Po propozycji wzięcia pracowników na wariograf wzięto się do przeglądania zapisów monitoringu, by sprawdzić, kto cyka fotki ukazujące się na profilu. Są skuteczniejsze metody: łożę madejowe, żelazna dziewica czy hiszpański bućk.

dwaj panowie **g**



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Jedni szukają kretów, a inni pieniędzy. W minionym tygodniu do rozmaitych ludzi w delegacji europarlamentarnej PiS trafiła taka oto wiadomość: „Bardzo proszę o pilne uregulowanie zaległej składki członkowskiej do Parlamentu Europejskiego. Nieuregulowanie składki będzie prowadziło po pierwsze do utraty połowy środków dla EKR, a po drugie całkowitego ośmieszenia delegacji polskiej, co za tym idzie – Polski”. Podpisał się osobiście prezes Kaczyński. Dołączamy się do apelu prezesa. Silną Polskę buduje się wpłatami na kampanię Nawrockiego. Ale wolną Europę – składkami na EKR.

Àpropos Nawrockiego. Ujawniono tajemnicę z życia kandydata Karola Tadeusza. Otóż wśród licznych publikacji są nie tylko prace o Solidarności, zbrodniach komunizmu i Lechii Gdańsk. Napisał on również książkę „Spowiedź Nikosia z za grobu”, biografię Nikodema Skotarczaka, króla trójmiejskiego półświatka. Wydał ją jednak pod pseudonimem. Jak rozumiemy, sprawę ujawniono po to, żeby nie mogły jej ujawnić tefaueny i przedstawić jako dowód działalności przestępczej kandydata. Może i słusznie. My chcielibyśmy podkreślić ważniejszą rzecz: w odróżnieniu od Rafała Trzaskowskiego Nawrocki swoje książki pisze sam.

Tymczasem w Szczecinie. Z roboty wyleciał szef tamtejszej delegatury NIK. Żelazny Marian nie był bowiem zadowolony z wyników kontroli w sprawie Mateckiego. A właściwie z braku wyników. Bo zasadniczo mimo tzw. dywanowej kontroli nie dało się znaleźć nic, co zadowoliłoby prokuraturę. Ba, nawet gorzej – dwóch biegłych, zatrudnionych specjalnie, by dopaść Mateckiego, uznało, że wszystko było w porządku, a niedociągnięcia to w sumie pierdoły nienadające się na zarzuty.

Front dyplomatyczny. To już jawny sojusz: ani w siedzibie prezydenta USA, ani Polski nikt nie ma zamiaru rozmawiać z niejakim Klichem Bogdanem, czyli podróbką

ambasadora Polski w Waszyngtonie. Pojawiła się w związku z tym koncepcja, by przesunąć go do ONZ. W drugą stronę miałby powędrować Krzysztof Szczerski, który ma tę zaletę, że z nim akurat rozmawiano by w obu prezydenckich siedzibach. Tak donoszą media. Media nie muszą mieć racji. Szczegóły poniżej.

Otóż tak, w gmachu MSZ przy Szucha dojrzała myśl, by dokonać resetu z Pałacem Prezydenckim w kwestii ambasadorów. A szczególnie w Waszyngtonie. Natomiast nasze wiewiórki z okolic prezydenta Andrzeja Sebastiana twierdzą, że nowym wysłannikiem w USA nie będzie ani Radek, ani Szczerski. Tylko jak zwykle ktoś trzeci. Co ciekawe – ktoś, kto nadal pracuje w Pałacu.

Jeszcze o zagranicy. Potwierdziła się nasza zapowiedź, że w Rumunii ostatecznie zablokują kandydata antysystemowego Călina Georgescu i nie pozwolą mu kandydować. Nie potwierdziła się wiadomość, że zastąpi

go pewien konserwatywny profesor. A to dlatego, że rolę ostatniej nadziei wolności zdecydował się odegrać George Simion, lider AUR, czyli tamtejszego sojusznika PiS w EKR. Ważne uzupełnienie – Georgescu obiecał mu pełne poparcie. Jak rozumiemy, teraz Bruksela uzna, że to Simiona trzeba zablokować. Od razu podajemy powód: skoro Georgescu nie mógł kandydować, gdyż jest Putinem, to znaczy, że teraz Putinem jest Simion, gdyż popiera go Georgescu.

Zżycia elit. Polskojęzyczny kanał informacyjny Euronews zainaugurował swą działalność imprezką w miniony czwartek w Norblinie. To znaczy nadawać zaczął już dwa miesiące temu, ale teraz był tzw. uroczysty event. Na sali nie brakło osobników krytycznie patrzących na obecną władzę. I – co ciekawe – szefostwo Euronews dość intensywnie emablowało a to Krzysztofa Bosaka, a to naszego redakcyjnego kolegę Rafała A. Ziemkiewicza. Uważamy, że było to działaniem rozsądne i z wielkim potencjałem.

Niestety, impreza Euronews nie była w pełni udana, gdyż ktoś wpadł na pomysł zaproszenia jako niezależnego autorytetu niejakiego Lecha Wałęsy pseudonim TW Bolek. I – co gorsza – pozwolił mu oficjalnie przemawiać. Symboliczne było to, że niektórzy goście w związku z tym opuszczali salę na czas wystąpienia autorytetu. Na przykład zrobił tak Marcin Roszkowski.

Zżycia Lewicy. Na sali sejmowej przy okazji debaty o obronności posłanka Anna Maria Żukowska pozwoliła sobie zadać oburzonym tonem pytanie: „Dlaczego młodzi geje mieliby ginąć za ojczyznę?”. Jesteśmy w kropce. Czyżby Żukowska uważała, że powinni ginąć za nią tylko starzy geje? Ale aby zwiększyć konfuzję, proponujemy posłance Lewicy taką zagadkę: „Dlaczego heterocy mieliby ginąć za gejów?”. Starzy czy młodzi – to już zostawiamy do rozstrzygnięcia Żukowskiej. Odpowiedzi prosimy wysyłać na adres e-mailowy rubryki, którego nikt nie zna, gdyż go nie założyliśmy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

inicjatywa dla zwierząt

www.Zbiórka na Burka.pl

KRS 0000213078

PROSIMY PRZEKAŻ POTRZEBUJĄCYM ZWIERZĘTOM 1,5% PODATKU!



Superpaństwo ze strachu przed Putinem



Wojciech Golonka

Stany Zjednoczone muszą podzielić się fakturą za politykę obronną Zachodu i kilka dekad wojen neokonserwatystów, a samą wojnę ukraińską „odsprzedać”, z jej konsekwencjami, lokalnym inwestorom, zaprowadzając pokój lub umywić symbolicznie ręce od dalszego rozlewu krwi

Podczas gdy nowa amerykańska administracja podejmuje zdecydowane kroki ku zakończeniu wojny rosyjsko-ukraińskiej, będącej – jak sama to już potwierdza – jej wojną zastępczą z Rosją, wysiłkom pokojowym USA towarzyszą, paradoksalnie, coraz bardziej prowokacyjne orędzia ze strony prominentnych europejskich polityków. Nie przedstawiały przez trzy lata żadnego innego planu pokojowego dla Ukrainy niż zupełne zwycięstwo Kijowa i quasi-bezwarunkowa kapitulacja Moskwy, negują rzeczywistość przywracanej do łask dyplomacji, do której stołu nikt ich zresztą nie zaprasza. W jej miejsce epatują widmem wojny, siejąc trwogę obliczoną na korzyści polityki wewnętrznej i unijnej,

igrając jednocześnie z prawdziwą wojną, do której są kompletnie nieprzygotowani ani nie są przez nikogo upoważnieni. W dobie kształtowania nowej geopolitycznej równowagi na świecie jedynym pomysłem Europy, trzeba przyznać, jest sięgnięcie po sprawdzone partyjne slogany rodem z „Roku 1984” George’a Orwell’a, wśród których na pierwszym miejscu widniało: „Wojna to pokój”. To właśnie to hasło, jako niekwestionowalne credo, spektakularna medialna ofensywa narzuca obecnie Europejczykom do wierzenia, podczas gdy Komisja Europejska już otwarcie oznajmia plany przejęcia ich oszczędności.

„Europa” jest tu przy tym pewnym zwornikiem dla zachodnich frakcji

demoliberalnych, bo analogiczną retorykę prowokacyjną znaleźć można zarówno w odległej Kanadzie, jak i – zwłaszcza – w pobliskiej Wielkiej Brytanii, zasadniczo zaangażowanej w wojnę ukraińską wojskowo i politycznie. Prawdą jest, że erupcja tych nagłych, a zarazem dość jednolitych reakcji nastąpiła, odkąd Amerykanie podjęli na dobre kroki urzeczywistniające zakończenie wojny (w zasadzie ich wojny z Rosją, jak przyznał sekretarz stanu Marco Rubio). Stąd na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że wspólnym mianownikiem dla tej skoordynowanej wręcz polityki jest przede wszystkim impulsywny antytrumpizm, zdublowany rozmyślowaniem w odchodzącej właśnie do lamusa za oceanem antykulturze woke.

W rzeczywistości opór wobec Donalda Trumpa jest przede wszystkim obszernym emocjonalnym tłem, które stanowią różne, bardziej bezpośrednie pobudki do działania, w tym nieskrywana agenda globalistów. Warto te powody tu przedstawić, próbując przebić się przez zagłuszające trzeźwy ogląd sprawy medialny zamęt i zgiełk, których natęże-



Spotkanie liderów UE i NATO z prezydentem Ukrainy w Londynie, 2 marca 2025 r. FOT. NEIL HALL/POOL/EPA/PAP

nie i szablonowość są obecnie po prostu niesamowite.

NIEŁATWE PRZESTROJENIE NARRACJI

Przypomnijmy, że po wstępnym ociąganiu się, kiedy wspieranie Ukrainy było kluczowe dla podtrzymania jej państwowości, Unia Europejska poniekąd na ślepo zaprzęgała się w politykę wojenną administracji Joe Bidena, rywalizując nawet w retoryce z Waszyngtonem – by przypomnieć słowa Emmanuela Macrona i jego ministrów, jedno z najwymowniejszych tego rodzaju. Rok temu mówili oni, że Francja robi, cokolwiek jest konieczne, z wysłaniem wojsk włącznie, aby Rosja tej wojny nie wygrała.

Otóż, po pierwsze, nie da się tak po prostu przejść od notorycznego składania takich deklaracji do konieczności zakończenia wojny w oparciu o rzeczywistość pola walki oznaczającą przejęcie części ukraińskiego terytorium przez Rosję, nie stawiając jednocześnie pytań, dlaczego w takim razie nie można było o wiele wcześniej zawrzeć pokoju lub przynajmniej rozejmu na warunkach, które dla Kijowa byłyby znaczenie korzystniejsze.

Obecny imperatyw Macrona i podobnych mu polityków z europejskich elit, prowadzący się do orzeczenia „musimy się zbroić, bo Putin jest już u naszych bram i być może czeka nas wojna”, powtarzany dzień i nocą, okazuje się zatem, po pierwsze, skuteczną ucieczką do przodu wobec mas zatrwożonych widmem nadciągającej wojny. Są one wtedy nieskore do rozliczeń dotychczasowej polityki rządów, natomiast skore do przełknięcia słonej faktury wystawianej za tę wojnę.

Po drugie, obok wyzwania narracyjnych i finansowych prawdą jest, że Europa musi się do pewnego stopnia rzeczywiście dozbroić, i to z różnych powodów. Jeśli wojna na Ukrainie przyczyniła się do opróżnienia zapasów zbrojnych państw zachodnich, to przede wszystkim stworzyła ona okazję do zatrważającego odkrycia, że dotychczasowe zapasy i tak byłyby niewystarczające dla państw naszego kontynentu do prowadzenia pełnoskalowej wojny lub po prostu konfliktu zbrojnego o wysokim natężeniu. Dlaczego jednak zapowiedziana przez Ursulę von der Leyen historyczna decyzja o dozbrojeniu – a właściwie o ponownym uzbrojeniu – Europy zapada właśnie teraz, a nie trzy, dwa lata temu lub choćby rok temu, kiedy to byłoby bardziej logiczne, jeśli rzeczywistość należało wspierać Ukrainę, nie bacząc na koszty, tym bardziej że na taką potrzebę wskazywali sami Amerykanie, by wspomnieć apele głównodowodzącego amerykańskich i sojuszniczych sił w Europie, gen. Christophera Cavioli? Otóż nie zrobiono tego właśnie ze względu na koszty: politycy z rządzących wówczas w Europie elit nie wierzyli, i to prawdopodobnie nie bardziej niż dzisiaj, w jakąś nieuchronną wojnę rosyjsko-europejską. A z powodu braku finansów kwestie bezpieczeństwa pozostawiali, jak dotychczas, po prostu Ameryce.

Powrót Donalda Trumpa do Białego Domu przyniósł jednak polityczne trzęsienie ziemi, jako że USA próbują dokonać korekty swego kursu wobec realiów faktycznego wielobiegunowego porządku świata. Stąd m.in. amerykańskie ultimatum w kwestii wydatków na wojskowość państw członkowskich sojuszu północnoatlantyckiego – o ile NATO ma przetrwać – oraz danie Europejczykom jasnego sygnału, że mają przejąć odpowiedzialność za bezpieczeństwo kontynentu, w tym za przyszłe bezpieczeństwo Ukrainy. Innymi

słowy, oprócz tradycyjnej potrzeby napełniania amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego Stany Zjednoczone muszą podzielić się fakturą za politykę obronną Zachodu i kilka dekad wojen neokonserwatystów, a samą wojnę ukraińską – przepraszam za wyrażenie, ale takie najwyraźniej są realia – „odsprzedać”, z jej konsekwencjami, lokalnym „inwestorom”, zaprowadzając pokój lub umywając symbolicznie ręce od dalszego rozlewu krwi.

PRETEKST DO REFORM

Sprawczość tych lokalnych graczy jest nam niestety dobrze znana: nieustający kryzys migracyjny, podupadające bezpieczeństwo, w tym bezpieczeństwo kobiet, dezintegracja tożsamościowa, islamski terroryzm, regres opieki zdrowotnej, pauperyzacja i dziury budżetowe bez dna... Jak trafnie wskazał gen. Roberto Vannacci, włoski eurodeputowany do Brukseli, Europa Ursuli von der Leyen nie potrzebuje żadnego Władimira Putina, aby być w stanie wewnętrznej wojny i płonąć na co dzień. I w tym sęk: w dobie wojny rosyjsko-ukraińskiej, nieważne nawet, czy wygaszanej czy podtrzymywanej, trwożne hasło „Putin u bram”, niczym słynny, choć bliżej nieznanym Emmanuel Goldstein z „Roku 1984” Orwella, jest antidotum dobrym na wszystkie bolączki i argumentem uzasadniającym wszystkie, choćby najbardziej gorzkie do przełknięcia reformy. Jeśli bowiem już rozpedzić na nowo przemysł zbrojeniowy, to zwłaszcza ten lokalny, europejski z nazwy, ale faktycznie francuski, niemiecki czy duński z kapitału, ratując poszczególne gospodarki krajowe przed recesją finansami całej Unii, a raczej jej mieszkańców, w dość niewybredny sposób, bo sięgając po ich oszczędności. Zacytować tu trzeba komunikat przewodniczącej Komisji Europejskiej z 10 marca: „Europa ma wszystko, co potrzebne, aby objąć przywództwo w wyścigu konkurencyjności. W tym miesiącu Komisja Europejska odśłoni Unię oszczędności i inwestycji. Zamienimy prywatne oszczędności w wiele potrzebnej inwestycji. I będziemy współpracować z naszymi instytucjonalnymi partnerami, aby to przeprowadzić”.

Mimo użytych eufemizmów przesłanie to jest jak najbardziej czytelne i któryś raz z rządu potwierdza, że teorie spiskowe, jeśli nie są udaremnione, po pewnym czasie się po prostu urzeczywistniają.

W tym wypadku mamy do czynienia z czymś, co mogłoby przypominać w skali makro przejście oszczędnościowych funduszy emerytalnych przez rząd Donalda Tuska w 2013 r. (dodam, bo to bardzo dobry przykład, że przejęte wówczas przez państwo oszczędności nie podlegały już dziedziczeniu w przypadku śmierci oszczędzającego, dlatego nie dziwi w tym kontekście trend ku liberalizacji przepisów eutanazyjnych, które mogłyby rozwiązać kilka kwestii ekonomicznych naraz). Jest natomiast coś, co w ogóle nie jest żadną teorią spiskową, a mianowicie znane od kilku dekad dążenie do utworzenia europejskiego superpaństwa. Owo dążenie daje o sobie znać ze dwójoną siłą przy każdym kryzysie, który należy przekuć w pożądaną wręcz okazję. I mimo różnic i rywalizacji o ośrodki władzy – Paryż chce scentralizowanego unijnego państwa narodowego w oparciu o nieistniejący naród europejski, Berlin z kolei, zgodnie ze swoją tradycją, państwa federalnego – te apele właśnie ponownie jasno wybrzmiały ze strony prezydenta Francji i zwycięzcy niemieckich wyborów parlamentarnych, lidera CDU i przyszłego kanclerza Niemiec, Friedricha Merza. Trzeba tu bowiem uczynić ważne rozróżnienie pojęć: kiedy mówimy „Europa”, ludzie mego pokroju rozumieją przez to kontynent, obszar geopolityczny, ewentualnie Unię Europejską jako zespół współpracujących ze sobą suwerennych państw. Kiedy natomiast mówią o Europie elity unijne, chodzi im o powstający dopiero twór, o kształtowanie ponadnarodowego państwa. Politykom z tych elit nie chodzi o stworzenie europejskiej obrony, lecz o stworzenie „Europy obronnej”, czyli o segment tegoż przyszłego państwa, na którego przywództwo skądinąd Macron ma chrapkę po skończeniu swej kadencji w 2027 r. To doskonale tłumaczy organizowane przezeń szczyty sztabowe z ostatnich tygodni (przy fikcyjnej, jak widać, prezydencji Polski w Unii Europejskiej).

BIERNE PODCZEPPIENIE

Ma się rozumieć, kwestie obronności w ogóle nie są domeną Komisji Europejskiej. Ale duch traktatów z ich mechanizmami jest oczywiście w Unii ważniejszy niż ich litera; jeśli zaś sama pani przewodnicząca może, bez żadnych konsekwencji, zamawiać SMS-em setki milionów szczepionek za miliardy euro, to również

Elitom unijnym nie chodzi o stworzenie obrony państw UE, lecz o stworzenie obronnego segmentu europejskiego superpaństwa

dobrze może zamawiać hurtowo haubice, amunicję i kałasze. Chodzi jednak o to, że tym razem finansowanie tych układów i układzików nie pójdzie już tak sprawczo, jak za czasów omnipotencji politycznej w dobie COVID. Stąd potrzeba czasu i strachu, czyli wojny, wojny i jeszcze raz trwania wojny, przynajmniej jako wiszącego nad nami permanentnie miecza Diamoklesa. I stąd też niezwykle szokujące słowa szefa niemieckiego wywiadu Brunona Kahla z początku marca br., że jeśli wojna na Ukrainie skończy się przed rokiem 2029 lub 2030, to Rosja nie wyjdzie z tego konfliktu należycie osłabiona i przetestuje za wcześniej (bo przecież musi to zrobić, to pewnie!) art. 5 NATO. Podobnie brzmią słowa duńskiej premier Mette Frederiksen z końca lutego br., że pokój na Ukrainie mógłby być dla niej gorszy niż trwająca wojna.

Swoją drogą, jeśli rodzima „nauka” ma rzeczywiście służyć Polsce, a nie półkom bibliotecznym, to czymś wielce użytecznym byłoby przesłедzenie przez naszych badaczy stosunków międzynarodowych powiązań globalistycznych (spod znaku Davos i Sorosa również), przemysłowych i – czemu nie? – bankowych, które łączą poszczególnych wyznawców boga Marsa w Europie. Zbyt wiele twardych faktów wskazuje bowiem na to, że próby przeciągania wojny ukraińskiej wiążą się po prostu z prozaicznymi elementami dotychczasowej globalnej agendy.

Na razie ze strony polskiej mamy jednak bierne podczepienie się pod główny nurt polityki europejskiej, dalsze rozbrajanie polskiej armii (ostatnio przekazano Ukrainie kolejnych 60 czołgów z naszych zasobów), spreczne deklaracje premiera Donalda Tuska co do utworzenia rzeczywistie wyszkolonej rezerwy dla armii, którą to wyszkoloną rezerwę w praktyce sam zlikwidował za pierwszych swoich rządów. I mamy oczywiście ze strony obozu władzy ochocze drażnienie amerykańskiej ad-

ministracji, żywiące się niepohamowaną, instynktowną nienawiścią, która świadczy o ślepotcie.

Otóż, po pierwsze, nie ma najmniejszych wątpliwości, że europejska partia wojny ponad podziałami prowadzi tłąc się, codzienną wojnę przeciw Europejczykom, bardzo dobrze zilustrowaną przez wspomnianego tu już gen. Vannacciego. Warto tu dodać, że pozostałe dwa Orwellovskie slogany partii – „Wolność to niewola” oraz „Ignorancja to siła” – nie mniej przyświecają europejskim elitom w ich oświeconych rządach. Nie ma tu, niestety, co liczyć na jakąkolwiek ochronę Polaków przed tym procesem ze strony aktualnej władzy, która już zaprzedała swą duszę Wielkiemu Europejskiemu Bratu i przymusza do jego pokochania. Funkcjonariusze tej władzy pragną, abyśmy pokochali rządzącego już ich duszami Wielkiego Brata.

A co z rzeczywistym zagrożeniem zewnętrznym? Przecież wskazując Rosję jako głównego wroga i odgrażając się w dodatku bronią jądrową, europejscy liderzy bez wątpienia sprowokują adekwatną reakcję wymierzoną w nich, a raczej, tradycyjnie już, w ich przedpola, czyli nas. Oto we francuskiej prorządowej telewizji debatują, czy Francuzi są gotowi poświęcić Marsylię lub Lyon na rosyjskie uderzenie atomowe, aby ratować Kradków – a wiemy przecież, że nie tylko nie chcieli ongiś umierać za jakiś tam Gdańsk, kiedy jeszcze mieli czym, ale dziś nawet nie potrafią poradzić sobie ze zwykłymi pontonami czy pospolitymi deportacjami (Algieria systematycznie odmawia przyjmowania swych obywateli, a Francja jest wobec niej potulnie bezsilna).

Ale dlaczego w takim razie, przy takim poziomie indolencji, robią tak wielki raban pod jamą niedźwiedzia, którego gospodarza już od trzech lat przestawia się na tory wojenne? Zdajmy sobie sprawę, że jeśli coś rzeczywistie pójdzie nie tak, jak powinno, lub po prostu pójdzie zgodnie z nieznanym nam, ale znanym mądrzejszym od nas planem, to Polska, przyjmując bez zastrzeżeń, a nawet z deklarowaną akceptacją, w dodatku na przekór Amerykanom, całą tę prowojenną retorykę, naraża się na pójście na pierwszy ogień w przypadku wojny. Zapnijmy pasy, bo dla szaleńców wywoływanie pierwszego jeźdźcy Apokalipsy jest zwiastunem pokoju w Europie.

© All rights reserved

RYSZARD GROMADZKI: Panie generale, czy Unia Europejska jest w stanie zbudować autonomiczną potęgę militarną, stworzyć nową architekturę bezpieczeństwa na naszym kontynencie bez udziału Stanów Zjednoczonych?

GEN. LEON KOMORNICKI: Nie. Nie jest w stanie tego zbudować bez jasno zdefiniowanej strategii, bez uzyskania konsensusu co do struktury czy zadań sił zbrojnych, które poszły za taką strategią. Chodzi o rozstrzygnięcie, czy miałyby to być przejęcie schedy po Stanach Zjednoczonych w NATO, czy miałyby powstać tzw. armia europejska. Pojawiają się tu różne pomysły i są one często ze sobą niespójne.

Ponadto jak zatrzymać rosyjski walec, który się toczy czy wręcz rozpędza, poprzez zagwarantowanie pokoju dla Ukrainy, a tym samym zyskanie strategicznej pauzy? Bo może się zdarzyć, kiedy rozłam w NATO będzie się pogłębiał, a Europa będzie nadal na kursie kolizyjnym z USA, że Rosja to wykorzysta i ten walec wtoczy się na kraje nadbałtyckie. Może do tego dojść już pod koniec tego roku albo na początku przyszłego roku, jeżeli nie dojdzie do zamrożenia wojny na Ukrainie i zatrzymania rosyjskiego walca. Tu leży sedno problemu.

Czy Europa tego nie widzi? Sądząc po wojowniczej retoryce, którą słychać z Paryża, Londynu, Berlina, Brukseli, a także z Warszawy, niebezpieczeństwo, o którym pan mówi, jest przez europejskich przywódców ignorowane.

Politykom i generałom w Europie, także u nas, wydaje się, że USA mają prymat, są hegemonem, mają w ręku wszystkie atuty – w postaci zdolności, zaplecza, armii – i są gotowe do podejmowania wysiłków w obronie swoich strategicznych interesów, a także Europy, co wynika z art. 5 traktatu waszyngtońskiego. Trzeba pamiętać, że sojusz północnoatlantycki ma 80 proc. zdolności w oparciu o armię Stanów Zjednoczonych. Do Amerykanów należą też wszystkie dowództwa w NATO. Europa nie przyjęła do wiadomości, że obrar rzeczywistości może być diametralnie inny, budząc się z trwającego 30 lat snu opartego na stworzonej przez siebie iluzji, iż żadnej wojny nie będzie, bo Rosja nikomu nie zagraża, że z Rosją trzeba dobrze żyć, robić z nią interesy.

Myślenie europejskich elit politycznych zostało zdominowane przez chciwość, co przejawiało się w dążeniu do robie-



Z gen. Leonem Komornickim, byłym zastępcą szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego rozmawia Ryszard Gromadzki

Początek końca NATO?

nia interesów z Rosją za wszelką cenę, przy jednoczesnym obniżaniu zdolności i zaniedbywaniu własnego potencjału militarnego. Jeśli się dobrze przyjrzeć, to żadne z państw europejskich z wyjątkiem Turcji – oraz Szwecji i Finlandii, które niedawno przystąpiły do NATO – nie wykonało zobowiązań wynikających z art. 3 traktatu waszyngtońskiego i nie posiada armii zdolnej do obrony terytorium własnego państwa.

Czyli zdolności do skutecznej obrony własnego terytorium nie posiada również Polska?

Tak. Mówimy tu o potencjale obronnym państwa, który powinien wynikać z poprawnie zdefiniowanej strategii bezpieczeństwa narodowego, której nie ma od 2020 r. A ta, która jest, zdominowana została przez lekarzy „cudotwórców” od walki z COVID-19.

W obliczu tak poważnych deficytów w potencjale obronnym państwa zdumiewa prowokacyjna propaganda, która wylewa się z mainstreamowych mediów. Generał Pacek, dyrektor Muzeum Wojska Polskiego, powiedział w Radiu Zet, że jego zdaniem Polacy są mentalnie przygotowani na to, iż wojna jest możliwa. Zgadza się pan z tą opinią?

Generał Pacek, który, jak się okazuje, jest do wszystkiego, bo był już doradcą ministra obrony, komendantem głównym Żandarmerii Wojskowej i rektorem Akademii Obrony Narodowej, niech zajmie się eksponatami w muzeum, które mu

podlega, a nie wypowiada się w sprawach, których kompletnie nie rozumie. Jego narracja jest odklejona od rzeczywistości. Pytanie, czy nasze społeczeństwo – społeczeństwo europejskie – jest zdolne do przeciwstawienia się Rosji, jest oczywiście ważne. To pytanie brzmi: Czy polskie społeczeństwo i społeczeństwa europejskie są gotowe wyjść ze strefy komfortu i pójść na wojnę? Czy są na przygotowane? Odpowiedź brzmi: nie. Ani nasze społeczeństwo, ani pozostałe społeczeństwa europejskie nie są gotowe wyjść ze strefy komfortu, by toczyć wojnę z Rosją. Wyczerpującą, długotrwałą, wykrwawiającą. Wojnę, w której trzeba mieć wysoki stopień odporności na ból. W porównaniu ze społeczeństwem rosyjskim, którego odporność na ból jest do tej potęgi wyższa niż naszego społeczeństwa i innych społeczeństw europejskich, stawia nas to w wyjątkowo niekorzystnej pozycji. Należy postawić kolejne pytanie: Czy wojsko – nasza armia – jest gotowe wyjść ze strefy komfortu i pójść na taką wojnę, którą dziś toczą ukraińscy żołnierze z armią rosyjską?

Polscy żołnierze są gotowi na taką wykrwawiającą wojnę?

Nie. Sam szef Sztabu Generalnego w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” powtarzał ocenę Kremla, który uważa, że my mentalnie nie jesteśmy gotowi na wojnę z Rosją. On nie zaprzeczał, nawet nie sformułował

opinii, co trzeba zrobić, żeby mentalnie się do takiej wojny przygotować. Nie mamy zdefiniowanej strategii bezpieczeństwa. Nie mamy doktryny obronnej adekwatnej do tego, czym są istota i charakter rosyjskiej agresji i czym jest prowadzenie wojny wynikającej z obrony przed rosyjską agresją na własnym terytorium.

Panie generale, czy pan nie jest defetystą?
W przekazie polityków, wielu wojskowych i mediów w Polsce oraz Europie dominuje bardzo wojowniczy ton. Snute są plany o wysłaniu kilkudziesięciu tysięcy europejskich żołnierzy na Ukrainę dla zabezpieczenia pokoju. A w razie gdyby Rosja go naruszyła, plany, o których mówi się w europejskich stolicach, zakładają użycie broni strategicznych wobec niej.

Czy panowie generałowie, którzy opowiadają takie dyrdymały, nie wiedzą – a może nie chcą wiedzieć – że zarówno my, jak i reszta Europy nie mamy zaplecza niezbędnego do prowadzenia długotrwałej i wyniszczającej wojny z Rosją? To zaplecze powinno zabezpieczyć potrzeby armii na ścieżce czasu trwania wojny. Nie mamy przygotowanych rezerw ani zasobów. Tu nie chodzi o pojedynczych żołnierzy kierowanych do uzupełniania strat powstałych w wyniku wojny, ale formacje, struktury rezerwowe. Korpus rezerwowy, dywizje rezerwowe. W tych strukturach powinni być przygotowani żołnierze, zgrani rezerwiści, oficerowie rezerwy. Te struktury powinny być gotowe do natychmiastowego skierowania na front po to, żeby złuzować walczące wojska stanowiące pierwszy rzut, aby te wycofały się w głąb i odtworzyły swoją zdolność do dalszych działań. My takich rezerwowych struktur nie mamy. Trzysta tysięcy rezerwistów to za mało, bo ci rezerwiści muszą działać w określonych strukturach. Kiedy mieliśmy w Polsce ćwiczenia na poziomie dywizji, żeby przeciwyczyć poziom ich zgrania? Tego nie zapewnią pojedynczy żołnierze. Ktoś pana premiera oszukuje albo ci, którzy mówią takie rzeczy, są kompletnymi dyletantami. Jak można mówić o spójnej strategii obrony Europy, jeśli wśród tworzących ją państw występuje tak silna rozbieżność celów politycznych, a w ślad za tym militarnych? To my jesteśmy na styku z Rosją, na wschodniej flance NATO. Czy pan myśli, że tak myślą Francuzi czy Niemcy? Że takie jest myślenie niemieckich czy francuskich generałów jak naszych? Szczególnie tych naszych, którzy rozumieją charakter

– Nie mamy doktryny obronnej adekwatnej do tego, czym są istota i charakter rosyjskiej agresji – ostrzega gen. Leon Komornicki

FOT. MAREK ZIELIŃSKI/SE/EAST NEWS



i naturę rosyjskiej agresji? No nie. Uzyskać konsensus, żeby Europa zdefiniowała adekwatnie zagrożenia dla naszego bezpieczeństwa, dla wschodniej flanki NATO i poszła bez żadnych wątpliwości na wojnę z Rosją, w obronie Rzeczypospolitej czy innych państw wschodniej flanki NATO, to są tylko nadzieje czy wręcz iluzje. Nikt nie może nam tego na 100 proc. zapewnić. Polityka w sprawie wojny na Ukrainie nie jest poparta siłą, tylko pieniędzmi, i to pochodzącymi przede wszystkim z kredytów, które dopiero trzeba pozyskać w bankach. Za te pieniądze należy dopiero zbudować zaplecze, którego nie ma, i zdolności armii. Trzeba przygotować społeczeństwa na wyjście ze strefy komfortu i zbudowanie spójnego systemu szkoleń obronnych. W mojej ocenie na to wszystko potrzeba 10 lat. Teraz priorytetem Europy powinno być wycofanie się z kursu kolizyjnego ze Stanami Zjednoczonymi i zapewnienie pokoju dla Ukrainy. Do tego niezbędny jest dialog.

Czy wobec bezprecedensowego konfliktu między Europą a Stanami Zjednoczonymi rządzeni przez prezydenta Trumpa stanęliśmy w obliczu „śmierci NATO”?

Rozłam, z którym mamy do czynienia, już jest poważny, choć wszyscy udają, że nic się nie stało. Trochę tak jak po przegranym meczu Polski na Stadionie Narodowym, kiedy kibice śpiewają: „Polacy, nic się nie stało”. Niestety, stało się bardzo dużo, a stać się może jeszcze więcej, bo doszło do tego, że w mojej ocenie art. 5 traktatu północnoatlantyckiego już nie działa. Skoro Stany Zjednoczone mają inne interesy w europejskim środowisku bezpieczeństwa, to gdyby Rosja – a przecież ona może to zrobić, żeby przetestować NATO – zaatakowała kraje nadbałtyckie, USA mogłyby nie podjąć interwencji w ich obronie ze względu na silną rozbieżność z Europą na tle charakteru i celów wojny na Ukrainie, a także potencjalne wycofywanie swoich aktywów z naszego kontynentu. Oczywiście Rosja nie zdecyduje się na taki krok dopóty, dopóki sytuacja na Ukrainie nie zostanie rozstrzygnięta. Jednak zakładając, że taki scenariusz się ziści, to ani my, ani Europa nie będziemy gotowi na wojnę z Rosją i nie podejmiemy żadnych wysiłków w obronie krajów nadbałtyckich. W efekcie Rosja bezkarnie je zajmie i połączy to terytorium z obwodem królewieckim.

To będzie początek końca NATO, całkowita utrata wiarygodności przez sojusz. I to my znajdziemy się w wyjątkowo niekorzystnej sytuacji, bo graniczymy z Litwą. Pytanie brzmi: Czy podejmiemy wysiłek i pójdziemy jej z pomocą? Moim zdaniem nigdy bez podjęcia wspólnej decyzji przez NATO nie powinniśmy się decydować na taki krok. To, co powinniśmy wtedy przeprowadzić, to strategiczne rozwinięcie potencjału obronnego państwa. W obliczu takich skrajnie niekorzystnych dla Polski wariantów, które są absolutnie możliwe, powinniśmy postawić dziś sobie pytanie, czy wojna na Ukrainie powinna trwać dalej. Kto będzie udzielał dalszej pomocy Ukrainie, kiedy my nie mamy takich zdolności i nie ma ich Europa? Na dodatek Stany Zjednoczone mają kryzysową sytuację w obszarze Bliskiego Wschodu, w związku z konfrontacją z Iranem, i na Pacyfiku na styku z Chinami. Czy europejcy przywódcy naprawdę nie widzą tych zagrożeń? Najwyższy czas porzucić egoizm i podjąć wysiłek na rzecz odbudowy własnych zdolności.

Czy Polska jest obecnie lepiej przygotowana do potencjalnej wojny niż w 1939 r.?

Nie jest. Mamy problem z wprowadzeniem najwyższego poziomu edukacji obronnej, którą każdy Polak i każda Polka powinni przejść przed podjęciem studiów czy życia zawodowego. Edukacja obronna w wymiarze sześciu czy ośmiu miesięcy – to jest do dyskusji – powinna być prawem, obowiązkiem i przywilejem każdej Polki i każdego Polaka. Każdy powinien ją odbyć jak naukę w szkole podstawowej. Gdzie jest obrona cywilna kraju? Gdzie jest edukacja społeczeństwa i świadomość tego, czym jest wojna z Rosją? W jakim stanie jest nasza armia, która dopiero kształtuje swoje zdolności? I nie osiągnęła poziomu zdolności, który jest niezbędny do prowadzenia wojny. Gdzie są te zasoby, które gwarantują ciągłość działań na ścieżce czasu trwania wojny? Gdzie są te zdolności, które pozwalają przenieść obronę państwa po odparciu masowych uderzeń powietrzno-rakietowych armii rosyjskiej na terytorium agresora? Gdzie jest zagwarantowana suwerenność sił zbrojnych, kiedy wojsko polskie nie ma dostępu do kodów źródłowych F-16 i F-35, pocisków JASSM, rakiet Patriot czy baterii HIMARS? Jesteśmy pozbawieni

suwerenności strategicznej i nie możemy tym uzbrojeniem realnie dysponować bez zgody Stanów Zjednoczonych. Musimy sobie wywalczyć suwerenność strategiczną – nie tylko w zarządzaniu czy wykorzystaniu tych systemów walki, lecz także w decyzjach politycznych, jak zrobiły to już Turcja, Izrael czy Korea Południowa. Jesteśmy na styku z Rosją, nie możemy czekać, aż ktoś łaskawie wyda nam zgodę, że możemy się bronić. Rolą polityków jest nam to zagwarantować. Tymczasem jesteśmy na kursie kolizyjnym ze Stanami Zjednoczonymi. Czy my naprawdę nie widzimy, co się może zdarzyć? Polska powinna być państwem moderatorem na wschodniej flance NATO – a przede wszystkim państwem mediatorem między Europą a Stanami Zjednoczonymi – i działać tak, żeby nasze narodowe interesy były na pierwszym miejscu.

Niestety, obserwując działania polskich władz, można odnieść wrażenie, że to ukraińskie interesy są dla nich ważniejsze...

Nie rozbudzajmy nadziei w Ukrainach – jak to miało miejsce przez cały czas trwania wojny – że Ukraina w niej zwycięży. Jeśli nie zwycięży, to żebyśmy nie byli oskarżani – a z taką sytuacją trzeba się liczyć, kiedy Ukraina nie uzyska swoich celów – że można było doprowadzić do pokoju wcześniej, bez ponoszenia tylu ofiar. A myśmy zagrzewali ją do walki.

Do ostatniego Ukrainca...

Tak. Żebyśmy nie usłyszeli, że tylu ludzi niepotrzebnie zginęło, a myśmy się do tego przyczynili. Rosja z pewnością będzie na to grać. A nasi zachodni sojusznicy, którzy dziś tak nawołują do kontynuowania wojny przez Ukrainę, wpiszą się w tę grę, mówiąc, że tak, oni też chcieli zakończyć ten konflikt, ale to Polska robiła wszystko, żeby wojna trwała. Powinien zawsze obowiązywać nas realizm. Od początku tej wojny USA i Zachód tak pomagały Ukrainie, żeby Ukraina tej wojny nie wygrała, a jedynie nie przegrała. A Rosja żeby tej wojny nie wygrała, ale nie przegrała. Taką była od początku amerykańska strategia i ona nadal obowiązuje. Trump nie różni się tu od Bidena, tylko inaczej ją definiuje. Osłabione USA nie mogą sobie pozwolić na trwałą sojusz Moskwy z Pekinem w perspektywie potencjalnej konfrontacji z Chinami.

Harcownik Unii



Rządowa propaganda odrzuciła wielki sukces Radosława Sikorskiego FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM



Rafał A. Ziemkiewicz

Donalda Tuska może korcić rola, do której zachęcany jest przez swoich mocodawców w Europejskiej Partii Ludowej i szeroko rozumianej eurokracji. Chodzi o atakowanie Donalda Trumpa z pozycji europejskiej moralnej wyższości i rzucanie mu w oczy zapowiedzi europejskiej wielkości, opartej na zaciągniętym na poczet przyszłych zbrojeń kredycie i fantastycznych wizjach dopędzenia USA w nowoczesnych technologiach

O twitterowym pajacowaniu ministra spraw zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej, Radosława „Radka” Sikorskiego, aż wstyd Polakowi pisać. A jeśli już trzeba, to chciałoby się uznać je li tylko za kompromitującą wpadkę, jeden z licznych przejawów chronicznego deficytu dojrzałości, który przejawiał Sikorski praktycznie

na każdym zajmowanym stanowisku. Niestety, coraz więcej wskazuje na to, że Sikorskiemu nie tylko uroiło się, że ma do powiedzenia coś szalenie mądrego i dowcipnego, co przysporzy mu tak pożądanych twitterowych „lajków”, lecz także że jego występ jest częścią propagandowej strategii rządu Donalda Tuska. Powiedzmy to od razu: strategii szkodliwej dla

Polski, a i samemu rządowi i stojącej za nim partii nieniosącej korzyści, choć jej lider sądzi chyba inaczej.

Wszyscy coś o tej historii słyszeli, ale uporządkujmy ją: Elon Musk przypominał był na swoim portalu, który mimo formalnie zmienionej nazwy dla wszystkich i tak jest i pozostanie Twitterem, że jego system Starlink ocalił Ukrainę przed błyskawiczną przegraną w lutym 2022 r. i nadal stanowi podstawę łączności, bez której Ukraińcy nie są w stanie prowadzić wojny. Jest to niewątpliwie fakt, każdy, kto zna sprawę, wie, że pewność szybkiego zwycięstwa opierała armia rosyjska m.in. na całkowitym zdezorganizowaniu Ukraińcom klasycznych systemów łączności, a możliwości, że prywatny biznesmen z USA błyskawicznie „postawi” na to miejsce nowy, sztab Władimira Putina nie wziął pod uwagę. Sens wpisu Muska był jasny: „Powin-

niście mi być wdzięczni”, a sama wypowiedź w oczywisty sposób nawiązywała do kłótni w Białym Domu, podczas której Wołodymyr Zełenski twierdził, że w momencie rosyjskiej agresji „nikt Ukrainie nie pomógł”.

CO MUSK WIE O SIKORSKIM

Z przyczyn, które będziemy rozważać za chwilę, minister Sikorski uznał za stosowne wtączyć do tej konwersacji swoje trzy grosze i poinformować Muska z niejaką butą, że to Polska płaci rocznie 50 mln dol. za starlinki dla Ukrainy, oraz postraszyć, że jeśli Musk nie będzie solidnym dostawcą, to poszukamy innego. Bliski Trumpowi biznesmen zgasił go w odpowiedzi stwierdzeniem, że dla Starlinka nie ma żadnej alternatywy (to prawda – europejskie opowieści o stworzeniu własnej konkurencji to bajki nieuwzględniające elementarnych uwarunkowań technicznych) i że 50 mln dol. to w skali jego interesów grosze, sugerując Sikorskiemu, żeby nie wcinał się w nie swoje sprawy, i nazywając go przy tej okazji „małym człowieczkiem”. Być może to przypadkowa zbieżność, a być może coś o Sikorskim wie i celowo użył określenia, którym obecny minister poniżał swego czasu prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Oprócz Muska Sikorskiemu odpowiedział także sekretarz stanu Marco Rubio, w tonie mniej kąśliwym przywołując Sikorskiego do rozsądku – padło m.in. oczywiste stwierdzenie, że wpis Muska nie zawierał pogroźki ani zapowiedzi wyłączenia Ukraińcom łączności (swoją drogą, to zabawna sytuacja dla kogoś, kto pamięta, jak sam Sikorski, w czasach gdy jeszcze podawał się za niepodległościowego prawicowca, musiał gęsto tłumaczyć, czym różni się tryb warunkowy od oznajmającego, kiedy został oskarżony o zamiar odłączenia od Polski Śląska). W odpowiedzi Sikorski wykonał klasyczne „udawanie głupiego”, wylewnie dziękując Rubiowi za udzielenie gwarancji, że Starlink nie zostanie wyłączony, po czym rządowa propaganda otrąbiła wielki sukces polskiej dyplomacji i samego Sikorskiego osobiście: oto zmusił on USA do jasnej deklaracji w sprawie Starlinka i uratował Ukrainę przed straszliwą szkodą, którą Amerykanie chcieli jej wyrządzić. Jednobrzmiący przekaz tej treści wydali z siebie wszyscy politycy

i wszystkie „autorytety” władzy, ozdobiając go oskarżeniami opozycji o to, że zdradza ojczyznę, w sporze polskiego ministra z Amerykaninem opowiadając się po stronie tego drugiego. Były lider PO i minister sprawiedliwości Borys Budka posunął się nawet do stwierdzenia, że taka antypaństwowa postawa powinna być podstawą do delegalizacji PiS. Zapachniało mocno propagandą z czasów Władysława Gomułki i Wojciecha Jaruzelskiego, której wzorce zostały w tej kwestii powtórzone przez liderów PO i ich akolitów niemalże słowo w słowo.

UDERZYĆ W BIG TECHY

Można powiedzieć – ot, jeden z wielu codziennych szisztormów, wywołanych przez ludzi PO nieustannie dla przykrywania praktyki ich rządów, tej samej rangi, co opowieści o „wielkich inwestycjach w infrastrukturę”, „ściągnięciu z powrotem do kraju naukowców” czy „przeszkoleniu wojskowym wszystkich dorosłych mężczyzn”. Ale można też „połączyć kropki” z innym szisztormem, wywołanym przez ministra cyfryzacji Krzysztofa Gawkowskiego niemal natychmiast po tym, jak opadł kurz po „wielkim dyplomatycznym sukcesie” Sikorskiego. Gawkowski zapowiedział nagle, że Polska wprowadzi „podatek cyfrowy” dla big

agitprop zachłystnął się poparciem dla ministra Gawkowskiego – nawet minister finansów, Andrzej Domański, który – co prawda – nie oparł się pokusie przypomnienia, że to on, a nie Gawkowski, jest jedynie władny wprowadzać nowe podatki, ale posłusznie powtórzył przy tym przekaz dnia: „Nikt nam nie będzie mówić... Jesteśmy krajem suwerennym i dumnym ze swej suwerenności”. Przekaz, mówiąc nawiasem, który zaczął brzmieć w wypowiedziach tej władzy dość śmiesznie, gdy dzień później rzecznik TSUE wprost odmówił Polsce suwerenności, co politycy i media władzy przyjęli z demonstracyjną potulnością.

Tu prowokacja – bo sędzę, że Gawkowski nieprzypadkowo wyskoczył teraz z podatkiem cyfrowym, z pozoru ni w pięć, ni w dziewięć, bo nic się w tej sprawie nowego nie dzieje – jest zdecydowanie sprytniejsza niż w wypadku tromtadracji Sikorskiego z Muskiem. Idea podatku cyfrowego nie jest nowa, szukać pieniędzy dla budżetu w kieszeniach big techów próbował już premier Mateusz Morawiecki i spotkało się to z bardzo stanowczą i na wyższym od ambasadora szczeblu zapowiedzią naszego głównego sojusznika, iż uzna to za działanie „szkodliwe dla wzajemnych stosunków”. Reakcja na ponowne wrzucenie tematu do polskich mediów była więc do przewidzenia, choć nie można było sądzić (a może?), że tym razem przybierze ona tak nieprofesjonalną i niestosowną formę publicznego pouczenia Polaków przez ambasadora, który nawet jeszcze formalnie nie zaczął swej misji.

W tzw. międzyczasie pojawiły się w mediach śledzących kuluary polityki przegłosy ze sztabu Rafała Trzaskowskiego, że „konflikt z Trumpem buduje go” (m.in. cytują anonimowo taką wypowiedź „ze źródeł zbliżonych do...”). Joanna Miziołek i Eliza Olczyk w swoich „niedyskrecjach parlamentarnych”). To, czy „jazda” na USA i Trumpa rzeczywiście „buduje” kandydata PO czy może jednak mu szkodzi, jak sądzę, w czasie, gdy mój tekst wędrował do państwa, było obiektem usilnych „fokusów” i badań ankietowych. Jeśli w najbliższym czasie usłyszymy także od Trzaskowskiego, że trzeba wyłączyć „dywersyjne” amerykańskie media społecznościowe, które „bezwładnie ingerują w europejskie

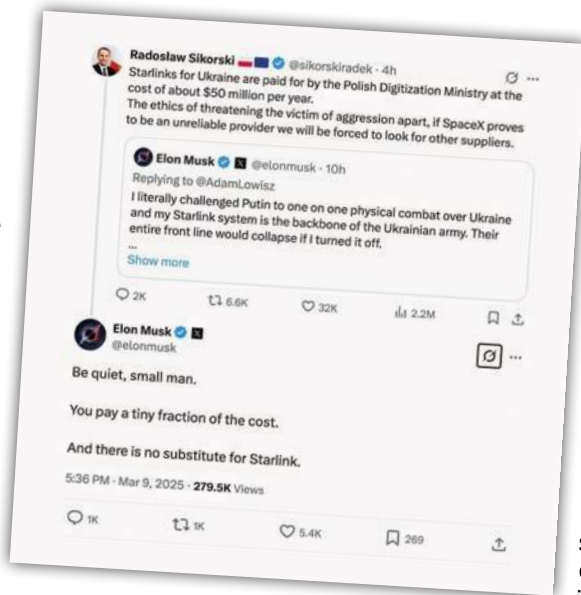
Ubocznym groteskowym skutkiem antyamerykanizmu obecnej władzy jest nagłe uderzenie przez jej propagandę w tony narodowej dumy

techów bo „nie może być tak”, że Google, X czy Facebook zarabiają w Polsce krocie i się tym nie dzielą (nie tak dawno premier Tusk chwalił Google, że zainwestuje miliony – konkretnie pięć – we wdrażanie w Polsce AI. Ale kto to jeszcze pamięta?). Wpis Gawkowskiego sprowokował do reakcji nowo mianowanego ambasadora USA, Thomasa Rose’a, który dość obcesowo „odradził” nam ten pomysł, zapowiadając po ewentualnym wprowadzeniu podatku retorsje. I znowu cały rządowy

procesy demokratyczne”, to będzie to znaczyło, że teza rozmówcy „niedyskrecji” została w badaniach potwierdzona.

Jeśli jednak założyć, że obie burze w społecznościowej szklance wody wywołane zostały celowo, po to właśnie, żeby socjometry mieli odpowiednią próbkę do zbadania (a na to wygląda), to raczej nie zrobiono tego pod kątem kampanii Trzaskowskiego. Kandydat na prezydenta trzymany jest na uboczu polityki europejskiej wobec USA, która po kopnięciu w stół przez J.D. Vance’a i samego Trumpa kompletnie się rozjechała. Widać to choćby po zachowaniu samego Tuska, który jednego dnia powtarzał brukselskie przekazy o „silnej Europie”, która na złość zdraycy ukraińskiej sprawy, Trumpowi, sama pokona Putina i zapewni stabilność tej części świata, a drugiego dodawał, że „oczywiście” podstawą tej europejskiej siły jest i zawsze pozostanie sojusz ze Stanami Zjednoczonymi.

Którą z tych postaw ostatecznie Tusk wybierze? Gdyby poczuwał się, zgodnie ze sławnym hasłem Romana Dmowskiego, do „obowiązków polskich”, rzecz byłaby bezdyskusyjna. Trump Polski nie zaczepia. Więcej – za każdym razem, gdy sobie o naszym istnieniu przypomina, sypie komplementami. To Polska jest dziś w Europie tym dobrym krajem, który zawsze Amerykę kocha i który przeznacza prawie 5 proc. PKB na obronność. Amerykańska telewizja publiczna zapowiedziała właśnie emisję serialu „Made in Poland. The Road to the Top”, mającego promować nas jako kraj bezprzykładnego sukcesu gospodarczego i cywilizacyjnego. Powie ktoś, że komplementy nic Trumpa nie kosztują, a telewizja publiczna nie jest w USA specjalnie wpływowa (choć nie do końca, bo jej produkcje trafiają potem do sieci komercyjnych), ale dobrej prasy w kraju, który dotąd kojarzył nas tylko z „Polish jokes” oraz, w najlepszym wypadku, pierogami, gołąbkami i wódką, warto nie tracić. A już na pewno nie dlatego, że jeden czy drugi politykier chce podbudować swoje ego, wygrażając Trumpowi i zapowiadając, że przywoła go do porządku, jak – uczciwszy proporcje i odmienność sytuacji – zapowiadali



Ostra wymiana zdań między Radosławem Sikorskim a Elonem Muskem na platformie X

kiedyś Józef Beck i Edward Śmigły-Rydz „pokazanie jego miejsca” krzykliwemu kanclerzowi Niemiec.

EUROPA BEZ PLANU

Wiemy jednak, że Tusk poczuwa się bardziej do „obowiązków” (a może raczej „korzyści”) brukselskich. W europejskim wzmożeniu może więc korcić go rola, do której niedwuznacznie zachęcany jest przez swoich mocodawców w Europejskiej Partii Ludowej i szeroko rozumianej eurokracji. Rola harcownika, który będzie atakował Trumpa z pozycji europejskiej moralnej wyższości i rzucał mu w oczy zapowiedzi europejskiej wielkości, opartej na zaciągniętym na poczet przyszłych zbrojeń kredycie i fantastycznych wizjach dopędzenia USA w nowoczesnych technologiach (fantastycznych, bo już nawet niemiecki Siemens zapowiedział inwestycje w nowe zakłady na terenie USA, a nie UE).

Europa nie ma na razie spójnego planu, jak odnaleźć się w nowej, zmieniającej się przez Trumpa światowej geopolityce – ale eurokracja próbuje wykorzystać tę zmianę, jak wszystko, co się nadarza, do realizacji swoich obsesyjnych celów: przeprowadzenia pozatraktatowej centralizacji Unii w spojęne wspólnym długiem „państwo europejskie” oraz „transformacji klimatycznej”, wciąż postrzeganej w oderwanym od realiów

brukselskim światku jako sposób osiągnięcia zwycięstwa w globalnym wyścigu gospodarczym, a nie gwóźdź do trumny europejskiej konkurencyjności.

Dla Polski realizowanie tych celów niesie ze sobą tylko szkody. Dla Tuska osobiście i jego partii może stanowić nadzieję na zyskanie coraz bardziej potrzebnej ochrony przed „zmanipulowanym przez Trumpa i Putina” wynikiem wyborów.

Poza wszystkim wybór może być dla Tuska o tyle prosty, że już się on dokonał. Możliwe, że ocenia on, iż cokolwiek by jeszcze zrobił, i tak – mówiąc potocznie – ma już u Trumpa „przekichane” za swoje wcześniejsze dokonania. Dlatego wycofywanie się i tak nie ma sensu. Stąd uparte trzymanie w MSZ Sikorskiego z jego szczeniackimi prowokacjami i żoną, która w czasie, gdy mąż „ustawia do pionu” Elona Muska, powtarza w niemieckiej telewizji swe obsesyjne opowieści o faszystowskiej naturze rządów Trumpa, stąd podtrzymywanie kompromitującej Polskę kandydatury Bogdana Klicha na ambasadora w Waszyngtonie i oczekiwanie, że Europa tę okazywaną Trumpowi „niepokorność” doceni.

Ubočnym groteskowym skutkiem tej postawy jest nagłe uderzenie przez propagandę obecnej władzy na użytek wewnętrzny w tony narodowej dumy i wielkości. Od czasów Gomułki i Mieczysława Moczarza nie mieliśmy chyba takiego patriotycznego wzmożenia wśród oficerów (bo nawet Jaruzelski ograniczył się do przywrócenia wojsku rogatywek i nazwania kolaborantów reżimu „Patriotycznym Ruchem Odrodzenia Narodowego”). O nie – przekrzykują się nagle środowiska, które do wczoraj kpiły z „patriotyzmu” i wywodziły uczenie, że „patriotyzm jak rasizm nie ma żadnego moralnego uzasadnienia” – o nie, nikt nam, Polakom, dumnemu, suwerennemu narodowi, nie będzie mówił, co nam wolno, ani ingerował w nasz demokratyczny proces wyborczy!

No, chyba że Niemcy albo Unia... Ale ta jakoś nie dostrzega w tym patriotycznym wzmożeniu zagrożenia dla swych centralizacyjnych planów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



TYGODNIK LUDZIEGO
**DO
RZECZY**

28 marca 2025 r.

Na Gali nagrodzimy najlepsze inicjatywy, ludzi, organizacje i firmy z Małopolski działające na rzecz ochrony dzieci i młodzieży, dzięki którym ich dzieciństwo jest harmonijne a świat bezpieczny. Widzimy w naszych dzieciach przyszłość dla wszystkich dzieł naszego życia. W każdym narodzie istnieje cel nadrzędny, czyli szczęśliwe i bezpieczne dzieci wychowywane przez kochające rodziny, wśród prawdziwych przyjaciół, pedagogów, w przyjaznych placówkach oświatowych i otoczeniu. Wychowanie to musi być osadzone mocno w wartościach bliskich także redakcji tygodnika „Do Rzeczy”.

Patronat Honorowy: Łukasz Smółka Marszałek Województwa Małopolskiego

PARTNERZY:



Karol Nawrocki i PiS, czyli słoń w pokoju



Łukasz Warzecha

Karol Nawrocki nie jest w stanie choćby symbolicznie zdystansować się od polityki wystawiającej go w wyborach partii, co w powiązaniu ze składanymi przez niego obietnicami robi coraz bardziej kuriozalne wrażenie. Słoń jest w pokoju i puchnie, a kandydat udaje, że go nie zauważa

Rafał Trzaskowski – 37 proc., Sławomir Mentzen – 22 proc., Karol Nawrocki – 21 proc. To sondaż Pollster dla „Super Expressu” z 12 marca – już niejedyny, w którym dokonana się mijanka między kandydatem PiS, dla niepoznaki zwanym „obywatelskim”, a kandydatem Konfederacji na prezydenta. Wciąż jednak nie jest to norma i mijanka nie jest widoczna w średniej sondażowej, a tylko na średnią warto zwracać uwagę. W sondażu CBOS, zrealizowanym w podobnym okresie, prezydent Warszawy uzyskał 35 proc., prezes IPN – 23 proc., a Sławomir Mentzen – 21 proc. Z kolei najświeższy sondaż IBRiS pokazuje jeszcze inny obraz, korzystniejszy dla Nawrockiego: Rafał Trzaskowski – 35,7 proc., Karol Nawrocki – 22,3 proc., Sławomir Mentzen – 15 proc.

Trend jednakże jest czytelny: kandydat Konfederacji ma mocny wynik z tendencją wznoszącą, od 15 do 20 proc., znacznie lepszy, niż wielu przewidywało, podczas gdy kandydat PiS regularnie zbiera poparcie niższe niż wystawiająca go partia i zaczyna oscylować w granicach 22–25 proc., podczas gdy kilka tygodni temu był blisko 30 proc.

Karol Nawrocki najwyraźniej nie porywa. Analogie z powolnym wzrostem poparcia dla Andrzeja Dudy w 2015 r. nie

są trafione po prostu dlatego, że jesteśmy w całkiem innym momencie politycznym. I to właśnie jest dla kandydata PiS największym problemem.

SAŻNISTE WYSTĄPIENIE

Konferencja (takiej nazwy oficjalnie używano) programowa Karola Nawrockiego 2 marca w Szeligach miała nadać jego kampanii nowego rozpędu i pokazać, że kandydat ma pomysł na to, jak powinna wyglądać Polska w niemal każdej dziedzinie. Plan się powiódł – lecz tylko częściowo.

Rzetelni komentatorzy dostrzegli wysiłek włożony w wystąpienie programowe, które przypominało solidne exposé szefa rządu. Podobnie też było przygotowywane – nad jego poszczególne wątki pracowały zespoły problemowe w PiS. Paradoksalnie ilustruje to część kłopotu z Nawrockim. Inaczej niż politycy otrząskani z różnymi materiałami, bo pełniący w swojej karierze najróżniejsze funkcje, prezes IPN zajmował się zawodowo tylko jedną dziedziną: polityką historyczną. W sprawach polityki międzynarodowej, gospodarki czy wojskowości brakuje mu wiedzy i doświadczenia. Podczas konferencji wygłosił swoje wystąpienie w większości z głowy, co się chwali, ale nauczenie się

na pamięć tego, co przygotowali inni, nie zastąpi choćby ogólnej orientacji w poszczególnych dziedzinach. Stąd powtarzające się wpadki, z których jedna z najsłynniejszych wydarzyła się wkrótce po konwencji w Szeligach, gdy w Radiu Zet u Bogdana Rymanowskiego Nawrocki zadeklarował, że Polska powinna zerwać stosunki dyplomatyczne z Rosją.

Programowe wystąpienie kandydata było sążniste – trwało ponad dwie godziny – i stawało się nużące, co zauważał nawet sam przemawiający, ale trudno z tego czynić zarzut, skoro miało być dowodem na posiadanie pomysłów w różnych sprawach. I faktycznie – spora część prezentowanych propozycji była interesująca, w szczególności w specjalnie wybitym wątku dotyczącym podatków.

Najważniejsze z omawianych zapowiedzi to likwidacja podatku Belki; obniżka VAT z 23 do 22 proc.; korzyści podatkowe łącznie z likwidacją PIT dla rodzin z przynajmniej dwojgiem dzieci oraz włączenie do systemu tych korzyści przedsiębiorców, rozliczających się ryczałtem i podatkiem liniowym; konstytucyjna ochrona przed podatkiem katastralnym oraz konstytucyjne zabezpieczenie dziedziczenia bez podatku. W większości przypadków Nawrocki zapowiadał zmianę poprzez prezydencką inicjatywę ustawodawczą.



ROTOMASZ JASTRZEBOWSKI/REPORTER

Były też jednak pomysły budzące spore wątpliwości. Co np. miałyby oznaczać uwolnienie państwowych gruntów pod budownictwo? Na jakiej zasadzie? Za ile i kto miałby na tym skorzystać? Nawrocki ogłaszał swoje poparcie dla gotówki, tymczasem UE wprowadziła pakiet AML, który ogranicza transakcje gotówkowe do 10 tys. euro, a już od 3 tys. euro nakazuje sprzedawcom dokładnie kontrolować kupującego. Polska zobowiązana jest do realizacji tych postanowień. Karol Nawrocki powtórzył także swoją zapowiedź obniżenia o 33 proc. rachunków za prąd, ale wyjaśniając, jak miałyby tego dokonać, uciekł się do naprawdę słabego chwytu retorycznego. Przypomniawszy mianowicie, że gdy Beata Szydło zapowiadała wprowadzenie „500+”, również nie wierzono, że może się to udać – a jednak się udało. Co ma jednak piernik do wiatraka? Jaka jest analogia pomiędzy programem wprost finansowanym z budżetu a planem obniżenia rachunków za energię o jedną trzecią? Chyba że miałyby się to odbyć na podobnej zasadzie – dopłat z budżetu, ale w takim razie nie mówimy o rozwiązaniu systemowym, za to na pewno mówimy o kosztach idących w dziesiątki miliardów złotych rocznie.

Znaczna część zapowiedzi była kierowana do wyborców planujących

w pierwszej turze głosować na Sławomira Mentzena. Ci jednak wyborcy – a także inni, wrażliwi na sprawy gospodarcze, podatkowe i w swoim wyborze biorący pod uwagę przede wszystkim kwestie finansowe – musieli dostrzec problem z wiarygodnością kandydata. Ten problem siedział w pierwszym rządzie i miał twarz Jarosława Kaczyńskiego, Ryszarda Terleckiego, Mateusza Morawieckiego.

PROBLEM WIARYGODNOŚCI

Mimo rozpaczliwego zabiegu, którym było mianowanie Nawrockiego „kandydatem obywatelskim”, nikt w ten sposób o nim nie myśli. Nawet ci, którzy powtarzają z obowiązku to fikcyjne określenie. Dla przeciętnego wyborcy to po prostu kandydat PiS – i tak jest w istocie. Żaden prezydent nie działa w próżni. Aby realizować swoje pomysły i mieć poparcie dla własnych inicjatyw ustawodawczych, musi zdobywać dla nich poparcie w Sejmie. To już wyklucza realizację większości zapowiedzi Nawrockiego w tej kadencji parlamentu (to samo zresztą dotyczy Sławomira Mentzena). Ale nawet gdyby w kolejnej PiS miał większość – choćby i niesamodzielną – to na jakiej podstawie mielibyśmy uznać, że będzie realizował pomysły sprzeczne z własnymi działaniami podejmowanymi w ciągu ośmiu lat?

„Precz z Zielonym Ładem!” – woła Nawrocki i jest oklaskiwany przez Morawieckiego, który podpisywał kilkakrotnie konkluzje Rady Europejskiej zawierające kolejne elementy tego programu, oraz Kaczyńskiego, który stwierdzał ledwie kilka lat temu, że pozostawanie poza Zielonym Ładem nie wchodzi w grę, bo to ustawienie się na marginesie. Koniec z podatkiem Belki? Znakomicie! Ale dlaczego w takim razie PiS nie zniósł go w ciągu ośmiu lat swoich rządów? Obniżka VAT o 1 punkt procentowy (szkoda, że tylko tyle)? Genialnie, tylko dlaczego PiS w czasie swoich ośmiu lat aż czterokrotnie głosił w Sejmie za utrzymaniem tej wyższej stawki, wprowadzonej „tymczasowo na trzy lata” w 2011 r. przez Donalda Tuska? Nawrocki chce być twardy wobec Ukrainy – to dobry kierunek. Tyle że w pierwszym rządzie na jego konwencji siedzieli politycy, którzy gotowi byli uznać jeszcze w 2023 r. za zdrajcę polskiego interesu każdego, kto mówiłby takie rzeczy, jakie teraz wygłasza ich kandydat. Nawrocki chce bronić gotówki? To bardzo ważne, ale to Mateusz Morawiecki zamierzał drastycznie ograniczyć możliwość jej używania, a jego plan nie powiódł się jedynie dzięki oporowi ówczesnej Solidarnej Polski. Rodzice mają mieć prawo do wychowywania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniem – ale to PiS tak znowelizował prawo łowieckie w 2018 r. – pod wpływem antymyśliwskiej fobii Kaczyńskiego – że rodzice nie mogą na polowanie zabrać własnych niepełnoletnich dzieci. I tak dalej, i tak dalej – lista jest długa.

Były też w wystąpieniu kandydata PiS dwie bardzo widoczne luki. Pierwsza dotyczyła imigracji. Nawrocki dużo mówił o tym, że jako prezydent będzie zdecydowanym przeciwnikiem imigracji nielegalnej. Zapowiedział nawet stworzenie specjalnego urzędu do spraw walki z nią. Nie wspomniawszy jednak ani słowem o planie na imigrację legalną – i łatwo się zorientować, dlaczego tak się stało: to za rządów PiS wjechała do Polski bezprecedensowa liczba migrantów zarobkowych, bez planu i strategii, za to pod dyktando głównie wielkich firm korzystających z ich pracy, rychło zaś okazało się, że wbrew twierdzeniom Mateusza Morawieckiego nie są to imigranci bezproblemowi. Określenie, na jakich warunkach

■ i w jakiej liczbie imigranci zarobkowi mieliby przyjeżdżać do Polski i jak pogodzić interes społeczny w tej dziedzinie z interesem przedsiębiorców, jest nie mniej ważne niż walka z nielegalną imigracją. Jest to jednak temat wybitnie dla PiS niewygodny.

Przy okazji wątku ukraińskiego zaś nie usłyszeliśmy ani słowa na temat członkostwa Ukrainy w NATO i UE – a przypomnieć trzeba, że były to twarde deklarowane przez PiS i fundamentalne dla tej partii punkty jego polityki wobec wschodniego sąsiada. Czy zatem coś się zmieniło? Nie wiadomo.

W ubiegłym tygodniu miałem okazję wziąć udział w spotkaniu Rady Przedsiębiorców – organizacji utworzonej przez byłego rzecznika małych i średnich przedsiębiorców, Adama Abramowicza. Pytałem obecnych tam przedstawicieli biznesu – w większości średniego i małego – jak podobają im się deklaracje kandydata PiS. Odpowiedzi były podobne: kierunek jest dobry, niektóre propozycje są ciekawe, ale trudno wierzyć kandydatowi startującemu z ramienia partii, która firmowała Polski Ład i była wobec przedsiębiorców nastawiona co najmniej z rezerwą.

Na Karola Nawrockim mści się dzisiaj to, co podczas konwencji w Przysusze w październiku ubiegłego roku grzmiało ze sceny Jarosław Kaczyński: „Żadnego bicia się w piersi, to służy wyłącznie naszym przeciwnikom!”. Bicia się w piersi zatem nie było, nie było żadnego rozliczenia się z błędami, bo tak zarządził Naczelnik – i to mimo że poszczególni politycy PiS, na ogół podczas nieoficjalnych rozmów, stwierdzają, że to bardzo poważny błąd. Z powodu narzuconej wtedy linii sam Nawrocki nie jest w stanie choćby symbolicznie zdystansować się od polityki wystawiającej go w wyborach partii, co w powiązaniu ze składanymi przez niego obietnicami robi coraz bardziej kuriozalne wrażenie. Słoń jest w pokoju i puchnie, a kandydat udaje, że go nie zauważa.

Ma też kandydat PiS inny problem. Zakładając nadal – racjonalnie – że znajdzie się w drugiej turze, musi liczyć na elektorat Sławomira Mentzena. Ten zaś jest bardziej wybredny niż elektorat samego Nawrockiego, który nie będzie przecież przede wszystkim głosował na program, ale weźmie udział w plebiscycie

– za albo przeciwko obecnej władzy. Tak jak to w pierwszych minutach swojego wystąpienia w Szeligach całkiem wprost powiedział Nawrocki. Można więc zakładać, że gdyby do drugiej tury dostał się kandydat Konfederacji, zdecydowana większość wyborców PiS, choćby z niechęcią, oddałaby na niego głos.

Nie ma tu jednak symetrii z elektora-tem Mentzena. Jego wyborcy w znacznej części kierują się sprzeciwem wobec istniejącego duopolu, którego Nawrocki jest częścią jako nominat PiS. Żadne zakłęcia na temat jego „obywatelskości” tu nie pomogą. Oczekują także programowych zapowiedzi mieszczących się w liberalnym nurcie. Te ostatnie dostają, choć zarazem dostają obrazek kandydata PiS ściskającego dłoń związkowego lidera, Piotra Dudy. Nawrocki nie może jednak kandydata Konfederacji wprost atakować, mimo że ten jest dla niego wyraźną konkurencją, bo wyborcy Mentzena nie zagłosują w drugiej turze na Karola Nawrockiego jedynie dlatego, że nie jest Rafałem Trzaskowskim. To wiąże Nawrockiemu ręce.

Pytanie, jak długo sztabowcy z PiS będą się tej linii trzymać. Wypowiedzi niektórych dziennikarzy związanych z partią Kaczyńskiego czy też samego prezesa PiS na temat sondażu „Super Expressu” i tekstu tej gazety o ewentualnej wymianie kandydata mogą wskazywać, że być może niepisany rozejm pomiędzy Mentzenem i Nawrockim się kończy.

Za nierewelacyjnymi wynikami poparcia dla tego ostatniego stać może i to, że jawi się jako kandydat zwyczajnie nudny. Na początku na jego korzyść – szczególnie w kontraście z Rafałem Trzaskowskim – grało, że nie starano się ulepić jego wizerunku w opozycji do tego, jaki Karol Nawrocki jest naprawdę. Ba, nawet podkreślano jego „zwyczajność” i ciężką drogę od „zwykłego chłopaka z blokowiska” do wysokiego stanowiska. Kampania ma jednak swoją dynamikę i nie da się w niej nieustannie grać tym samym schematem. Dwa, trzy razy można przyciągnąć uwagę robieniem pompek czy ćwiczeniami na siłowni. Ale 10, 20 razy?

Nawrocki spotyka się z wyborcami, jednak wciąż znaczna część tych spotkań ma miejsce w salach, gdzie z natury rzeczy większość widzów to osoby już

zdecydowane. Powtarzają się transparen-ty z logo Klubów „Gazety Polskiej”. Jest tu więc może walor mobilizacyjny, ale jest to mobilizacja w ramach swojej bańki. Jednocześnie kandydat niespecjalnie pali się do udzielania wywiadów mediom, gdzie mogą go spotkać mniej wygodne pytania, co sprawia wrażenie strategii mocno defensywnej.

Gdyby przyjąć nieco spiskowy sposób myślenia, można by uznać, że coraz wyraźniej widoczna bezbarwność Nawrockiego jest przemyślanym wyborem, którego skutkiem ma być demobilizacja zwolenników strony przeciwnej. Są nawet tacy, którzy uważają, że w sondażach celowo pompowany jest Sławomir Mentzen, aby ostatecznie Karola Nawrockiego wyprzedził i aby później łatwiej było grać przeciwko kandydatowi Konfederacji np. oskarżeniami o prorosyjskość. Tak skomplikowana operacja socjotechniczna, angażująca wiele ośrodków badania opinii publicznej, niosłaby jednak ze sobą ogromne ryzyko nieprzewidywanych skutków.

MIEDZY RUTYNĄ A REWOLUCJĄ

Stosując brzytwę Ockhama, lepiej widzieć stan rzeczy w prostszy sposób. Dwóch kandydatów, walczących w tej chwili o drugie miejsce, prezentuje inne porządki i inne propozycje. Karol Nawrocki jest przedstawicielem duopolu PO-PiS i kimś na kształt Andrzeja Dudy w wersji 2.0. Można założyć, że dla dużej grupy to wybór bezpieczny, ale też oznaczający, że polska polityka będzie trwać w doskonale znanych i jałowych koleinach. Że dostaniemy dalszy ciąg chocholego tańca, który sprawił już, że dziś nie możemy być pewni nawet tego, jaka instytucja potwierdzi ważność wyniku wyborów.

Sławomir Mentzen w drugiej turze natomiast to tym razem prawdziwe wywrócenie stolika – by przywołać nieco skompromitowany slogan Konfederacji z 2023 r. Zajęcie przez niego 18 maja drugiego miejsca – nawet gdyby ostatecznie nie wygrał wyborów – to niemal gwarancja rebelii w PiS i rozpadu tej partii, a tym samym rozpadu niszczącego Polskę od 20 lat duopolu. Czy wyborcy umownie rozumianej prawicy wybiorą bezpieczną rutynę czy rewolucję?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKIEGO

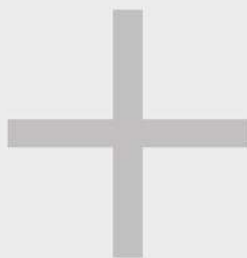
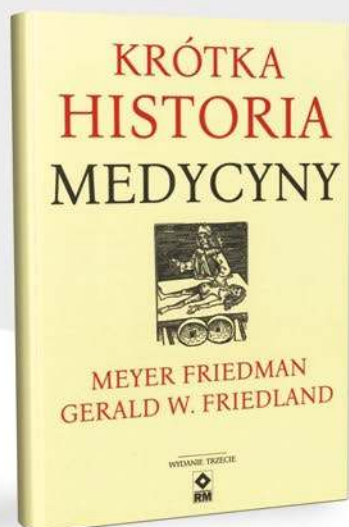
Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

MEYER FRIEDMAN, GERALD W. FRIEDLAND:
„KRÓTKA HISTORIA MEDYCYNY”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~750~~ ZŁ

291,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 465 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 2d04efd129

Prawicowa kłótnia w rodzinie



Paweł Zdziarski

Mówi się, że najbardziej krwawe są wojny bratobójcze. Dotyczy to również walki politycznej, czego dobitnym przykładem jest sytuacja w Konfederacji po ogłoszeniu startu w wyborach prezydenckich przez Grzegorza Brauna. Im bliżej końca kampanii, tym pomiędzy dwoma wyłoniłymi frakcjami tego ugrupowania iskrzy coraz bardziej

8 marca 2025 r. w południe w jednym z warszawskich hoteli rozpoczęły się obrady Kongresu Konfederacji. Jej najważniejszym punktem były wybory nowych członków 12-osobowej Rady Liderów, a także sądu partyjnego i komisji rewizyjnej. Warto dodać, że Kongres budził wiele emocji w szeregach Konfederacji już od dawna.

GENEZA SPORU

Działo się tak przede wszystkim ze względu na spór wokół terminu wydarzenia. Janusz Korwin-Mikke, usunięty z Konfederacji po ostatnich wyborach do Sejmu, uznawał władze partii za nielegalne od lipca 2024 r. Minęło wówczas pięć lat od oficjalnego zarejestrowania Konfederacji przez Sąd Okręgowy w Warszawie. Zdaniem Korwin-Mikkego był to statutowy termin, w którym powinien zostać zwołany Kongres. Tak się jednak nie stało, dlatego polityk postanowił złożyć wniosek do sądu w tej sprawie. Przedstawiciele Ruchu Narodowego

i Nowej Nadziei w odpowiedzi tłumaczyli, że byłemu posłowi pomyliły się przepisy przejściowe z ogólnymi, a także zarzucali mu szukanie uwagi.

Tak czy siak, Kongres w końcu się odbył, ale Konfederacja była już w nowej sytuacji. Wszystko za sprawą startu w wyborach prezydenckich przez Grzegorza Brauna. Choć polityk swój start ogłosił dopiero w styczniu br., to od dawna coś wisiało w powietrzu. Z jednej strony Braun, wielokrotnie pytany o tę kwestię, odpowiadał wymijająco, a nawet porównywał decyzję o kandydowaniu do „skoku na główkę do pustego basenu”. Z drugiej strony nie włączał się w żaden sposób w kampanię Sławomira Mentzena, który był oficjalnym kandydatem Konfederacji w wyścigu o fotel Prezydenta RP. W tym miejscu dotarliśmy do drugiego punktu spornego, który podzielił partię. Kością niezgody stał się bowiem nie tylko brak Kongresu, lecz także fakt, że nie doszło do organizacji prawyborów, czego frakcja Brauna – i on sam – nigdy nie zaakceptowała.

Reszta ugrupowań w ramach Konfederacji przyjęła ten stan rzeczy. Nie było to jednak łatwe, szczególnie dla polityków Ruchu Narodowego, kiedy docierały do nich liczne komentarze wyborców, że kandydatem powinien zostać Krzysztof Bosak. Wicemarszałek Sejmu zdaje się być w „żywej formie” politycznej. Nie tylko jest doskonale rozpoznawany przez Polaków, lecz także według wielu sondaży zajmował wysokie miejsce w rankingu zaufania do polityków. Jego merytoryczną argumentację i udane występy w debatach doceniali również polityczni przeciwnicy. Zarówno Bosak, jak i cały Ruch Narodowy pozostali jednak lojalni wobec ustaleń Rady Liderów i od samego początku konsekwentnie wspierali prezesa Nowej Nadziei.

Kandydat Konfederacji prowadzi niezwykle aktywną kampanię wyborczą.

Nie dość, że jest ona najdłuższa (jako pierwszy ogłosił start i jako pierwszy został zarejestrowany), to jeszcze poraża jej ogromne tempo. Mentzen od kilku miesięcy odwiedza miasta powiatowe w całej Polsce. Dziennie odbywa siedem spotkań, a nawet planuje pobić ten wynik. Do tego należy dodać wysoką aktywność internetową i medialną kandydata, co widać po ogromnych zasięgach w sieci. Kiedy jednak Mentzen i jego sztab zostali nagrani podczas bieganina z jednego spotkania na drugie, w dodatku unikając odpowiedzi na pytania dziennikarzy, na polityka spadła fala krytyki. Jak się później okazało, był to jedynie wierzchołek góry lodowej, a sam Mentzen, mimo że na spotkaniach spotykał się z wieloma tysiącami zwolenników, musiał również zderzyć się z gorzkimi słowami na swój temat.

Kto najczęściej stawia krytyczne tezy pod adresem kandydata Konfederacji? Wydaje się, że można te osoby podzielić na trzy główne grupy. Pierwsza z nich uaktywniła się szczególnie w ostatnim czasie, ponieważ wcześniej na celowniku trzymała głównie Karola Nawrockiego. Są to środowiska związane z obecnym rządem Donalda Tuska i całą liberalno-lewicową stroną sceny politycznej. Emanacją ich taktyki jest niedawny wpis Romana Giertycha na portalu X: „Natychmiast nasza kampania musi się przestawić na walkę z Mentzenem. Nawrocki już się nie podniesie”. Faktycznie, Internet zalała lawina negatywnych komentarzy na temat kandydata Konfederacji. Z jednej strony były to odrzeczane kotlety o alkoholowej wpadce Mentzena, słynnej „piątce” i „100 ustawach”, a także rzekomym antysemityzmem i wrogości wobec kobiet. Rozwój sztucznej inteligencji sprawił, że poszło to jednak zdecydowanie dalej. Za pomocą tzw. deep fake głos Mentzena podkładany jest do słów, których nigdy nie wypowiedział, a wiele osób powiela to dalej z przekonaniem, że cytat jest autentyczny.

Drugą grupą krytyczną wobec kandydata Konfederacji są środowiska powiązane z PiS, choć one dość długo traktowały go jako potencjalnego sojusznika w walce z Rafałem Trzaskowskim. Kiedy jednak się okazało, że Mentzen dogania w sondażach Karola Nawrockiego, a w niektórych nawet go wyprzedza, sytuacja się zmieniła. W tym przypadku zarzuty są oczywiście

inne. Zarówno politycy, jak i sympatycy Prawa i Sprawiedliwości na nowo zaczęli mówić, że Konfederacja jest prorosyjska, tylko udaje prawicę, a w dodatku głosuje wspólnie z Platformą Obywatelską przeciwko ich partii.

Oczywiście Konfederacja nie pozostaje dłużna i w swoim stylu również krytykuje innych kandydatów. Obserwując poziom debaty, można zdecydowanie stwierdzić, że obecna kampania ma wyjątkowo brutalny charakter. Do powyższych przykładów sporów politycznych dążyliśmy jednak już przywyknąć. Co innego, jeżeli chodzi o trzecią grupę, z którą Mentzen ma na pieńku. Są nią zwolennicy Grzegorza Brauna. Wydaje się, że krytyka z tej strony jest najbardziej ostra i dosadna, nierzadko uderzająca w najczulsze punkty. Ktoś, kto osobiście zna przeciwnika i ma z nim wiele wspólnych doświadczeń, wie, gdzie uderzyć, aby go zabolalo. Tak jest też w tym przypadku.

NIE BYŁO „AKSAMITNEGO ROZSTANIA”

Punktem kulminacyjnym dla rozejścia się dróg obu polityków było ogłoszenie startu w wyborach przez Brauna, co miało miejsce w styczniu br. Wydawało się wówczas, że kandydaci wywodzący się z Konfederacji podzielią się elektoratem, który wcześniej głosował na ich wspólną partię. Okazało się jednak, że jest inaczej. Nie dość, że Mentzenowi nie spadło poparcie, to jeszcze po dołączeniu do wyścigu Brauna otrzymał rekordowe notowania w sondażach. W mediach zaczęło się pojawiać mnóstwo teorii na ten temat. Najbardziej powszechna mówi o tym, że dla wielu wyborców zagłosowanie na

Mentzena nie wchodziło w grę dopóty, dopóki był on w jednym ugrupowaniu z Braunem. Jednocześnie środowiska Konfederacji Korony Polskiej wyrażają przeciwną opinię. Ich zdaniem to ugrupowanie Mentzena i Bosaka rozpoczęły, wbrew pierwotnym założeniom, marsz do centrum. Ich zdaniem uwolnienie się od tego brzemienia pozwoli Braunowi wreszcie być sobą i nie podlegać partyjnej cenzurze.

Z jednej strony mamy zatem zarzuty o brak szacunku dla decyzji władz Konfederacji i rozbijanie elektoratu przez Brauna, a z drugiej – nazywanie obecnego ugrupowania Mentzena „neo-Konfederacją”. Skoro drogi obu kandydatów się rozeszły i obaj walczą o inny elektorat, to z czego wynika tak radykalne zwalczanie się przez środowiska obu z nich?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, warto wrócić do rozstrzygnięć wspomnianego Kongresu z 8 marca. W wyniku podjętych tam decyzji w 12-osobowej Radzie Liderów nie znalazł się żaden przedstawiciel Konfederacji Korony Polskiej. Sam Grzegorz Braun został usunięty tuż po ogłoszonym starcie w wyborach, ale wciąż współtworzyli ją Włodzimierz Skalik oraz Robert Iwaszkiewicz. Na mocy decyzji sądu partyjnego z 6 marca obaj zostali wykluczeni z partii. Włodzimierz Skalik pozostaje jednak członkiem klubu poselskiego. Inny z polityków Konfederacji Korony Polskiej, Roman Fritz, wycofał się wcześniej z kandydowania do Rady Liderów. Personalia to jedna sprawa, ale na tym zarzuty zwolenników Brauna się nie kończą. Mówią oni wprost o łamaniu prawa przez obecne władze partii. W oświadczeniu Konfederacji Korony

Polskiej czytamy: „Rada Liderów, w celu zagwarantowania przewagi swojej opcji w Kongresie, przyjęła do Partii nowych członków. Z uwagi na brak wymaganej przez par. 24 ust. 1 pkt 9 Statutu kwalifikowanej większości 4/5 głosów doprowadziła uprzednio do usunięcia z Rady Liderów osób, które na tego typu działania nie wyrażały zgody. W efekcie przyjęci w ten sposób członkowie Partii wzięli udział w głosowaniach podczas Kongresu, mając decydujący wpływ na głosowanie”.

Politycy Nowej Nadziei i Ruchu Narodowego, mający od tej pory jako jedyni przedstawicieli w Radzie Liderów, tłumaczą jednak, że przyjęci nowi członkowie mieli być włączeni do partii już dawno, a część z nich nie pojawiła się na Kongresie. W związku z tym nie mogli być „języczkiem u wagi”. Podkreślają również, że członkowie Korony brnęli do konfrontacji, próbując zerwać kworum i nie biorąc udziału w najważniejszym głosowaniu o przebiegu wydarzenia.

Wybory prezydenckie coraz bliżej, co rodzi wiele pytań o ewentualną przyszłą współpracę obu powstałych frakcji. Wiele zależy od tego, jak będzie wyglądała końcówka kampanii, szczególnie debaty. Zarówno Mentzen, jak i Braun mogą wiele zyskać na obecnej sytuacji, ale to od nich i ich środowisk politycznych zależy, czy tak się stanie. Jeżeli sztaby obu kandydatów skupią się na przyciągnięciu do siebie jak największej liczby wyborców, a nie uderzaniu w najbliższego ideowo konkurenta, to mogą uzyskać nie tylko lepszy wynik w najbliższym wyścigu prezydenckim, lecz także mieć lepszą pozycję startową w kolejnej walce politycznej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA





Fundacja
Dorastaj z Nami

Pomóż dzieciom Bohaterów

Przekaz **1,5%** podatku
w podziękowaniu za służbę ich Rodziców

KRS: 0000 36 12 65



Bohaterowie wciąż wyklęci

FOT. ADAM BARBORSKI/REUTERS



Anna Mandrela

Wspomnienie o polskim powojennym podziemiu niepodległościowym po wojnie powinno łączyć Polaków, a nie dzielić. Jest jednak inaczej. Dlaczego? Czy to się kiedyś zmieni?

Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych obchodzimy od 2011 r. Mogłoby się wydawać, że te uroczystości nie powinny już budzić żadnych kontrowersji. Jako autorka książek o rtm. Pileckim i siostrze Izabeli, zakonnicy więzionej w komunistycznych więzieniach, już od kilku lat 1 marca jestem zapraszana na różne wykłady, a w ramach możliwości odwiedzam też szkoły.

Tegoroczny atak na obchody organizowane 1 marca był zarówno dla mnie, jak i dla organizatorów spotkania dużym zaskoczeniem! Spotkanie miało odbyć się w budynku szkoły w Jastrzębiu-Zdroju, lecz organizatorem nie była szkoła, ale organizacje katolickie i patriotyczne, które wynajęły salę w szkole. Nieoczekiwanie rozpętała się burza – telefony, donos do MEN i kuratorium, naciski na dyrektora szkoły i ostatecznie zmiana sali na dzień przed

planowanym wydarzeniem. Organizatorzy sprostali tym wyzwaniom. Do domu kultury, w którym ostatecznie zostało zorganizowane spotkanie, przyszło ok. 70 osób. Dopiero po spotkaniu dowiedziałam się o kuriozalnym artykule, który ukazał się na portalu Radia TOK FM: „1 marca w Zespole Szkół nr 6 w Jastrzębiu-Zdroju miał odbyć się wykład o pogromie na Polakach, o którym świat milczy. Jedna ze słuchaczek TOK FM nagłośniła sprawę i napisała do MEN. – Nie ma mojej zgody na antysemityzm – powiedziała”. Ową słuchaczką była Ewa Rutkowska, nauczycielka filozofii z Warszawy, która prowadzi zajęcia „antydystryminacyjne” z młodzieżą. Na jej Facebooku pojawiają się treści, które wprost promują ideologię komunistyczną i antykatolicką, m.in. przeróbka obrazu „Ostatnia wieczerza” z udziałem Marksa, Engelsa i Lenina. Co ciekawe, redakcji Radia TOK FM takie promowanie komunizmu nie przeszkadza, natomiast upamiętnienie bohaterów walczących z moskiewskim reżimem po wojnie zostało w owym artykule określone jako „opowiadanie się po stronie narracji rosyjskiej”!

Skąd nauczycielka z Warszawy dowiedziała się o spotkaniu w Jastrzębiu-Zdroju? Czy nie jest to jakaś zorganizowana akcja? Autorka artykułu, Anna Gmiterek-Zabłocka, pisze dalej: „Jeden ze swoich wykładów on-line dr Mandrela zaczyna od słów: »W ostatnich latach Polacy są niesłusznie oskarżani o współudział

w mordowaniu Żydów podczas drugiej wojny światowej«. Mimo że o niechlebnych, w tym antysemickich, zachowaniach Polaków mówią źródła historyczne”. Jakie źródła historyczne? Tego redakcja TOK FM już nie przytacza! Jest to kolejny przykład ślepego powielania antypolskiej narracji. Innym moim „przewinieniem”, według dziennikarki, miały być internetowe rozmowy ze „znanym ze skrajnych poglądów” Leszkiem Żebrowskim.

MONOPOL NA SŁOWO „POGROM”?

Stalinowskie więzienia, katownie ubeckie, wywózki w głąb Rosji, oblawy na leśnych partyzantów – tak wyglądała powojenna rzeczywistość. Pracownicy IPN ocenili, że podczas instalowania i umacniania władzy ludowej w Polsce mogło zostać zamordowanych 50 tys. osób. Do dziś wielu ludzi nie jest świadomych skali tych zbrodni. Był to prawdziwy pogrom na Polakach, na co chciałam wskazać w podtytule („Pogrom na Polakach, o którym świat milczy”) mojego wykładu. Właśnie słowo „pogrom” nie spodobało się redakcji TOK FM i osobom, które współcześnie promują komunizm. Okazuje się, że w publicystyce sformułowanie „pogrom” ma być zarezerwowane jedynie dla Żydów. O polskich ofiarach mówić nie wolno, a tym bardziej o stalinowskich prokuraturach i funkcjonariuszach MBP żydowskiego pochodzenia, którzy byli oprawcami polskich patriotów: Stefan Michnik, Józef Różański (Goldberg), Julia Brystiger, Józef Czaplicki (Izydor Kurc), Felicja Daniełak (Fajga Mindla). Przedstawienie ich sylwetek jest częścią rzetelnego opisywania ówczesnych realiów, a nie żadnym „antysemityzmem”!

Dlaczego pomimo upływu tylu lat wciąż pozwalamy na takie zakłamywanie rzeczywistości? Niestety, Polacy po 1989 r. dali się nabrać na narrację kreowaną przez wywodzącego się z czerwonego harcerstwa Adama Michnika. W latach 90. „Gazeta Wyborcza” stała się głównym medium kształtującym świadomość Polaków, jednocześnie powielającym komunistyczną propagandę. Według jej narracji mord na żołnierzach kpt. Henryka Flamego „Bartka”, gdzie w wyniku operacji „Lawina” funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa zamordowali ponad 100 żołnierzy, ma zostać całkowicie przemilczany. Z kolei

zamieszki wywołane przez UB w Kielcach, w wyniku których zamordowano trzydziestu kilku Żydów i kilku Polaków, mają być określane pogromem. W aktach IPN można znaleźć wiele dokumentów podziemia niepodległościowego, opisujących prawdę o tamtych czasach. Dokumenty te są przez lewicowych dziennikarzy całkowicie ignorowane. Jedno ze źródeł przedstawia relację kieleckiego Żyda, który za wydarczenia kieleckie wprost obwiniał miejscowe UB obsadzone w dużej mierze przez wyselekcjonowanych Żydów. Celem miało być doprowadzenie do zamieszek, aby wykorzystać je do aresztowań z góry upatrzonych ludzi.

BIEJAT ŻĄDA ODSZKODOWAŃ

Do ataku na obchody 1 marca dołączyła Magdalena Biejat, która podczas konferencji prasowej postulowała wypłacanie odszkodowań „ofiaram Żołnierzy Wyklętych”. Jej wypowiedź wskazuje na całkowitą ignorancję i brak znajomości tematu oraz tamtych czasów. Sceptycznie o Dniu Żołnierzy Wyklętych wypowiadał się również prof. Adam Leszczyński, dyrektor Instytutu Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza.

Witold Pilecki w jednym ze swoich raportów z powojennej Polski pisał o tworzeniu przez UB pozorowanych band, które miały rabować okoliczne wsie, aby psuć opinię polskim partyzantom. Wbrew temu, co głosiła sowiecka propaganda, Polska po wojnie nie była „wyzwolona”. Zainstalowany w Lublinie rząd tymczasowy był całkowicie podporządkowany Stalinowi. Polacy o różnych poglądach politycznych łączyli się w walce o niepodległość. Przykładem takiego zjednoczenia był Komitet Porozumie-

wawczy Organizacji Demokratycznych Polski Podziemnej. W skład tego komitetu wchodziły ugrupowania o różnych poglądach politycznych – narodowcy, centrolewica, socjaliści. Celem była walka o wolne wybory i informowanie Zachodu o prawdziwej sytuacji Polski. W styczniu 1947 r. komitet został rozbity, a jego członkowie aresztowani.

1 marca wspominamy całe podziemie niepodległościowe po wojnie. Rzeczywiście sformułowanie „Żołnierze Wyklęci” nie odzwierciedla w pełni zaangażowania różnych grup społecznych w walkę z sowieckim terrorem. Komuniści aresztowali i brutalnie traktowali nie tylko członków leśnej partyzantki. Kobiety, młodzież z antykomunistycznych organizacji, publicyści i politycy, walczący o to, by wybory nie zostały sfałszowane. Każdy mógł zostać aresztowany, wiele osób cierpiało straszliwe tortury, wielu bohaterów zostało zamordowanych.

Te historie powinny łączyć Polaków, a nie dzielić! Tego dnia prawica mogłaby wspominać Leona Dziubeckiego ze Stronnictwa Narodowego, a lewica Adama Obarskiego z PPS WRN. Oboje trafili do mokotowskiego więzienia. Czy uda nam się doczekać czasów, kiedy 1 marca będzie jednoczyć Polaków? Dlaczego pomimo tylu badań i procesów, które na początku lat 90. rehabilitowały członków podziemia, komunistyczna propaganda jest wciąż powielana?

ZAMIAST BOHATERÓW KULT INFLUENCERÓW?

Szkoda, że do dzisiaj nie powstał film, który przedstawiłby prawdę o tamtych czasach, a zarazem mógłby się przebić za granicą. Zamiast tego z kieszeni pol-

skiego podatnika rząd finansował filmy oskarżające Polaków o antysemityzm: „Marzec 1968” czy „Ida”. Nie dziwnym się, że wobec braku inicjatyw, które mogłyby prawdziwie upamiętnić ten temat, moda na Żołnierzy Wyklętych powoli się kończy. Młodzi ludzie nie dowiadują się już o bohaterstwie „Inki”, Witolda Pileckiego i Łukasza Cieplińskiego. Zamiast tego spędzają całe godziny na TikToku, śledząc swoich ulubionych influencerów. Temat podziemia antykomunistycznego zniknął z programów nauczania. Reżyserzy tacy jak Konrad Łęcki nie potrafią znaleźć środków na kolejne filmy.

Mając to na uwadze, byłam zaskoczona, gdy dowiedziałam się, że Polski Instytut Sztuki Filmowej dofinansował kwotą miliona złotych film „100 dni do matury” wyprodukowany przez kontrowersyjnych influencerów z grupy Ekipa. Ministerstwo Edukacji Narodowej objęło zaś patronatem ten film, a na jego premierze pojawiła się Barbara Nowacka w towarzystwie Katarzyny Lubnauer. Film opowiada o tym, jak „wiceministra edukacji” chce popsuć system oceniania matur, aby skompromitować „ministrę Barbarę Bogacką”, ale główni bohaterowie to udaremniają. A że aktorami są influencerzy związani z Karolem „Frizem” Wiśniewskim, którego lekarze krytykowali za publikowanie w Internecie wyzwań narażających zdrowie uczestników, takich jak „kto najdłużej wytrzyma w lodowatej wodzie” – to już ani MEN, ani kuratorium nie przeszkadza. Możemy tylko liczyć na to, że w obliczu tej propagandy młodzież się przebudzi i zamiast kultu influencerów wybierze historię niezłomnych i zapomnianych Polaków z podziemia niepodległościowego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Radio nr 1 w Polsce

RMF NAJLEPSZA MUZYKA

Szczęście w konserwie



Radosław Wojtas

Konserwatyści są szczęśliwsi i rzadziej zmagają się z depresją niż ludzie o poglądach lewicowych. To fakt potwierdzony przez wiele badań naukowych. Z czego to wynika?

Zdaje się, że groźba grzywny czy aresztu przeraża młodych aktywistów z Ostatniego Pokolenia bardziej niż rychła i pewna zagłada planety z powodu zmian klimatycznych, gdyż kiedy tylko policja zaczęła wypełniać swoją powinność podczas blokad dróg, nagle o tego typu protestach zrobiło się cicho. Kilka miesięcy temu, kiedy nie było tygodnia, by w Warszawie ktoś się do czegoś nie przyklejał, w Internecie roiło się od nagrań z protestów. Padały w nich bardzo dramatyczne deklaracje. Na jednym z takich nagrań młoda dziewczyna, łkając, mówi: „Piąty raz w ciągu dwóch tygodni siedzę na Wiślostradzie i, k...a, nienawidzę, że tu jestem [...]”. Nie mogę uwierzyć, że jako dziecko, jako 20-letnia osoba, która ma skończone życie w świecie, w którym jest kryzys klimatyczny, muszę siadać naprzeciwko

ludzi, którzy jadą do pracy, którzy jadą do swoich dzieci, jadą do szpitala. Nie mogę uwierzyć, że muszę to robić. Jest mi tak przykro, że tu muszę być. My wszyscy cierpimy tutaj”.

To skrajny przykład tego, jak duży i destrukcyjny wpływ na poczucie szczęścia i kondycję psychiczną może mieć światopogląd. Rosnące kolejki do gabinetów psychiatrów i psychologów oraz liczne badania nie pozostawiają złudzeń: stan psychiczny zwłaszcza młodych ludzi jest coraz gorszy. Wyłania się jeszcze jedna prawidłowość: osoby o poglądach konserwatywnych czują się szczęśliwsze i rzadziej zmagają się z depresją.

PARANOICZNY STRACH

Pogarszanie się kondycji psychicznej młodzieży łączone jest często z upowszechnieniem się Internetu (zwłaszcza

portali przewrotnie nazwanych społecznościowymi), urządzeń mobilnych, zanikaniem relacji w „realu” kosztem spędzania coraz więcej czasu w wirtualnym świecie. Ale przecież nie tylko nowe technologie mają wpływ na młode umysły. Czworo naukowców Uniwersytetu Columbia – Catherine Gimbrone, Lisa M. Bates, Seth J. Prins i Katherine M. Keyes – postanowiło sprawdzić, czy i jaki wpływ na obniżony nastrój młodych mogą mieć wydarzenia polityczne. I czy oddziaływanie tych wydarzeń na psychikę może zależeć od poglądów politycznych i cech socjodemograficznych.

W tym celu przeanalizowano dane z corocznych przekrojowych badań uczniów ostatnich klas szkół średnich w ramach programu „Monitoring the Future”. Analizowano lata 2005–2018. I o ile do 2010 r. trendy pozostawały na dość stabilnym poziomie, o tyle od 2010 r. wskaźniki depresyjne zaczęły gwałtownie rosnąć. Ale nie we wszystkich grupach jednakowo. Największy wzrost zaobserwowano u dziewcząt o poglądach liberalnych. Najmniejszy – u chłopców o poglądach konserwatywnych. Przy czym nie płeć była tu najważniejszą determinantą, a właśnie światopogląd. Liberalni młodzi mężczyźni częściej deklarowali występowanie czynników depresyjnych niż młode kobiety o poglądach konserwatywnych.

Badacze wskazują na kilka możliwych przyczyn takiego stanu rzeczy. W drugiej dekadzie XXI w. nastąpił rozwój mediów społecznościowych, których algorytmy podsuwają treści dopasowane do zainteresowań i obaw odbiorców, by jak najmocniej ich angażować. Jeśli ktoś ogląda materiały, które karmią jego lęki, to będzie dostawał coraz więcej pożywienia. Zmiany klimatu, #MeToo, rasizm, dyskryminacja, faszyzm, prześladowanie, dyskryminacja, prawica, Donald Trump... Lista – uzasadnionych bądź nie – strachów jest długa, ich natężenie może być dla młodych, wrażliwych umysłów toksyczne.

Amerykański socjolog Musa al-Gharbi zwraca uwagę, że w USA wykształceni, biali liberałowie to osoby, które najczęściej identyfikują się jako „anty-rasiści”, „feministki”, mają skrajnie progresywne poglądy na kwestie „kulturowe”, a jednocześnie należą do grupy, która wedle

FOT. ADRIAN STOK

wyznawanych przez nich ideologii jest odpowiedzialna za całe zło tego świata – białych, zamożnych mieszkańców Zachodu. „W efekcie tej mentalności biali liberałowie postrzegają wszystkie inne grupy rasowe i etniczne lepiej niż swoją własną. Nie ma innej kombinacji ideologii i rasy lub etniczności, która wytwarza podobny wzór. To napięcie – bycie częścią grupy, której się nienawidzi – wywołuje silne presje dysocjacyjne u wielu białych liberałów” – pisze al-Gharbi w artykule dla „American Affairs”.

Także badania przeprowadzone w 2022 r. w Stanach Zjednoczonych przez YouGov oraz Deseret News na próbie Amerykanów w wieku 18–55 lat wykazały, że poczucie szczęścia w życiu jest bardziej powszechne wśród konserwatystów niż lewicowców, a różnica ta jest większa w przypadku kobiet. Na pytanie o zadowolenie z kondycji psychicznej 15 proc. kobiet o lewicowych poglądach wskazało, że są „całkowicie zadowolone”, a kolejne 15 proc. – „dość zadowolone”. Odsetek konserwatystek wyniósł odpowiednio 31 proc. i 36 proc. Mężczyźni o poglądach lewicowych: 19 proc. „całkowicie zadowolonych” i 21 proc. „dość zadowolonych”. Mężczyźni o poglądach konserwatywnych: 32 proc. „całkowicie zadowolonych” oraz 36 proc. „dość zadowolonych”. 61 proc. konserwatystek i 49 proc. konserwatystów wskazało zadowolenie z życia rodzinnego wobec zaledwie 36 proc. pań i 38 proc. panów o poglądach lewicowych.

Instytut Gallupa – najstarszy instytut badania opinii społecznej na świecie – podawał, że w latach 2005–2007 61 proc. republikanów twierdziło, że jest osobiście bardzo szczęśliwych, w porównaniu z tylko 47 proc. demokratów. Chyba rekordową różnicę samopoczucia odnotowało Pew Reserch Center w 2006 r.: 45 proc. do 28 proc.

Różnice w poziomie odczuwania szczęścia na korzyść konserwatystów występują tak długo, jak długo sięga historia badań w tym zakresie. Tendencja jest potwierdzana m.in. w przeprowadzanym od 1972 r. amerykańskim badaniu socjologicznym General Social Survey. Niemal w każdej edycji uwidacznia się ok. 10-procentowa różnica między odsetkiem konserwatystów i liberałów deklarujących, że są „bardzo szczęśliwi”.

Różnice w poziomie odczuwania szczęścia na korzyść konserwatystów występują tak długo, jak długo sięga historia badań w tym zakresie

Większe zadowolenie z życia i mniejsza skłonność do depresji wśród konserwatystów nie są wyłącznie specyfiką Stanów Zjednoczonych. Niemieckie badaczki Olga Stavrova i Maike Luhmann swego czasu poddały analizie dane z ponad 90 krajów. „Wyniki dwóch badań obejmujących ponad 270 tys. osób z 92 krajów ankietowanych w ciągu ostatnich 40 lat wykazały, że konserwatyści wydają się szczęśliwsi i bardziej zadowoleni z życia niż liberałowie w ok. 65 proc. kontekstów społeczno-kulturowych” – zauważają badaczki.

LICZĄ SIĘ WARTOŚCI

Co sprawia, że konserwatyści są szczęśliwsi? Badacze wskazują na kilka czynników. Po pierwsze – wiara. Konserwatyści częściej są religijni. Ludziom wierzącym łatwiej jest dostrzec cel i sens życia, znosić przeciwności losu, choroby i cierpienie. Łatwiej patrzeć w przyszłość z optymizmem i nadzieją. Moralny kompas wskazuje drogę, która pozwala uniknąć wielu destrukcyjnych zachowań. Horyzont myślowy rozciągnięty poza życie ziemskie może pomóc w odpowiednim poukładaniu priorytetów. Praktykujący katolicy rzadziej pozostają w związkach nieformalnych, mniej trwałych niż małżeństwa. Niższy jest wśród nich odsetek rozwodów. Kościół to także wspólnota, relacje, wsparcie.

Poczucie wspólnotowości i tożsamości daje również patriotyzm, zakorzenienie w narodzie i jego historii. To cenne w świecie, w którym tak wielu ludzi ma problemy z określeniem własnej tożsamości, nawet w sferze biologicznych faktów.

Na poczucie szczęścia wpływ mają relacje. Cytowany wcześniej Musa al-Gharbi zauważa, że do osłabienia więzów ze znajomymi, przyjaciółmi, a nawet rodziną mogą przyczynić się różnice polityczne. „Ankiety konsekwentnie wykazują, że

liberałowie mają bardziej jednorodne politycznie sieci społeczne. Są także znacznie bardziej skłonni do unikania, zrywania lub ograniczania relacji z powodu różnic politycznych. Kobiety białe o poglądach liberalnych są szczególnie skłonne do przyjmowania tej postawy. Zgłaszają one także szczególnie wysokie poziomy lęku, depresji i innych zaburzeń w porównaniu z innymi Amerykanami. To może nie być przypadek: gotowość do »kancelowania« swojej rodziny i przyjaciół z powodu różnic politycznych lub ideologicznych prawdopodobnie nie poprawi ich szczęścia ani dobrostanu” – pisze amerykański socjolog.

Konserwatywny światopogląd pozwala bardziej racjonalnie patrzeć na rzeczywistość i zaakceptować panujące w niej zasady. Konserwatyści i lewicowcy inaczej postrzegają np. pojęcie sprawiedliwości społecznej. Dla tych drugich sprawiedliwość oznacza po równo, często niezależnie od zaangażowania. Konserwatyści akceptują różnice społeczne, godzą się z pewnymi nierównościami. I to wcale nie dlatego, że mają grubsze portfele. Dziś wysoki status materialny często idzie w parze z poglądami lewicowymi. Cechy przypisywane raczej konserwatystom – samokontrola, sprawczość, odpowiedzialność etc. – pozwalają im lepiej reagować na przeciwności losu i mocniej chwycić stery własnego życia, mieć poczucie, że jest się kowalem własnego losu. Na drugim biegunie jest przekonanie, że sukces lub porażkę determinują czynniki zewnętrzne, takie jak szczęście, koneksje, niesprawiedliwy system etc.

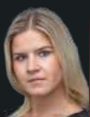
KONSERWATYZM NA ZDROWIE

Musa al-Gharbi zauważa jeszcze dwie ciekawe zależności. Po pierwsze: ludzie o lewicowych poglądach mają większą tendencję do zamartwiania się rzeczami, na które nie mają wpływu i które dotyczą ich w bardzo ograniczonym stopniu. I po drugie: osoby te patrzą na świat przez specyficzny pryzmat, który sprawia, że dostrzegają dyskryminację, rasizm, seksizm, homofobię etc. tam, gdzie tak naprawdę ich nie ma. To prowadzi do wzrostu poziomu lęku, stresu i różnych zaburzeń. „Niezależnie od wieku i płci liberałowie są mniej więcej dwa razy bardziej skłonni do zgłaszania diagnozy choroby psychicznej niż konserwatyści” – pisze amerykański socjolog.

Reklama czy neutralna treść? Powinno być to jasne dla każdego, kto widzi publikację w mediach społecznościowych. Odpowiedzialność za nieprzekraczanie tych granic ponoszą twórcy, a także agencje i reklamodawcy. Na co mamy wpływ my, konsumenci treści? Generalnie – na zasięgi twórców. Obserwujesz, lajkujesz, podajesz dalej. Jak często jednak zastanawiasz się, czy warto wspierać kogoś, kto nie gra uczciwie wobec Ciebie? – wskazuje Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów, ogłaszając nałożenie kar na trzy bardzo znane polskie gwiazdy. – Wydane decyzje dotyczą nieuczciwych praktyk, które Filip Chajzer, Dorota Rabczewska i Małgorzata Rozenek-Majdan stosowali przez wiele lat. Na influencerów nałożyliśmy łącznie prawie pół miliona złotych kar. Uwzględniłiśmy długotrwałość i zasięg działań, a także ich wpływ na odbiorców – poinformował prezes UOKiK Tomasz Chróstny.

Dlaczego Urząd wypowiedział „wojnę” osobom publicznym stosującym tego rodzaju praktyki? W zalewie internetowych treści, z których wiele jest sponsorowanych, użytkownik często nie ma szansy dowiedzieć się, czy jego ulubiony twórca poleca np. krem do twarzy dlatego, że przez wiele tygodni codziennego stosowania produkt okazał się wart polecenia, czy to po prostu kolejne zlecenie reklamowe. W związku z tym nieważny odbiorca, wierząc w słowa influencera, może zakupić rzecz, która wcale nie spełni jego oczekiwań. Aby uchronić internautów przed takim oszustwem, UOKiK już w 2022 r. opublikował jasne wytyczne dotyczące oznaczania współpracy reklamowej. Sytuacja wymagała uregulowania, ponieważ rosnący stale rynek influencer marketingu stał się w pewnym momencie prawdziwym polem minowym dla konsumenta. Co rusz wybuchały nowe afery, gdy okazywało się, że rzekomo świetny produkt polecany przez internetowego twórcę to albo po prostu scam (oszustwo, np. podrabiane zegarki udające markowe albo produkt, który choć został opłacony, nigdy nie dotarł do zamawiającego i nie ma żadnej możliwości odzyskania pieniędzy), albo słabej jakości chińska podróbka. Celebryci z większymi zasięgami próbowali i nadal próbują uniknąć w ten sposób zarzutów o bycie słupami rekla-

(Nie)szczere polecajki



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyska

Celebryci notorycznie wprowadzają swoich obserwatorów w błąd, nie informując ich, że polecają dany produkt tylko dlatego, iż dostali za to pieniądze. UOKiK nałożył właśnie kolejne, wielotysięczne kary

mowymi, którymi de facto wielu z nich jest. Obrazowy przykład – gwiazda telefonem pozyskanym w ramach współpracy reklamowej fotografuje nowe włosy, które doczepiono jej w barterze, a w tle zdjęcia stoi torba cateringu pudełkowego, również będącego elementem reklamy. W ten sposób kreuje się niedostępny dla 99 proc. społeczeństwa świat luksusu, w którym za nic nie trzeba płacić, bo wszystko dają nam sponsorzy. Choć wielu celebrytów wydaje się mocno odklejonych od realiów, to jednak unikając informowania o współpracy reklamowej, próbuje zachować przed widzami pozory neutralności.

POWINNOŚĆ PRZEDSIĘBIORCY

Akcja #OznaczamyReklamy w jasny sposób pokazywała zasady, których influencerzy muszą przestrzegać. „Przedsiębiorca powinien informować zarówno o reklamowanej marce, jak i komercyjnym charakterze treści w sposób niebudzący żadnych wątpliwości. Oznaczenie powinno być jednoznaczne i wykonane od razu w momencie publikacji w widocznym miejscu, np. na początku opisu lub nagrania. Ważne, aby komercyjny charakter był dla konsumentów jasny. Należy używać rekomendowa-

nych określeń, np. #reklama, (reklama), [reklama], #materiał sponsorowany, (materiał sponsorowany), [materiał sponsorowany], napisanych wystarczająco dużą i wyraźną czcionką” – oto wytyczne UOKiK. Dzięki konsekwentnym działaniom Urzędu zjawisko oszukiwania odbiorców przez mniejszych twórców udało się niemal całkowicie wyplenić. Mali influencerzy mają bowiem ograniczoną grupę odbiorców – muszą o nią bardziej zabiegać. Jeden błąd może niekiedy kosztować karierę. Tymczasem gwiazdy o ogólnopolskim zasięgu, posiadające milionowe wyświetlenia, wydają się niewiele robić sobie z obowiązku dotyczącego jawności reklam. Być może towarzyszy im poczucie bezkarności – skoro obserwują ich miliony, to zawsze znajdzie się ktoś nowy, kogo można nabrać na rzekomo „szczerą polecijkę”. – Gdy idziemy do sklepu, nasz cel jest jasny – zakup różnego rodzaju produktów. Gdy surfujemy po sieci i podglądamy życie naszych ulubionych gwiazd, nie chcemy, aby podprogowo sprzedawały nam np. wkładki do butów zwiększające kreatywność, których nawet nie przetestowały – argumentuje Tomasz Chróstny.

W ostatnim czasie UOKiK poinformował o nałożeniu kar na troje celebrytów.



Pierwszy z nich, prezenter Filip Chajzer (817 tys. followersów na Instagramie), miał publikować reklamowe treści na zlecenie kilkudziesięciu różnych podmiotów, ale w swoich komercyjnych wpisach oznaczał jedynie markę, podobnie jak w neutralnych relacjach z prywatnych zakupów czy codziennych czynności. Oznacza to, że nie podawał informacji, że jest to współpraca reklamowa. „Po postawieniu zarzutów zdarzało się, że stosował rekomendowane hashtagi, jednak zamieszczał je na końcu opisu, co czyniło je niewidocznymi na pierwszym etapie zapoznawania się z publikacją. Konsumenci mają prawo wiedzieć przed zapoznaniem się z materiałem, czy to reklama” – czytamy w komunikacie Urzędu. Prezes UOKiK nałożył na firmę Chajzera prawie 81 tys. zł kary.

Wśród ukaranych jest także piosenkarka Dorota Rabczewska „Doda”. „Zazwyczaj reklamowe materiały oznaczała jedynie przez wskazanie nazwy marki lub przez widoczne dopiero po rozwinięciu opisu oznaczenie #współpraca. Twierdziła, że jej fani i tak wiedzą, z którymi markami zawarła współpracę reklamową, pomijając tym samym to, że reklama ma być jednoznacznie oznaczona niezależnie od tego, kto ją ogląda

i co wie o autorze” – wskazano w decyzji Urzędu. Wokalistkę ukarano kwotą 191 tys. zł.

Na liście niestosujących się do wytycznych znalazła się też Małgorzata Rozenek-Majdan. Podobnie jak inni ukarani w tej „transzy” gwiazda TVN w internetowych publikacjach wskazywała jedynie nazwę marki. Niekiedy używała hashtagu #współpraca, ale robiła to tak, że odbiorca nie miał szans dojrzeć oznaczenia. „Wielokrotnie sugerowała, że stosowanie reklamowanych w istocie produktów jest jej osobistym wyborem konsumenckim, gdy ukrywała promocyjne treści pod pozorem odpowiedzi na pytania od obserwatorów. Udostępniała też kody rabatowe bez informacji, że otrzymuje za to wynagrodzenie lub procent od sprzedaży polecanych produktów” – wyjaśnia UOKiK. Na celebrytkę nałożono 220 tys. zł kary. Jednocześnie prezes Urzędu przekazał, że „influencerka poprawiła swoje działania do czasu wydania decyzji i w ostatnich miesiącach używa rekomendowanych oznaczeń”. Decyzje nie są prawomocne. Przedsiębiorcom przysługuje odwołanie do Sądu Ochrony Konkurencji i Konsumentów.

Tak się stanie na pewno w przypadku „perfekcyjnej pani domu”. Celebrytka

opublikowała w mediach społecznościowych oświadczenie przygotowane przez prawnika. Czytamy, że Rozenek-Majdan „przez cały okres postępowania wykazywała pełną gotowość do współpracy z UOKiK, dostosowując swoją działalność do jego zaleceń”. „Warto podkreślić, że kontrola objęła treści publikowane od 2016 r., podczas gdy oficjalne rekomendacje prezesa UOKiK dotyczące oznaczania treści reklamowych (stanowiące wyłącznie wskazówkę dla twórców internetowych, a nie będące obowiązującym prawem) zostały wydane dopiero we wrześniu 2022 r.” – dodano.

UŁATWIĆ PRZESTRZEGANIE PRAWA

UOKiK nie ma jednak zamiaru odpuszczać. W odpowiedzi rzecznik prasowa instytucji Małgorzata Cieloch podkreśliła, że decyzje wydane przez Urząd są efektem szczegółowych postępowań i zgromadzonych dowodów. „Za naruszenie zbiorowych interesów konsumentów grozi kara maksymalnie do 10 proc. obrotu. Na wysokość kar wpływają okoliczności łagodzące i obciążające, tak aby ich wysokość była adekwatna do zasięgu, czasu i okoliczności (np. umyślność działań, dobrowolne usunięcie skutków naruszenia, zaniechanie praktyki, współpraca z urzędem). W przypadku decyzji dotyczącej trojga influencerów, oprócz sankcji finansowych, prezes UOKiK nakazał publikację oświadczenia na ich profilach w mediach społecznościowych, na których prowadzili zakwestionowane praktyki” – wyjaśniono. Przypomniano, że rekomendacje z 2020 r. mają ułatwić przestrzeganie obowiązującego prawa. „Nie oznacza to, że wcześniej można było nie oznaczać przekazów reklamowych. Kwestionujemy praktyki wprowadzające w błąd na podstawie przepisów obowiązujących od 2007 r.” – dodała rzecznik UOKiK.

Pierwsza większa akcja Urzędu dotycząca kontroli poprawności oznaczania reklam miała miejsce w 2022 r. Wtedy prezes UOKiK wydał sześć decyzji o karach na łączną kwotę 139 tys. zł. Wówczas jednak kary były związane z brakiem udostępnienia przez influencerów poddanych weryfikacji dokumentów i danych wymaganych przez Urząd.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Filmowe Orlice i Orły z „tego



Remigiusz Włast-Matuszak

Czy doprawdy filmowcy z „tego kraju”, „ministra” Nowacka i „ministra” Hanna Wróblewska nie pojmują, że podcinają gałąź, na której siedzą?

Na scenę w siedzibie MKiDN wchodzi „osoba podręczna” i zapowiada: „Głos zabierze pani MINISTRA Hanna Wróblewska”. Doprawdy, czy pani minister nie słyszy, jak żenująco śmiesznie brzmi ten feminatyw? Szaleństwo feministycznej poprawności politycznej dosięga najwyższych funkcji państwowych, jednak najbardziej zaborczą feministką w „kulturze” okrzyknęła się pani Renata Czarnkowska-Listoś – przebojowa liderka organizacji Kobiety Filmu. Aż zapytam, czy w Lasach Państwowych i prywatnych są już „Kobiety Lasów” – drwalki, sadzeniarki (sadzunki)? A w Wojsku Polskim – szeregowki, kapranki, sierżantki, żandarmki, poruczniczki, kapitanek, majorki, pułkowniczki, generałki, admirałki? A kobieta kat to kaczka? Pracownica papierni – papierówka? Dekarz – dekownicza? Mandaryn

– mandarynka. Sekretarz generalny ONZ – sekretarka generalna? Oscar – Oscar-ka? Ltd., itp. do znudzenia. Język polski wypracował swoje normy i stosujemy je, by się nie ośmieszać. Czy pani minister kultury mogłaby przestać się kompromitować, bo zapytam ją o maskulatywy – np. „ prostytutka”, „mamka” i co? – będzie milczenie i obraza.

Pani Renata Czarnkowska-Listoś została ostatnio wybrana do znaczących „ciał” w kinematografii, a szczególnie w Polskim Instytucie Sztuki Filmowej (PISF). Ma siłę przebicia znacznie większą niż ja, dlatego sugeruję, by wprowadziła feminatywy również do oficjalnych nazw wszelkich nagród filmowych – dlaczego tylko Orły i Lwy? Polskie Orły – Orlice i Orły w Warszawie, a w Gdyni Złote Lwice i Lwy, to samo w Wenecji, a skandalem jest, by progresywny Festiwal w Berlinie miał tylko Złotego Niedźwiedzia. Złota Niedźwiedzica, a potem dopiero Niedźwiedź. Tylko w Cannes niech zostanie matriarchalna Złota Palma.

SMUTNE PROWINCJONALIA

W Teatrze Polskim zawiadywanym nieprzerwanie od 2011 r. (na koszt podatnika) przez aktora Andrzeja Seweryna (który, patrząc na mnie z ekranu telewizora, zażądał, by mnie i innych prawaków „wypie..olić”) odbyła się właśnie XXVII Gala Polskich Orłów.

Feta wróciła po latach do TVP i o ile FPFF w Gdyni jest imprezą branżową, o tyle nagrody filmowych Orłów zwanych „polskimi” jest zamkniętym spotkaniem kastowym uśmiechniętych lewaków. Gdzie swój przychodzi do swego po kasę. Wzorem miały być amerykańskie Oscary, a wyszły z tego smutne prowincjonalia.

Domówka zaczęła się na czerwonej wykładzinie w „antrejsce” Teatru Polskiego. Dziennikarz TVP łąsił się w żenujący sposób do prowadzącej gałę Grażyny Torbickiej. Są różne sposoby okazywania szacunku dystyngowanej starszej damie (65 lat), ale publiczne, prostackie nadskakiwanie było zwyczajnie niesmaczne. Pozwalałem sobie w latach ubiegłych na kpiny z Błażeja Hrapkowicza – Hrapkowicz wróć!

Z pierwszego balkonu teatru Orłom patronowały powitane gorąco „marszałkini” Kidawa-Błońska i „ministra” Hanna Wróblewska. Dożywotni prezydent i właściciel Akademii Filmu Polskiego Dariusz Jabłoński rozpoczął od politycznych aluzji dotyczących swego kolegi, też prezydenta – Donalda Trumpa. „Mali ludzie zrównują morderców z ofiarami”, później ni z gruszki, ni z pietruszki wspominał czołobitnie o Marianie Turskim (zasugerował zgromadzonemu, by nakręcili film o tym zasłużonym stalinowcu?), a całe Orły zadedykował Ukrainie.



Uczestnicy gali Polskiej Nagrody Filmowej Orły 2025 FOT. MARCIN OBARA/PAP

Spodziewałem się, że film „Dziewczyna z igłą” naszego nowego współobywatela Polski – Magnusa von Horna – dostanie jakieś nagrody, ale 11 (jedenaście!) nagród to już amok poprawności politycznej. Przypomnijmy, że ponura bajka dla dorosłych dziejąca się pod koniec XIX w. w Danii opowiada o biednej dziewczynie, która nie może dokonać aborcji, musi urodzić i ponosi tego konsekwencje. Już w Gdyni na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych von Horn domagał się wprowadzenia wolnej aborcji w Polsce. Teraz to już był manifest proaborcyjny jego i całego środowiska. Przy frenetycznej reklamie w progresywnych mediach film zszedł z ekranów w 2024 r. przy 67 163 widzach.

NAGRODZENI I POMINIĘCI

Faworyci nominowani do Orłów musieli zadowolić się jednym Orłem lub dwoma – mocno kontrowersyjna opowieść o Goralenvolku pt. „Biała odwaga” zdobyła Orła za najlepszą główną rolę męską – Filip Pławiak – i za najlepszą drugoplanową rolę męską – Julian Świeżewski. „Strefę interesów” Jonathana Glazera zbyt Orłem jedynie za najlepszy dźwięk. Odkrycie roku to Maria Zbąska („To nie jest mój film”). Mam satysfakcję, gdyż jako pierwszy na kolaudacji w PISF w 2022 r. pogratulowałem reżyserce udanego, bezpretensjonalnego dramatu

o zwykłych ludziach. Nagrodę publiczności zdobył pominięty w rozdaniu Orłów film Xawerego Żuławskiego – „Kulej. Dwie strony medalu”. Za najlepszy film europejski 2024 r. uznano kryminał psychologiczny „Anatomia upadku” w reżyserii Justine’a Trieta (Francja). Za najlepszy polski serial uznano „Matki pin-gwinów” – o dzieciach niepełnosprawnych intelektualnie, o którym Jagoda Szczęśliwa miała jak zwykle tak wiele dobrego do powiedzenia.

Kogo słusznie pominięto? „Sami swoi. Początek” w reżyserii Artura Żmijewskiego, „Wrooklyn Zoo” w reżyserii Krzysztofa Skoniecznego – film o „trudnej” miłości Romki i Polaka. „U Pana Boga w Królowym Moście”, arcyszmirę w reżyserii Jacka Bromskiego, no i „Kobieta z...” Małgośki Szumowskiej – o 48-letnim robotniku budowlanym zmieniającym płęć ze wszystkimi tego faktu konsekwencjami.

Lista niesłusznie, celowo i politycznie pominiętych filmów jest znacznie dłuższa – mam nadzieję, że nie wyrzadzam tu niedźwiedziej przysługi niżej wymienionym. Na pierwszym miejscu jest bezpretensjonalny komediodramat pt. „Wróbel” Tomasza Gąssowskiego. Jak można zrealizować dobry i piękny film o zwykłym listonoszu? Takie odstępstwa od głównego nurtu należy piętnować i karać. Oj, długo pan, panie Gąssowski, nie dostanie dotacji z PISF. „Ludzie” – w reżyserii Macieja Ślesickiego i Filipa Hilleslanda – jeden z najlepszych filmów wojennych ostatnich lat (MKiDN odrzuciło ten film jako polskiego kandydata do Oscara, a wskazało koszmarek ociekający poprawnością polityczną – film Damiana Kocura „Pod wulkanem”). „Koński ogon” w reżyserii Justyny Łuczaj – prawdziwa gratka dla znawców literatury antycznej i widzów spragnionych czegoś nowego, opowieści innej niż filmowa sztampa. Za sam „chór” grecki reżyserka powinna dostać nagrodę „ministra” MKiDN. Świetne „Skrzyżowanie” cenionej dokumentalistki Dominiki Montean-Pańków. „Minghun” Jana. P. Matuszyńskiego – udany dramat psychologiczny. „Fin del Mundo” Piotra Dumały – dobry i wyjątkowo trafiony komediodramat o naszej współczesności.

Członkowie Polskiej Akademii Filmowej jak co roku nie potrafili docenić dobrych filmów, idą stadnie, szlakiem przewidywalnej poprawności politycznej.

Przypominam, że w 2024 r. pominięli tak świetne filmy jak: „Pokolenie Ikea”, „Ukryta sieć”, „Lęk” i świetny „Horror story”. Sądzę, że Akademia powinna ze wstydu ulec samorozwiązaniu. „Gazeta Wyborcza” może udatnie przejąć jej funkcję. Wynik będzie adekwatny.

CO DALEJ?

Kto dostanie polskie Orły (Orlice) w 2026 r. (o ile koalicja 13 grudnia doczeka się do marca przyszłego roku?). Obstawiam film zrealizowany przez Sarę Bustamante-Drozdek pt. „Pieprzyć Mickiewicza” z Dawidem Ogrodnikiem jako głównym pieprzącym Wieszcza. Film zdobył 80 066 widzów, ale za to „Pieprzyć Mickiewicza 2” to już sukces pełną d... 601 472 młodych widzów rozgrzanych przez Internet. Trend pieprzenia klasyków nabiera rumieńców. Niebawem z hasła feministek „Mickiewicz, Słowacki, Żulczyk” niesprofanowanym fizycznie zostanie tylko Żulczyk. Oprócz MKiDN do łamania nudy w szkole dołączyło Ministerstwo Edukacji Narodowej. Na premierze filmu pt. „100 dni do matury” studenta/reżysera Mikołaja Piszczana (dzieła dofinansowanego przez MN) pojawiła się „ministra” Barbara Nowacka, wraz z Katarzyną Lubnauer, Joanną Muchą itd. Film opowiada o rozrywkowym 18-latk, który włamuje się do systemu MEN i unieważnia matury swoich przyjaciół, by jeszcze rok spędzić na bez troskim imprezowaniu. Cudownie – przecież właśnie o to chodzi, by młodzi Polacy opuszczali szkoły jako „europejskie” matolki. Jakich filmów możemy się spodziewać w kontynuacji „ślusznego” trendu ministru Nowackiej? „Pie...lenie o Szopenie” o licealistach odwiedzających Żelazową Wolę, którzy po dawce marchy puszczają dworek z dymem?

Czy doprawdy filmowcy z „tego kraju”, „ministra” Nowacka i „ministra” Hanna Wróblewska nie pojmują, że podcinają gałąź, na której siedzą? Przypominam im słowa SS-Gruppenführera, dramaturga i przewodniczącego pisarzy III Rzeszy Hannsa Johsta – wers z dramatu „Schlageter”: „Gdy słyszę słowo »kultura«, odbezpieczam pistolet” („Wenn ich Kultur höre entsichere ich meine Braowning”). Który z wychowanków ministru Nowackiej/Wróblewskiej pierwszy odbezpieczy pistolet?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Twórcy filmu wybrali nietypowy sposób na wprowadzenie widza w serce wydarzeń FOT. JURGEN OLCZYK

Czarny wtorek



Piotr Gociek

„September 5” to jeden z najlepszych filmów 2024 r. Z przyczyn politycznych ominęły go prestiżowe nagrody

Jako głowa państwa i w imieniu Republiki Federalnej Niemiec proszę o przebaczenie” – mówił we wrześniu 2012 r. prezydent Niemiec, Frank-Walter Steinmeier. „Przebaczenie za brak ochrony sportowców izraelskich w czasie igrzysk olimpijskich w Monachium i za brak wyjaśnień po ich zakończeniu; za to, że doszło do tych wydarzeń”. Słowa te skierowane były do rodzin ofiar i padły podczas ceremonii w 50. rocznicę ataku terrorystycznego z 5 września 1972 r. Rok

później powołano specjalną komisję, która wciąż bada, jak i dlaczego doszło do tragicznych w skutkach działań i zaniedbań.

Pół wieku zajęło Niemcom stwierdzenie faktów oczywistych. Na igrzyskach w Monachium rzecz była prosta: polityka wizerunkowa rządu w Bonn wygrała z rozsądkiem. Impreza miała pokazać światu nowe, lepsze, pokojowe i rozwijające się Niemcy. Dlatego za niewyobrażalne uznano uzbrojenie ochrony igrzysk (Niemiec z bronią budziłby niedobre skojarzenia), a jednocześnie w ramach polityki otwartości zaniedbano podstawowe inne środki bezpieczeństwa: informacje o tym, kto, gdzie i na jak długo jest zakwaterowany, były powszechnie dostępne, także – po raz pierwszy w dziejach igrzysk – przez terminale komputerowe, z których skorzystać mógł każdy gość wioski olimpijskiej.

Skończyło się tragedią. Palestyńscy terroryści z ugrupowania Czarny Wrzesień

wdarli się do pokoi członków ekipy izraelskiej. Dwóch zabito na miejscu, pozostałych ogłoszono zakładnikami. Próba ich odbicia zakończyła się śmiercią wszystkich Izraelczyków (łącznie zginęło 11 Żydów i niemiecki policjant). Nieudolne negocjacje i fiasco kompletnie nieprzygotowanej operacji na lotnisku w Fürstenfeldbruck pod Monachium obciążają Niemców, którzy odrzucili wcześniej propozycję, by do akcji wkroczyły izraelskie siły specjalne.

O tym, co działo się potem, opowiadał głośny film Stevena Spielberga „Monachium” (2005) inspirowany książką George’a Jonasa „Monachium. Zemsta”. Część szczegółów operacji „Gniew Boży” do dziś pozostaje tajemnicą, ale znamy jej cel i wyniki: izraelscy agenci tropili i zabijali organizatorów zamachu bez litości i bez dbania o międzynarodowe umowy. O tych samych wydarzeniach opowiadał wcześniejszy o dwie dekady film „Miecz Gideona” (1986).

Dostępny w polskich kinach film Tima Fehlbaua „September 5” skupia się na wydarzeniach feralnego dnia. Akcja rozpoczyna się kilkanaście minut przed chwilą, w której padły pierwsze strzały. Doskonale skonstruowany scenariusz trzyma w napięciu do końca, choć przecież wiemy, jak to wszystko się skończyło. Moritz Binder i Alex David (oraz sam Fehlbau) słusznie nominowani byli w tym roku do Oscara za scenariusz oryginalny – szkoda, że nie wygrali, bo wykonali wymśnioną robotę.

GRANICA ODPOWIEDZIALNOŚCI

Twórcy filmu wybrali nietypowy, a zarazem pozwalający na wprowadzenie nas w serce wydarzeń punkt widzenia. Trafiamy oto do kwater telewizji ABC, skąd redakcja sportowa w delegacji służbowej relacjonuje igrzyska, fetując sukcesy amerykańskich sportowców. Zrządzeniem losu w czarny wtorek okaże się, że znajdują się najbliżej miejsca tragedii i, co więcej, jako jedyni mają na zewnątrz kamery tak dobrze owo miejsce pokazujące. Nagle kwatery ABC staje się jednym z najważniejszych miejsc na świecie. Transmisję ogląda, jak się okaże, 900 mln ludzi.

Napisano wiele o tym, dlaczego Czarny Wrzesień zaatakował, jakie były żądania terrorystów, jak tragedia wpłynęła na relacje niemiecko-izraelskie oraz na kwestię ochrony igrzysk w przyszłości. Tim Fehlbau skupia się na odtworzeniu wydarzeń jednego dnia, w czym bliski jest znakomitemu filmowi dokumentalnemu Kevina McDonalda „One Day In September” (1999), nagrodzonemu zresztą Oscarem. Te filmy doskonale się uzupełniają, bo choć dotyczą tych samych wydarzeń, to główne zainteresowanie twórców było inne. McDonald uczynił nitką fabularną los jednego z zamordowanych sportowców, Andre Spitzera. Zgromadził imponujący materiał faktograficzny, łącznie z wywiadem z ocalałym zamachowcem, Jamalem Al-Gasheyem. To z jego ust padły słowa świadczące o tym, że terroryści osiągnęli swój cel. „Jestem dumny z tego, co zrobiłem w Monachium, ponieważ w ogromnym stopniu pomogło to sprawie palestyńskiej – mówił Al-Gashey. – Przed Monachium świat nie miał pojęcia o naszej walce, ale tego dnia nazwa »Palestyna« była powtarzana na całym świecie”.

Tim Fehlbau, przypominając pytania o niemiecką odpowiedzialność, pyta jednocześnie o granice odpowiedzialności dziennikarskiej. Wspomnijmy: filmowe relacje z działań aliantów, choć kręcone przez wybitnych reżyserów Hollywood, były ostro cenzurowane. Podjęto choćby decyzję o tym, by nie pokazywać kolorowych zdjęć z lądowania w Normandii, bo były zbyt szokujące prawdziwe. Do kronik dopuszczono jedynie zdjęcia czarno-białe i starannie wyselekcjonowane, na których nie było widać skali krwawej jatki. Wojna w Wietnamie była pierwszą „wojną telewizyjną”, a działania Czarne Wrzesnia w Monachium – pierwszym w dziejach atakiem terrorystycznym relacjonowanym na żywo. Dziś, w czasach wszechobecnych mediów społecznościowych, gdy każdy może prowadzić transmisję na żywo, pytanie o odpowiedzialność dziennikarską staje się też pytaniem o granice zwykłej ludzkiej przyzwoitości.

W filmie „September 5” w samym środku wydarzeń w wiosce olimpijskiej znajduje się ambitny producent i wydawca telewizyjny Geoffrey Mason (gra go John Magaro), który w lot chwytą prawdziwe znaczenie tego, co dzieje się wokół: tragedia tragedią, ale to jest przede wszystkim dziennikarski temat roku, a może i dekady. I on, szef newsroomu ABC w Monachium, dostał zrzędzeniem losu ten temat niemal na wyłączność. Będzie więc bronił swej pozycji jak lew – niemieckich policjantów, którzy żądają przerwania transmisji, wyrzuci za drzwi, szefom w Ameryce oświadczy, że gorące tematu nie odda, choć dowodzi redakcją sportową i nie ma żadnego doświadczenia w dziennikarstwie politycznym. Łatwo jest kibicować wielu jego decyzjom, ale to się szybko zmieni: oto reporterzy odkrywają, że w obserwowanym przez nich za pomocą kamer pomieszczeniu terroryści też mają telewizor. I też widzą to, co pokazuje ABC.

Zatem w czym interesie teraz gra redaktor Mason: publicznym czy jednak tych, którzy do dziś dumni są z dokonanych wówczas mordów? Potem się okazuje, że próba podkręcania transmisji w sposób dziś powszechny w mediach (sprzedawanie emocji,

a nie faktów) przynosi zgubne efekty. Reputacja ABC zrujnowana? Ależ skąd – podczas gdy niemiecka policja liczy trupy, dziennikarze padają sobie w ramiona, szczęśliwi, że dobrze wykonali swoją robotę, całkiem tak, jakby pokazywana tragedia była jakimś olimpijskim finałem zakończonym medalem dla Ameryki.

Niejednoznaczny, drażniący film opowiedziany jest jak thriller; tempo, dialogi, punkty zwrotne – wszystko to staromodna hollywoodzka robota. Mało znany szwajcarski reżyser Tim Fehlbau rozumie prawdę, która była oczywista dla dawnych mistrzów kina: że film ważny musi być też emocjonujący. Doskonale robi tej opowieści brak wielkich gwiazd, dzięki temu wszystko wygląda bowiem bardziej wiarygodnie. A także decyzja o tym, by tak naprawdę była to opowieść o bohaterze zbiorowym. Na ekranie udało się też wykreować klaustrofobiczną atmosferę – ciemne pomieszczenia zajęte przez ekipę ABC przywodzą na myśl dramaty rozgrywające się na pokładach łodzi podwodnych. Jest i element alienacji, dziennikarze nie znają niemieckiego, polegają na obrazie z własnych kamer, na własnych domysłach i na podpowiedziach przydzielonej im tłumaczki (świećta Leonie Benesch, którą niedawno oglądaliśmy w filmie „Pokój nauczycielski”).

ŚWIETNE KINO

„September 5” wszedł na ekrany amerykańskich kin oprotestowywany przez propalestyńskich aktywistów, którzy zarzucili Fehlbauowi, że dehumanizuje Palestyńczyków z ugrupowania Czarny Wrzesień. Kontekst polityczny zaszkodził filmowi, który został pominięty podczas wręczania rozmaitych nagród, bo w modzie na salonach jest dziś obsesyjny antysyjonizm. Cóż, fakty nie są po stronie protestujących. Terroryści doskonale wiedzieli, jakich szkód pragną dokonać. Wskazanie, kto zabijał, a kto był niewinną ofiarą, nie może być nazywane dehumanizowaniem sprawców. „September 5” to świetne kino, jeden z najlepszych filmów roku 2024, opowieść, która oglądana będzie za 10 czy więcej lat. O ilu filmach z tego rocznych Oscarów możemy to powiedzieć? © © Wszelkie prawa zastrzeżone



REŻ. TIM FEHLBAUM
„SEPTEMBER 5”
NIEMCY, USA
2024

Kadr z serialu „Frieren”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Podróż do samopoznania



Michał Murgrabia

Łatwo utożsamiać się z głównymi postaciami serialu „Frieren”, ponieważ one nie tylko wierzą w piękne i wzniosłe ideały, lecz także obarczone są ludzkimi słabościami i całą masą przywar. Stają się przez to nam niezwykle bliskie

Frieren” (w oryg. „Sōsō no Furīren”) to serial japoński, o którym do niedawna nikt nie słyszał. Ale myślę, że liczba jego fanów może

przyrastać wręcz lawinowo i za chwilę mało kto z młodszego pokolenia nie będzie o nim wiedział. Co ciekawe, produkcja ta na stronie Filmweb z wynikiem 8,5 bije w ocenie społeczności takie hity, jak „Gladiator” Ridleya Scotta czy „Braveheart” Mela Gibsona, które zostały wycenione na 8,1. Co prawda, serial to nie film, ale liczby mówią same za siebie. Skąd tak wysokie notowania? Myślę, że odkryłem sekret „Frieren. U kresu drogi”, bo taki jest pełny tytuł zarówno serialu, jak i serii książek pióra Kanehito Yamady, zilustrowanych przez Tsukasę Abe, które były inspiracją dla ekranizacji.

Nie da się ukryć, że początkowo nic się nie dzieje. Pierwszych kilka odcinków spowija aura nostalgii i wzruszenia. Film spokojnie płynie swoim melancholijnym tempem, nie zważając na to, że widz może być zupełnie na to nieprzygotowa-

ny. Momentami miałem wręcz odczucie, że każdy element niemal usiłuje widza zmusić do wzruszenia. Osobiście czekałem na salwę akcji, wyskakujących jedna po drugiej, ale historia, na którą patrzyłem, zdawała się moje oczekiwania ignorować. Nie tego się spodziewałem. Później się jednak okazało, że miało to swój sens i finalnie tego bym nie zmienił.

Dlaczego zatem tych kilka pierwszych odcinków było tak sentymentalnych, powiedziałbym wręcz przekraczających dopuszczalne normy? Z jakiego powodu tak jest? Nie dzieje się tak bez przyczyny, ale powód poznajemy dopiero mniej więcej po trzecim odcinku. Początkowe tempo od tego momentu zaczyna się zmieniać. „Frieren” zaprasza nas bowiem do wejścia w głąb, w podróż do samopoznania.

Co ciekawe, film postawiony jest nieco na głowie, ponieważ zaczyna się od

końca. Dobro zatriumfowało i w zasadzie możemy się rozejść. Tak też uczynili nasi bohaterowie, którzy wrócili z wyprawy trwającej 10 lat. Król demonów został już zabity, dobro zwyciężyło, meteoryty przeleciały, ale to jednak nie koniec. To dopiero początek kolejnej przygody. Kto wie, czy nie większej niż ta pierwsza...

Tak to już jest, że zło potrafi powtórnie wejść w nasze życie i zawsze trzeba czuć, żeby nie upaść. Jedno spektakularne zwycięstwo nie daje nam gwarancji, że zło zostało zniszczone doszczętnie. Siły ciemności mogą ponownie zewrzeć swoje szeregi, aby raz jeszcze zagrozić ludzkości, a w zasadzie to także elfom czy krasnoludom, bo i te pojawiają się na ekranie, wszak żyją w jednym wspólnym świecie.

ODNIESIENIE DO NOWEGO TESTAMENTU

Po kilku odcinkach ma się ochotę na więcej. Dlaczego? Łatwo utożsamiać się z głównymi postaciami, ponieważ te nie tylko wierzą w piękne i wzniosłe ideały, lecz także obciążone są ludzkimi słabościami i całą masą przywar. Stają się przez to nam niezwykle bliskie. Kiedyś wydawało mi się, że osiągnięcie świętości nie jest dla ludzi. Miałem bowiem spaczony wyobrażenie o świętych, z apostołami na czele. Szczególnie myślałem o nich, ponieważ to tych dwunastu znalazło się w ścisłym gronie Jezusa Chrystusa. Musiał wybrać samych najlepszych i takich, którzy byli niemal doskonali. Jakie było moje zdziwienie, gdy przeczytałem Nowy Testament właśnie pod tym kątem. Znalazłem wiele ich różnorakich słabości, upadków i wad. Zdziwiło mnie to, że to byli bardziej ludzie niż aniołowie, choć zbliżali się coraz bardziej do nieba i ich czyny stawały się w coraz większym stopniu doskonałe i przepełnione miłością. Jestem przekonany, że od tamtej pory pojęcie świętości, które miałem, pozostało czyste, ale stało się czymś osiągalnym, o co warto się bić, choć często sprawa wydaje się na pozór przegrana. Nie jesteśmy skazani na grzech. Dokonujemy wyborów. Skoro oni mogli, to czemu nie ja? A może drużyna bohaterów ruszyła w świat niczym apostołowie z Dobrą Nowiną?

Szukamy dla siebie wzorców, ideałów i autorytetów. „Frieren” nam ich dostarcza, choć mogliby być lepsi. Zawsze by

mogli być lepsi. Zdarza się, że obrażają się za głaskanie po głowie, nie umieją odmówić sobie piwa, a czasami są po prostu niegrzeczni. Tutaj akurat muszę przyznać, że nieco rozczarowało mnie to, iż w serialu pojawiają się nie do końca jasne zabiegi, ukazujące daną postać jako osobę zdeprawowaną, a jednocześnie pozytywną. Rzadko, ale jednak, padają nieprzyzwoite słowa. Nie jest ich wprawdzie dużo i nie są to wulgaryzmy najcięższego kalibru, ale – jak dla mnie – nieco szpecą ten film, który ma bądź co bądź piękne przesłanie. Jak się okazuje, tego typu słownictwo jest tylko w wersji z polskimi napisami, ale już angielska jest ich pozbawiona. W polskim tłumaczeniu pozwolono sobie pewnie na daleko idącą interpretację, przez co tę wersję powinno się oglądać z rozwagą, bo ponieważ nie nadaje się dla młodszych widzów. Nie wiem również, co miało na celu pokazanie księdza kąpiącego się w rzece w samej bieliźnie czy zakonnika podczas ćwiczeń, gdy ma odsłoniętą klatkę przy kobietach. Wprawdzie nie są to kapłani katoliccy, ale coś będącego ich odpowiednikiem. Być może w kulturze Japonii wokół księży katolickich wyrosło tego typu czarne legendy, które zostały później przeniesione na papier.

Niestety, ale tych momentów mogłoby nie być. Na szczęście jest i tak, że uczennica Frieren (kobiety mag, elf), młoda dziewczyna Fern (mag z rasy ludzi), potrafi zdobyć się na zwrócenie uwagi swojej mistrzyni, że jest niegrzeczna. Ta upomnienie przyjęła. To miłe zaskoczenie, ponieważ pokazano napiętnowanie negatywnego zachowania głównego bohatera. Zdaje się, że to rzadkość.

Frieren ma oczywiście także pozytywną twarz. Stara się żyć w ukryciu, proście i nie szuka rozgłosu. To przygoda ją znajduje. Nieustannie wspomina swojego przyjaciela, Himmela, który zmarł, a którego nie zdążyła zbyt dobrze poznać. Himmel to pomieszanie dobra i chęci niesienia pomocy z pychą i miłością własną. Na szczęście dobro w nim przeważa. O tak! „Frieren” to wyraźny podział na dobro i zło. To także powód, dla którego to się tak dobrze ogląda.

Sylwetki i psychologia bohaterów w tym serialu są tak skonstruowane, że zachęcają do dobrych postaw i kierowania się szlachetnymi pobudkami w co-

dziennym życiu. Wystarczy przywołać Denkena, który kosztem nawet własnego życia zmierza w bardzo ważne miejsce, Seina poszukującego swojego przyjaciela czy Himmela, który niesie pomoc, nawet drobną, napotkanym ludziom, a także staruszka Volla, który po prostu pragnie dotrzymać obietnicy danej swojej zmarłej żonie, czy Heiter, który adoptował i wychowywał sierotę Fern.

Z kolei ze złem nie wolno rozmawiać! Demony posługują się mową ludzką tylko po to, żeby nas zwodzić. Film udziela bardzo ważnej rady: pokusę przerywaj od razu w załączku, zanim nabierze siły, pokona cię i upadniesz. Gdy tylko się pojawia, jest słaba. Wtedy uderzaj! Siecz, ile zdołasz. Nie słuchaj kłamstw, które wciska ci do uszu i serca. Jeden z demonów, z którym walczą nasi bohaterowie, nosi imię Lügner, co w języku niemieckim oznacza kłamcę. Zło jest ukazane jako złe. Tak powinno to wyglądać w każdej bajce.

DROGA DO NIEBA

W filmie jest naprawdę sporo odniesień do Christianitas i nie jest to z mojej strony przesadą. Kościoły, w których posługują kapłani, niekiedy przypominają gotyckie katedry. W środku jest coś na kształt ołtarza i ławek. Ołtarz znajduje się na końcu, pod ścianą, jak u nas. Czas mierzony jest latami upływającymi od śmierci bohatera Himmela. Zupełnie tak jak my liczymy czas od śmierci Chrystusa. Taka interpretacja wręcz sama się narzuca, nie może więc to być przypadek. Zakonnik o imieniu Kraft (elf) uczy bohaterów wspólnej modlitwy przed posiłkiem, która towarzyszy im później w drodze... Dokąd? Do nieba. Tak, do nieba, bo tak nazywa się miejsce, do którego zmierzają. Muszą oczywiście osiągnąć także miasto Aureolę. Czy da się to inaczej zinterpretować? Bez osiągnięcia świętości nie ma mowy o niebie.

Podsumowując, trudno oderwać się od tego serialu. Po każdym odcinku ma się ochotę na jeszcze jeden. Po pierwszym sezonie wyczekuje się na drugi, a ten już na szczęście zapowiedziano. Niestety, nie wiadomo, kiedy możemy się go spodziewać. Pozostało nam czekać i czynić dobre rzeczy wokół siebie jak Himmel, co w języku niemieckim oznacza niebo.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Duży i większy



★★★★★
SEZON 3
„REACHER”
USA 2025

wyst. Alan
Ritchson, Sonya
Cassidy, Johnny
Berchtold

Siała perswazji” to jedna z lepszych powieści w cyklu o Jacku Reacherze – teraz stała się podstawą trzeciego sezonu serialu Amazon Prime. Pierwsze dwa sezony były wielkimi hitami, widzę więc długą i jasną przyszłość przed tym przedsięwzięciem, skoro książek o tym bohaterze powstało już grubo ponad 20.

Zaczyna się od próby porwania i zastrzelenia policjanta, a potem napięcie rośnie. Reacher łączy siły z agentką antynarkotykową, by wkraść się w łaski bogacza podejrzanego o udział w szmuglowaniu prochów. Szybko okazuje się, że kandydatów na główny czarny charakter jest więcej, w tym niejaki Francis Xavier Quinn, o którym Reacher mówi, że to najgorszy człowiek, jakiego

spotkał w życiu. Tempo opowieści jest świetne, dialogi błyskotliwe, granica między złem a dobrem nakreślona wyraźnie. Jeśli w walce ze złoczyńcami trzeba będzie czasem nagiąć przepisy, to wińmy niewydolny system, a nie nieustraszonych mścicieli. Trzeci sezon „Reachera” jest równie dobry jak poprzednie.

Żeby fabuły z ekranizowanej książki wystarczyło na cały sezon (osiem odcinków), trzeba było trochę rzeczy dopisać. Zwraca uwagę przede wszystkim to, że Reacher zwraca się o pomoc do swej dawnej podwładnej z żandarmerii wojskowej (a zarazem sympatii) Frances Neagley. Trwają prace nad spin-offem, w którym to ona będzie główną bohaterką (obsesja Hollywood na punkcie „strong

female lead” nie zna granic). Wygląda więc na to, że czeka nas budowa całego „Reachereverse”, uniwersum, wewnątrz którego powstawać będą rozmaite krzyżujące się ze sobą historie.

Myszę, że pokazuje to także, jaki pomysł na rozwój innej franzyzy – 007 – ma Amazon, który naciska, żeby pod jego skrzydłami powstał nie kolejny film kinowy o Jamesie Bondzie, lecz serial, a potem zapewne kilka seriali. W erze streamingu liczy się sztuka rozmnażania kontentu, fanom zamiast wyjątkowych emocji raz na kilka lat trzeba oferować emocje mniejsze, ale za to często. Teraz np. fani Reachera emocjonują się nadchodzącym w trzecim sezonie pojedynkiem między potężnym Reacherem a osobnikiem wyższym od niego o głowę. Olbrzymia Paula „Pauliego” van Hovena zagrał Olivier Richters, holenderski kulturysta o wzroście 2,18 m, co kwalifikowałoby go raczej do popisów w „Grze o tron”, ale jako twardziel z Maine też się przyda.

© ©

GRA TYGODNIA: „TWO POINT MUSEUM”

Twórcy „Two Point Hospital” i „Two Point Campus” tym razem oddają w nasze ręce muzeum. Musimy zatroszczyć się o pozyskanie atrakcyjnych eksponatów, różnorodność oferty, która zaspokoi różne gusta publiki, odpowiednie wyeksponowanie

artefaktów, dobre ich opisanie za pomocą tablic informacyjnych, wytyczenie ścieżek w muzeum itd., itp. Wciągająca strategia dla dziecka, rodzica i dziadka (choć dla bardziej doświadczonych graczy może być zbyt mało wymagająca), kolorowa,



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★
kreatywna, z dużą dawką humoru. © © **Radosław Wojtas**
• **Gatunek:** strategiczne, ekonomiczne
• **Platforma:** PS5, XSX, PC
• **Producent, dystrybutor:** Two Point Studios; Sega

Całe życie syreny

Kocham i nienawidzę. Mniej więcej taki stosunek ma do rodzinnego miasta Paolo Sorrentino. Nie zamyka oczu na neapolitańską brzydotę, lecz dzielnicę nędzy filmuje po zmroku, w onirycznej konwencji godnej pędzla caravaggionisty. Stolicę południowych Włoch można pokazywać również z innej, słonecznej perspektywy i reżyser skwapliwie z tej opcji korzysta. Morze, Wezuwiusz, Capri, przestrzeń. Krajobraz, niezmienny od wieków, utrwalony na obrazach, które bogaci turyści zabierali do domu jako pamiątkę Grand Tour. Świat oglądany z tarasu palazzu, ozdobionego antycznymi rzeźbami, kojarzy się z rajem. A w raju trzeba uważać na węże.

W „Młodości” dwóch dziadersów gapilo się na piękną młodą kobietę wychodzącą z basenu. „Bogini Partenope” jest rozwinięciem tej sceny. Tytułowa bohaterka nosi imię mitologicznej syreny, wynurza się z morskich fal niczym Afrodyta. Urzeczeni panowie pytają: „O czym myślisz?”, mniemając, że obcują z posągiem lub istotą z kosmosu. Ona jednak chce, by oprócz ciała



★★★★★

REŻ. PAOLO SORRENTINO
„BOGINI PARTENOPE”
(„PARTHENOPE”)
WŁOCHY/FRANCJA
2024

wyst. Celeste dalla Porta, Stefania Sandrelli, Gary Oldman

podziwiano też jej rozum. Odrzuca pokusę zmonetyzowania urody. Dużo czyta i studiuje antropologię.

Włosi mają we krwi operę i teatr; często popadają w gadulstwo. Sorrentino, który dotąd wołał przemiać obrazem, tym razem popełnił libretto bazujące na sentencjach typu: „Pożądanie jest tajemnicą, a seks jej grobem”. Raport filozofa czy lament podstarzałego satyra? Fellini też pozwalał sobie na bluźnierstwa i voyeuryzm. Uczeń prześcignął mistrza, bo czasy są inne, pornograficzne. Wątek lubieżnego kardynała jest istotny o tyle, że wzmacnia opinię o neapolitańczykach jako poganach udających chrześcijan. Jeszcze wyraźniej owa teza wybrzmiewa w scenach z udziałem gwiazdy filmowej (Sophia Loren?) wracającej na stare śmieci tylko po to, by publicznie ogłosić, że ziomków ma w głębokiej pogardzie. Z miasta, w którym „żyje się i umiera z błahych powodów”, ucieka, kto może. Partenope pisze pracę magisterską o społecznych aspektach cudów. Takich jak żywa krew św. Januarego i scudetto zdobyte przez piłkarzy SSC Napoli. Według Sorrentina największym cudem jest młodość, a największą tajemnicą – kobieta. ©©

Wiesław Chelminiak

KINO

PRACOWITE WAKACJE skySHOWTIME

Mają po 14 lat, ale już wiedzą, że do bezcelnych świat należy. A.J. i Moss palą, piją piwo i przeklinają tak, że uszy wędną. W Nebrasce A.D. 1991 to mogła być normalka. Bardziej dziwi, że bunt syna apodyktycznego sędziego wyraża się w obsesyjnym zarabianiu pieniędzy. Kreatywni gimnazjaliści, niezrażeni serią porażek, wynajmują budkę nad basenem, licząc, że zanim lato się skończy, amatorzy słodkich i słonych przekąsek uczynią z nich milionerów. Plan genialny w swej prostocie, jednak autorzy podręczników scenopisarstwa nie bez kozery twierdzą, że bohaterów filmowych lubimy bardziej, gdy trochę cierpią. Na horyzoncie pojawia się nadobna ratowniczką i komedia ewoluuje w klasyczną opowieść o mękach dojrzewania. A.J. i Moss są dziś starsi od Zuckerberga. Ciekawe, co z nich wyrosło. ©©



★★★★★

REŻ. ADAM RETHMEIER
„BUDKA Z PRZEKĄSKAMI”
(„SNACK SHACK”)
USA 2024

wyst. Conor Sherry, Gabriel LaBelle, Mika Abdalla

DO ZOBACZENIA

Ziemia obiecana



RADOSŁAW WOJTAS

W listopadzie ubiegłego roku minął wiek od przyznania Władysławowi Stanisławowi Reymontowi Nagrody Nobla, 5 grudnia tego roku przypada 100. rocznica śmierci pisarza (dlatego też autor „Chłopów” jest jednym z patronów 2025 r.). Jest jeszcze jedna rocznica, związana z ekranizacją powieści noblisty, którą wystawą „Pół wieku »Ziemi obiecanej«” zauważyło łódzkie Muzeum Kinematografii.



FOT. MIKOŁAJ ZACHAROW/Muzeum Kinematografii

Wystawa w dużej mierze opowiada o pracy scenarzysty i reżysera najsłynniejszej adaptacji „Ziemi obiecanej” (z filmu niemego

z 1927 r. w reżyserii Aleksandra Herta i Zbigniewa Gniazdowskiego zachowało się tylko 15 minut, które można zobaczyć w Muzeum Kinematografii). Wśród eksponatów znalazły się notatki Andrzeja Wajdy, w tym zapiski dotyczące różnych pomysłów obsadowych. W historycznych wnętrzach pałacu Scheiblerów, w których kręcono filmowe sceny, a które dziś goszczą Muzeum Kinematografii, prezentowane są filmowe kostiumy. ©©

GDZIE? Muzeum Kinematografii w Łodzi
KIEDY? do 4 maja

MOJA PÓŁKA

Tylko groby będą i miny

KRZYSZTOF
MASEŁ

Zwielu powodów wydaje się „Null” książką wyjątkową, a wśród nich najważniejszy może to ten, że przedstawiony w niej obraz wojny rosyjsko-ukraińskiej w niczym nie przypomina aż za dobrze nam znanego, propagandowego przekazu „o nowoczesnej, zachodniej armii pełnej pięknych, zawadiackich chłopców walczących przeciwko siłom zła niczym tolkienowski Gondor przeciw orkom”.

W istocie wojna ta – co artykułuje się tutaj wielokrotnie – nie skończy się pewnie nigdy, nikt jej nie wygra ani nikt w niej nie przegra, a ogląda się ją z perspektywy tytułowego nulla – pierwszej linii frontu, gdzie w gruncie rzeczy czeka się już tylko na śmierć. Bo w końcu je.ną i już. A czas, jaki pozostał, skraca się opowieściami. O wojnie, bo i o czym, przeszłość bowiem, jakkolwiek by była, zdaje się kompletnie nierealna, bez znaczenia.

Czytelników Szczepana Twardocha jego najnowsza powieść wprawi w zdumienie także dlatego, że nie pada w niej ani jedno zdanie o Śląsku, co samo w sobie jest istnym fenomenem, nawet biorąc pod uwagę wczesną twórczość pisarza, gdy jeszcze otrzymywał nominacje do Nagrody im. Józefa Mackiewicza, a nawet kapituła tej jakże nieoprawnej nagrody go wyróżniała, jak w 2011 r. za „Wieczny Grunwald”. Żeby jednak nasze szczęście nie mogło być całkowite, bohater „Nulla” też ma niejakie problemy z tożsamością, bo choć jest Polakiem, to jednak z korzeniami – ukraińskimi właśnie, a także niemieckimi. Tak czy inaczej w 2022 r. poczuł on imperatyw wewnętrzny, by wziąć osobisty udział w pełnomasztabnej, czyli wojnie pełnoskalowej. Jeśli komuś zgrzyta to określenie, to

niech się nie buntuje i dla własnego dobra zaakceptuje język powieści, w której roi się od przeróżnych broników i blindaży, efpwisk i mawików, pokemonów i rebów. To przeładowanie książki terminologią wojskową, do tego swoiście przez żołnierzy „uczułowioną”, ma swój głęboki sens, podobnie jak ch.je latające w powietrzu równie często jak drony. W końcu pisarz opowiada nam o prawdziwej wojnie, a nie maluje oleodruk z cudacznie przyozdonym politykiem w centrum obrazu.

Ale... ojciec bohatera powieści, który sam jeszcze uczył się w ukraińskim liceum w Legnicy, przymuszony do tego przez swego baćkę, głęboko się mylił, mówiąc: „Jesteśmy normalną, polską rodziną. Polska jest w Unii Europejskiej [...]”. To są bzdury, nienawidzę tego wszystkiego, tych wyszywanek. Sława Ukrainie, herojam sława, piosenek, wszystkich tych głupot. Wołyń, UPA, Kresy, nie Kresy, mnie to nie obchodzi, nie po to skończyłem studia w Warszawie, Polska jest w Unii Europejskiej, Wrocław jest w Unii Europejskiej, wszyscy jesteśmy Europejczykami, te nacjonalizmy to już przeszłość, to już nikogo nie obchodzi”. Przeciwnie, okazuje się, że obchodzi to bardzo, choć na pewno nie wszystkich.

Zbrojne Siły Ukrainy nie przypominają normalnego wojska. Ochotnicy miesza się z tymi, których zmobilizowano, a ci myślą tylko o tym, czy i kiedy uda im się wywinąć z tej wojny, z której w porę się nie wymiksowali, nie stając się uchylantami żyjącymi sobie wygodnie w Dubaju czy innej Warszawie. O tych ostatnich myślą z pogardą pomieszaną z zazdrością, a przede wszystkim z nienawiścią. Jeden z żołnierzy tak ujmuje czekającą ich wszystkich przyszłość: „Ty myślisz,

że my po wojnie jeszcze będziemy Pokrowsk mieli? [...] Po wojnie nie będzie żadnego Pokrowska na ch.j. Nic nie będzie. Nas nie będzie. Tylko groby będą i miny na polach i uchylanci będą, do Kijowa wrócą, będą nam baby je.ać na ch.j i się cieszyć, że wojna się skończyła, a Pokrowsk będzie pidarski albo rozje.any na ch.j, ale my już tego nie zobaczymy na własne oczy, bo nas nie będzie”. Gwoli informacji: pidarami nazywani są Ruscy.

Twardoch dotyka w powieści spraw najwrażliwszych i tych, o których głośno się nie mówi. Na przykład o, mówiąc wprost, najemnikach walczących po stronie ukraińskiej. Obcokrajowcy trafiają bowiem na tę wojnę nie tylko dla pięknych idei czy nawet – jak zwykliśmy sądzić – w poszukiwaniu przygód, lecz także – bywa – dla pieniędzy, jak Kolumbijczycy, o których wspomina pisarz. „Null” to wojenna proza, której trudno nie porównywać z Hemingwayem choćby. Tyle że ktoś tam, z tych bardziej czytanych, przypominając Roberta Jordana z „Komu bije dzwon”, powiada: „To, co on robił, to miało sens. Za to można było umrzeć na ch.j. Ale umrzeć tu, błądź? Za nic? Z głupoty?”. Ciężaru tych słów nie równoważą pobrzmiwające truizmem rozsiane w powieści „Null” takie zdania jak: „Jeśli jakkolwiek wojna w historii może być nazwana sprawiedliwą [...], to ta”.

I pomyśleć, że tę ukazującą się w idealnym do tego momencie książkę napisał Szczepan Twardoch – jak sądzę – głównie dlatego, by udowodnić krytykom, a i sobie samemu, że jest w stanie udźwignąć każdy temat, nawet najtrudniejszy. I udźwignął, a że z ukochanych prowokacji nie do końca zrezygnował, no to przecież jego spécialité de la maison. ©©



★★★★★

SZCZEPAN
TWARDOCH„NULL”
MARGINESY,
WARSZAWA 2025



POCZYTANKI

Pan od pancernych

Książka, której potrzebowaliśmy – spojrzenie na fenomen popularności serialu „Czterej pancerni i pies”, ale bez nostalgii za PRL i z obszerną opowieścią o autorze powieści, wedle której słynny serial nakręcono. Jarosław Molenda nie wpada w pułapkę, w którą wpadł autor recenzji z 2007 r. utrzymujący, że dla Polaków lat 60. i 70. XX w. książka Przymanowskiego była „tym, czym była Sienkiewiczowska »Trylogia« dla ich pradziadów”. Otóż nie, nie była. Serial był niesłychanie popularny, bo krzepił serca: Polak potrafi. Ale kto nie był dzieciakiem, wiedział doskonale, że „Pancerni” byli antytezą Sienkiewicza, bo zamiast chwalać tych, którzy obcej sile się przeciwstawili, to słał tych, którzy szli z nowym okupantem gromić starego okupanta. To polska tragedia, ten wybór między dżumą a cholerą, ale Przymanowski ani na chwilę nie patrzy na to w ten sposób. Serce i duszę ma po stronie towarzyszy sowieckich.

Najciekawsze są fragmenty o błyskotliwej karierze literackiej zawodowego oficera komunistycznej armii, któremu zawsze było mało. Jakże cieszył się z otrzymanego w Moskwie Złotego Lauru Centralnego Komitetu Komsomół, jakże irytował,

że musi dzielić honor z czterema innymi laureatami. Są to fragmenty wielce zabawne, a zarazem w dwójnasób smutne. Po pierwsze, przypominają, jak dobrze mieli ci, którzy zgłosili pod sowieckim butem akces do grona inżynierów dusz. Ale po drugie, wypada nad ich sukcesem – czyli tak naprawdę upadkiem – zapłakać, bo byli wśród nich ludzie naprawdę utalentowani. A Przymanowski był utalentowany, naprawdę potrafił pisać. Cóż z tego, skoro najlepszym komentarzem do jego kariery jest tekst z jednego z dowcipów Andrzeja Mleczki, kiedy staruszka, widząc ładną twarz w telewizorze, mówi: „Taki przystojny, taki wykształcony i tak pięknie kłamię”.

Naprawdę ponuro robi się zaś, gdy dochodzimy do lat stanu wojennego, który Przymanowski gorąco popierał. I opowiadał publicznie bajędy o listach proskrypcyjnych, które zawierały rzekomo nazwiska działaczy partyjnych i ich dzieci, których ekstremiści z Solidarności chcieli wieszać na latarniach. Molenda dotarł do licznych dokumentów, zdjęć i wspomnień, utkał swoją opowieść niczym twórca filmu dokumentalnego, głównie z wypowiedzi bohatera i świadków jego historii. Czyta się to doskonale. ©©

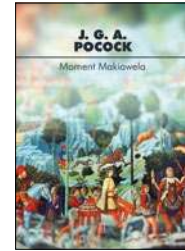


★★★★★

JAROSŁAW MOLEND
„CZTEREJ PANCERNI I PISARZ”
WYDAWNICTWO LIRA 2025

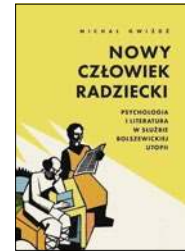
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Dzieło sprzed pół wieku, wciąż aktualne. Pytanie palące: Jak polityczny system przetrwać może chwile, gdy bieżące cele i wyzwania oraz wezwanie do sprawczości stają w sprzeczności z ideałami, a także wydolnością jego instytucji?



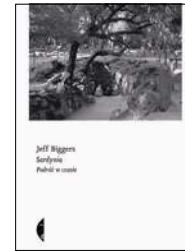
J.G.A. POCOCK
„MOMENT MAKIAWELA”
OMP

Stworzyć nowego człowieka. A ten co uczyni? Ma być aktywistą, który przerobi innych na swoją miarę. Doskonała praca o literaturze i psychologii w służbie sowieckiej utopii, ale czytamy ją w kontekście utopii nowych.



MICHAŁ GWIŹDŹ
„NOWY CZŁOWIEK RADZIECKI”
UNIwersYTET PII W KRAKOWIE

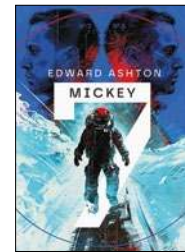
Co Dante miał do powiedzenia o jej mieszkańcach? Czy wszyscy Sardowie to poeci? Dlaczego tak niewiele wiemy o cywilizacji nuragijskiej? List miłosny do Sardynii, autorstwa Amerykanina, który pewnego razu przybył – i już został.



JEFF BIGGERS
„SARDYNIA. PODRÓŻ W CZASIE”
CZARNE

Kolonista Barnes ma kłopoty. Śmiertelność wśród osadników na lodowej planecie Niflheim jest wysoka. Ale życie jest tanie, zwłaszcza gdy dysponuje się technologią klonowania. Filmowa wersja powieści już w kinach.

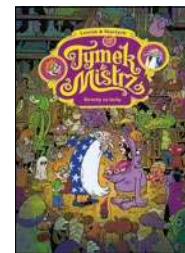
©© recenzuje Piotr Gociek



EDWARD ASHTON
„MICKEY 7”
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: CZARY-MARY

„Tymek i mistrz” – jedyna powstała po 1989 r. seria komiksowa, która dorównuje urokiem i humorem dokonaniom Tadeusza Baranowskiego. Kultura Gniewu wznawia przezabawne, ciepłe i absurdalne opowieści o nieco szumiętym czarodzieju i jego bardzo rozsądnym uczniu w formie niewielkich, elegan-



TOMASZ LEŚNIAK,
RAFAŁ SKARŻYSKI
„TYMEK I MISTRZ. STRACHY NA LACHY”
KULTURA GNIEWU 2025

ko wydanych albumów – kolejność czytania dowolna, wszystkie są znakomite. ©©

Piotr Gociek



Donald Trump i Georgette Mosbacher, która była ambasadorem USA w Polsce za czasów pierwszej kadencji Trumpa

FOT. UNITED STATES GOVERNMENT PHOTO

Zakochani w Trumpie



Jan Fiedorczuk

Po zwycięstwie Donalda Trumpa znaczna część polskiej prawicy wpadła w euforię, zupełnie zapominając, jak instrumentalnie prezydent USA traktował polskie władze w czasie swojej pierwszej kadencji

Do znamiennej sytuacji doszło podczas niedawnej konwencji CPAC (Conservative Political Action Conference) – niegdyś imprezy grupującej środowiska szeroko rozumianej amerykańskiej prawicy, a obecnie wydarzenia de facto w całości przejętego przez nurt MAGA. Podczas jednego z paneli Mark Wallace, były ambasador USA przy ONZ, zaczął zachwalać polskie władze. – Pragnę

wyrazić uznanie dla rządu polskiego. Premiera Tuska, mojego przyjaciela Radka Sikorskiego i polskiej delegacji, prezydent Polski również będzie obecny. Już tu jest polska delegacja – mówił. Następnie Wallace podkreślił, że obecny polski rząd jest „wspaniały”, a Polska wydaje już niemal 5 proc. PKB na obronność.

Ta scena, zestawiona zwłaszcza z lekceważącym potraktowaniem prezydenta

Dudy przez Donalda Trumpa, powinna otrzeźwić polską prawicę, która po zwycięstwie kandydata republikanów wpadła w prawdziwą euforię, jakby się rozpędu miało zaraz dojść do zmiany władz również w Polsce. Czerwone czapeczki MAGA w Sejmie, skandowanie nazwiska Trumpa przez posłów PiS, Dominik Tarczyński rzucający bluzgami pod adresem Madonny, która napisała, że po prostu nie podoba jej się prezydent USA – takich przykładów „miłosnego zaślepienia” było znacznie, znacznie więcej.

Tymczasem doświadczenia z lat 2016–2020 w żaden sposób nie tłumaczyły optymizmu polityków PiS i części prawicowych komentatorów. Ledwie kilka dni temu Thomas Rose, przyszły ambasador USA, pouczał polskie władze w związku z pomysłem wprowadzenia podatku

cyfrowego. „Niezbędne! Autodestrukcyjny podatek, który tylko zaszkodzi Polsce i jej stosunkom z USA. Prezydent Trump podejmie działania odwetowe. Odwołajcie podatek, aby uniknąć konsekwencji!” – groził dyplomata. Nie należy się łudzić, że gdy rząd lewicowo-liberalny zostanie zastąpiony prawicowym, to podejście Ameryki zmieni się nagle na bardziej partnerskie. W przeszłości Trump nie miał skrupułów, gdy traktował całkowicie przedmiotowo polskie władze, i było dla niego zupełnie obojętne, że nad Wisłą rządziła wówczas sympatyzująca z nim i – przynajmniej w jakimś stopniu – pokrewna ideowo Zjednoczona Prawica. Piszę „w jakimś stopniu”, gdyż jeżeli tylko przyjrzymy się bliżej, to różnice między środowiskiem MAGA a PiS stają się ewidentne.

Sprawa Ukrainy jest tutaj wprost emblematiczna. Oto cała wschodnia polityka PiS z lat 2022–2023, która opierała się na bezwarunkowej pomocy i utożsamieniu interesów Warszawy i Kijowa, została przez Donalda Trumpa w ciągu kilku dni widowiskowo wyrzucona do kosza. Amerykański prezydent nie widział partnerów do rozmów ani w Kijowie, ani w Brukseli (nie mówiąc nawet o Warszawie), tylko od razu sięgnął po telefon do Władimira Putina. Gdyby tylko w Berlinie bądź Paryżu podobnie potraktowano Wołodymyra Zełenskigo, jak zrobił to Trump, de facto wyrzucając ukraińskiego przywódcę z Białego Domu, to politycy PiS oraz sprzyjające im media dzień i noc powielaliby przekaz o wielkiej zdradzie unijnych elit. W obecnej chwili jednak zwolennicy Trumpa z PiS muszą przeżywać prawdziwy dysonans poznawczy.

CIĘŃ NADAMBASADOR

Dominująca część polskiej prawicy wykreowała wizerunek Trumpa, który nie ma nic wspólnego z rzeczywistością – konserwatysty i wielkiego przyjaciela Polski. A przecież to właśnie za jego poprzedniej kadencji ambasadorem w Warszawie została Georgette Mosbacher, którą Maciej Pieczyński na łamach naszego tygodnika trafnie określił mianem „nadambasador” („Do Rzeczy” nr 31/2020) ze względu na jej powtarzające się aroganckie interwencje w polską politykę oraz pouczenie posłów Prawa i Sprawiedliwości. Dla przykładu: gdy Beata Mazurek w 2020 r. napisała, że

Rafał Trzaskowski boi się debatować z Andrzejem Dudą, gdyż woli „ustawioną debatę w WSI 24 i niemieckim Onecie”, to „nadambasador” jednoznacznie stanęła po stronie ówczesnego kandydata KO w wyborach prezydenckich. „Dobrze Pani wie, że szerzy Pani coś, co jest absolutnym kłamstwem, sugerując, że TVN to WSI. Powinna się Pani wstydzić. To jest poniżej godności osoby, która reprezentuje Polaków” – stwierdziła Mosbacher.

Amerykańska polityk jednak nie tylko besztowała i pouczała polskich posłów, lecz także wprost wyznaczała premierowi polskiego rządu, co mu wolno mówić choćby na temat stacji TVN. W 2018 r. Wojciech Wybranowski na portalu DoRzeczy.pl opisał, jak ówczesna ambasador wystąpiła list do Mateusza Morawieckiego, w którym pouczała szefa rządu w sprawie rzeczonej stacji telewizyjnej. Mosbacher miała przekazać premierowi, że Stany Zjednoczone nie będą tolerować krytycznych słów polityków PiS pod adresem dziennikarzy stacji TVN oraz materiału o rzekomych neonazistach w Polsce. Ambasador broniła się następnie, że fundamentalną wartością dla niej jest wolność słowa, chociaż oczywiście jest, że w rzeczywistości tą fundamentalną wartością był interes amerykańskiego kapitału. „TVN jest częścią rodziny Discovery, amerykańskiej firmy notowanej na giełdzie papierów wartościowych w Nowym Jorku, której priorytetami są przejrzystość, wolność słowa oraz niezależne i odpowiedzialne dziennikarstwo. Sugestie, że jest inaczej, są fałszywe” – stwierdziła w jednym z wpisów.

TVN to zapewne najbardziej oczywisty przykład interwencji administracji Trumpa w polską politykę, ale pamiętajmy, że Mosbacher pouczała polskie władze również w innych kwestiach, gdy tylko amerykańskie interesy mogły być zagrożone. Zapomniana już nieco sprawa Ubera jest dobrą egzemplifikacją tegoż podejścia. Gdy rząd PiS planował wprowadzenie przepisów blokujących działalność firmy, ambasador wystosowała specjalny list do ówczesnego ministra infrastruktury Andrzeja Adamczyka. „Nie mogę zrozumieć, dlaczego Polska rozważa taki krok: zakaz działalności na polskim rynku dla jednej z największych firm technologicznych spowoduje, bez wątpienia, mroźny efekt na przyszłe

inwestycje w tym sektorze” – stwierdziła w piśmie, dodając pod listem odręczny dopisek: „Proszę nie popełniać błędów niosącego tak daleko idące konsekwencje”. Naprawdę trudno nie dostrzec tu tego samego podejścia między Mosbacher z 2017 r. a Rosem sprzed kilku dni.

Również kiedy po raz pierwszy pojawił się pomysł wprowadzenia podatku cyfrowego od największych firm działających w Polsce, ambasador natychmiast opublikowała artykuł w „Rzeczpospolitej”, przekonując, że Stany Zjednoczone „nie pozostaną bierne w obliczu dyskryminacji naszych firm”. Mosbacher nie wahała się interweniować nawet w takich sprawach, jak choćby projekt listy leków refundowanych, który nie uwzględnił preparatu jednej z firm farmaceutycznych. Ambasador wystosowała listy do polskich decydentów, lek wpisano na listę, a kosztami obciążono NFZ.

Właściwie cała misja nominatki Trumpa sprowadzała się nie do tradycyjnych funkcji, które sprawuje ambasador, tylko pilnowania i ostentacyjnego pouczenia polskich władz, gdy te chciały zrobić cokolwiek, co mogłoby nawet delikatnie naruszyć amerykańskie interesy. Nie było tu żadnej szczególnej wspólnoty wartości między administracją Donalda Trumpa a rządem Prawa i Sprawiedliwości. Fakt, że obie strony reprezentują szeroko rozumianą prawicę, nie miał tu żadnego znaczenia. W rzeczywistości Georgette Mosbacher prowadziła bardziej obcesową politykę niż nawet Mark Brzezinski.

LGBT FIRST

Za czasów pierwszej kadencji Donalda Trumpa USA naciskały jednak na Polskę nie tylko w kwestiach preferencyjnych warunków dla amerykańskich podmiotów gospodarczych, co można było tłumaczyć jeszcze jego hasłem „America first”, lecz także w kwestiach stricte ideologicznych. W 2020 r. na stronie amerykańskiej ambasady pojawił się list otwarty propagujący postulat środowisk LGBT. W akcji uczestniczyło łącznie 50 ambasadorów, a pierwsze skrzypce w ideologicznej ofensywie odgrywała właśnie Georgette Mosbacher. – Musicie wiedzieć, że w kwestii LGBT jesteście po złej stronie historii. Mówię o postępie, który się dokonuje bez względu na



Thomas Rose (na zdjęciu z prezydentem Andrzejem Dudą), przyszły ambasador USA, pouczał polskie władze w związku z pomysłem wprowadzenia podatku cyfrowego FOT. X.COM/TOMROSEINDY

■ wszystko. Używanie tego typu retoryki wobec mniejszości seksualnych jedynie wyobcowuje Polskę – stwierdziła wówczas amerykańska ambasador.

Co więcej, Mosbacher niemal wprost groziła, że od postępów w zmianach prawa w duchu LGBT uzależniony jest sojusz z Polską. Ambasador stwierdziła bowiem, że na Zachodzie Polska uchodzi za państwo „nieprzyjazne mniejszościom seksualnym”, co przekłada się niekorzystnie na decyzje inwestycyjne oraz ma wpływ na „sprawy militarne”. W taki sposób nie zachowywał się nawet Mark Brzezinski. – Nie jest tajemnicą, że wielu kongresmanów jest bardzo zaangażowanych w sprawy LGBT. Tutaj nie ma znaczenia, co ja myślę – to oni stanowią prawo i rozdzielają pieniądze – argumentowała.

Pewnym pocieszeniem pozostaje to, że tym razem to nie Georgette Mosbacher ma odgrywać rolę ambasadora w Warszawie. To zadanie powierzono bowiem Thomasowi Rose’owi, którego media określiły mianem „ognistego konserwatysty”. W połączeniu z kontrrewolucyjnymi działaniami antywoke Trumpa pozwala to mieć nadzieję, że przynajmniej w kwestiach ideologicznych nowa administracja nie będzie naciskać na nasz kraj. Ponadto Rose jest prezentowany jako zagorzały obrońca Izraela (był m.in. publicystą i wydawcą „The Jerusalem Post”), co oznacza, że nie można wykluczyć powrotu sprawy żydowskich roszczeń, bo i tutaj administra-

cja Trumpa próbowała wymóc konkretne działania na Polsce.

NA WOJNIE Z ANTYSEMITYZMEM

Dość znamienity jest fakt, że jednym z priorytetów w pierwszych dniach sprawowania urzędu stała się dla Donalda Trumpa kwestia Izraela. Prezydent USA wprost opowiedział się po stronie Beniamina Netanjahu, przechodząc do porządku dziennego nad czystkami, których dopuszcza się Izrael w Strefie Gazy, oraz ogłaszając plan wysiedlenia Palestyńczyków z ich własnych ziem. Efektem tego było de facto zdewastowanie i tak nikłego autorytetu Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze, którego nakaz aresztowania Netanjahu stracił jakiegokolwiek znaczenie. Z kolei tuż po przejęciu władzy Trump zapowiedział podpisanie rozporządzenia wykonawczego w celu „zwalczania antysemityzmu”, na którego mocy ma dojść choćby do deportacji studentów niebędących obywatelami USA, którzy brali udział w protestach antyizraelskich.

To tylko pozornie nie jest związane z polską sceną polityczną. Warto pamiętać, że to właśnie Donald Trump podpisał tzw. ustawę 447 („Justice for Uncompensated Survivors Today [JUST] Act of 2017”), której celem było wspieranie restytucji mienia ofiar Holokaustu. Światowa Organizacja Restytucji Mienia Żydowskiego (WJRO) oszacowała wartość utraconego mienia w naszym kraju na ok. 60 mld dol., ale już w zachodniej

prasie pojawiały się znacząco wyższe szacunki sięgające nawet 300 mld dol. W 2019 r. ówczesny sekretarz stanu USA Mike Pompeo dość jasno dał do zrozumienia, jakie są wymagania Waszyngtonu. – Wzywam moich polskich kolegów, aby poczynili postępy w zakresie kompleksowego ustawodawstwa dotyczącego restytucji mienia prywatnego dla osób, które utraciły nieruchomości w dobie Holokaustu – mówił Pompeo podczas wizyty w Polsce.

W 2024 r. do Sejmu trafił projekt ustawy „STOP 447”, która miała chronić Polskę przed bezpodstawnymi roszczeniami wynikającymi z ustawy 447, ale posłowie ją odrzucili.

PIS, PO – WSZYSTKO JEDNO?

Już po drugim zwycięstwie Trumpa pod koniec 2024 r. Georgette Mosbacher de facto poparła Trzaskowskiego w wyścigu prezydenckim, podkreślając, że uważa go za przyjaciela, który „jest zawsze mile widziany w Waszyngtonie”. I nawet jeżeli Mosbacher nie wraca do roli ambasadora w Polsce, to jej słowa są znamienne, gdyż sygnalizują pewne nastroje w obecnej administracji.

Ponadto sam PiS nie musi być ciepło witany przez ekipę Trumpa, dla której quasi-mocarstwowe, suwerennościowe aspiracje polskiej prawicy stanowią wyraz jakiejś szczególnej wschodnioeuropejskiej egzotyki. Projekt Międzymorza, sojusz z Ukrainą, bycie nowym centrum UE i wyparcie wpływów Niemiec – dla Waszyngtonu tego typu pomysły, forsowane przez w gruncie rzeczy mały kraj liczący mniej więcej tyle ludności co Kalifornia, muszą brzmieć co najmniej osobiście.

Donald Trump wielokrotnie udowodnił, że wbrew pozorom nie darzy polskiej prawicy szczególnym sentymentem. Wzmiankowane na początku tekstu ciepłe przyjęcie Sikorskiego na CPAC to kolejny znak, który potwierdza pragmatyczne podejście Amerykanów. Posłowie PiS, którzy jeszcze kilka miesięcy temu gromko skandowali nazwisko prezydenta USA w polskim Sejmie, widząc w nim siłę, która przywróci im władzę, najwyraźniej zapomnieli, że mają do czynienia z biznesmenem, a nie przyjacielem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Nikt nic nie wie, czyli ukraiński film z amerykańskim kapitałem



Piotr Semka

Ukraińcy bez większych targów zgodzili się przyjąć umowę minerałową. Zrobili to, choć mieliby prawo mieć uraz z historii do umów w formule „niepodległość w zamian za dostęp obcego mocarstwa do naturalnych zasobów kraju”. Jak taka koncepcja może uporządkować nasz rejon Europy?

Na naszych oczach rozpoczyna się niezwykle proces polityczny. W jego ramach Ukraina ma zaakceptować powstanie amerykańskiego funduszu, który razem z władzami ukraińskimi będzie zarządzał najcenniejszymi złożami naturalnymi w tym kraju.

Negocjatorzy ukraińscy zaakceptowali ten warunek Donalda Trumpa w ciemno. Bez jasnego określenia, jakie mogą być konkretne gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy ze strony USA. Prezydent Wołodymyr Zełenski nie miał wyboru. Chciał jak najszybciej odblokować cofnięcie pomocy wywiadowczej i wojskowej dla Kijowa, które nastąpiło po słynnej awanturze w Gabiniecie Ovalnym. Zgoda na umowę minerałową już odblokowała te sankcje i – co ważniejsze – dialog Kijowa z Waszyngtonem.

Teraz wszyscy czekają na reakcje Rosji na propozycje 30-dniowego zawieszenia broni, więc siłą rzeczy sprawa ustawy

minerałowej zeszła nieco na dalszy plan. Ale może to być kluczowe dla przyszłości Ukrainy.

Jeśli Ameryka zaakceptuje ten akt współdziału państwa amerykańskiego w zarządzaniu gospodarką kraju, to oprócz otwarcia drogi do porozumienia pokojowego umowa ta może określić w przyszłości kształt państwa ukraińskiego i stabilność jego granic. I szerzej – jego status geopolityczny.

NIEJASNE KONTURY NOWEGO PAŃSTWA

Na podstawie niejasnych wypowiedzi polityków amerykańskich nie jest łatwo zdefiniować, jak miałyby wyglądać kształt takiego nowego państwa. Polski analityk Marek Budzisz twierdzi, że Ukraina miałaby w planach Waszyngtonu status państwa buforowego.

„Trump, mówiąc o pokoju z Rosją, sugeruje wyznaczenie limesu świata euroatlantyckiego. Ta granica ma przebie-

gać wzdłuż wschodniej flanki obecnego NATO. Ukraina ma być już poza nią. Trump wyklucza gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy i wyklucza jej przyjęcie do NATO. Jednak z tego nie należy wyciągać wniosku – jak u nas się tak często czyni – że nowy prezydent USA godzi się oddać Ukrainę Rosji. Państwo to ma być kontrolowane lub w pewien sposób współzarządzane przez Stany Zjednoczone. W przeciwnym razie Trump nie byłby zainteresowany stworzeniem funduszu ukraińsko-amerykańskiego i idącą za tym obecnością amerykańskich firm przy wydobywaniu dóbr naturalnych Ukrainy. Ale jest to jednak coś innego niż objęcie tego państwa gwarancjami świata zachodnioatlantyckiego. I coś innego niż trwała obecność US Army np. w Korei Południowej” – komentuje Marek Budzisz.

Nawet najlepsi znawcy tematu mają duży problem z nazwaniem formuły takiego nowego ni to protektoratu, ni to państwa mającego bardzo duży udział interesów ekonomicznych Ameryki. Tym trudniej przewidzieć, jak cały ten projekt zderzy się z realiami wewnętrznymi i zewnętrznymi Ukrainy. Spróbujmy jednak dokonać bardzo wstępnej próby analizy, jak taka koncepcja może uporządkować nasz rejon Europy.

JUŻ RAZ TEGO PRÓBOWANO

Ukraińcy bez większych targów zgodzili się przyjąć umowę minerałową. Zrobili to, choć mieliby prawo mieć uraz z historii do umów w formule „niepodległość

■ w zamian za dostęp obcego mocarstwa do naturalnych zasobów kraju”.

U schyłku pierwszej wojny światowej dość podobny deal doprowadził do powstania tzw. Hetmanatu, czyli państwa ukraińskiego pozostającego pod protektorem niemiecko-austriackim. Była to druga forma współczesnej ukraińskiej państwowości po efemerycznej Ukraińskiej Republice Ludowej, proklamowanej w styczniu 1918 r. Hetmanat, zwany też Państwem Ukraińskim, istniał pod wodzą hetmana Pawła Skoropadskiego między 29 kwietnia a 26 grudnia 1918 r. Do powstania tego tworu doszło po zdobyciu władzy przez bolszewików w Rosji i w wyniku traktatu brzeskiego, który nakazywał Rosji Lenina wycofać się z Ukrainy, a tereny te znalazły się pod faktyczną okupacją wojsk niemieckich i austriackich. Niemcy, zamiast utrzymywać „twardą okupację”, postanowili powołać państwo, które wychodziłoby naprzeciw dążeniom niepodległościowym Ukraińców. Jednocześnie zdecydowano się na powołanie całkowicie uzależnionego od Niemców byłego carskiego generała – Pawła Skoropadskiego – przy jednoczesnym odsunięciu od władzy członków Ukraińskiej Centralnej Rady, która przed wejściem Niemców była najszerzej uznanym wyrazicielem niepodległościowych dążeń Ukraińców. Postawiono na władze wyłonione z Ogólnoukraińskiego Zjazdu Włościańskiego, który potrafił desygnować premierów całkowicie uzależnionych od Niemców i Austriaków. Głównym celem Niemiec było wydrenowanie Ukrainy z zapasów zboża, co miało ogromne znaczenie wobec narastającego wojennego wygłodzenia społeczeństw Państw centralnych. Jednocześnie Niemcy chcieli występować w roli protektora jakiejś formy ukraińskiej państwowości.

To specyficzne państwo istniało tak długo, jak długo silna była wojenna pozycja Niemiec i Austrii. Z chwilą rewolucji w obu krajach i kapitulacji państw centralnych bolszewicy szybko zaczęli wypychać obie te siły okupacyjne z terytorium Ukrainy, a pozbawiony zaplecza Hetmanat rozpadł się w błyskawicznym tempie. Ważnym elementem słabości tego tworu była rabunkowa polityka zagarniania dóbr naturalnych w wykonaniu armii okupacyjnych podległych rządowi w Berlinie i Wiedniu.



Czy historia Hetmanatu zawiera jakieś lekcje dla planów Donalda Trumpa? Owszem. Po pierwsze, społeczeństwa bardzo szybko wyłapują sztuczność relacji zbudowanych w sytuacji przewagi jednej strony. Jeśli dodatkowo związane jest to z brakiem umiaru w korzystaniu z czyichś dóbr naturalnych, to bardzo szybko wywołuje to emocje społeczne i staje się zarzewiem protestów. Pytanie brzmi: Czy strona amerykańska jest w stanie wyciągnąć wnioski z tego, jak zakończył się eksperyment Hetmanatu?

CO NA TO KREML?

Postawmy jeszcze bardziej istotne pytanie. Czy Amerykanie zdają sobie sprawę, jak wielkie zmiany w myśleniu rosyjskich elit wymagałaby akceptacja takiego dealu mineralowego na linii Waszyngton – Kijów? Czy Rosja jest w stanie znieść jakąkolwiek niezależną od siebie Ukrainę? A nawet więcej: Czy znieś miks niezależnej od siebie Ukrainy z formułą państwa posiadającego specjalny status ochronny ze strony Stanów Zjednoczonych?

Można odnieść wrażenie, że prezydent USA nie zdaje sobie specjalnie sprawy, jak bardzo jego projekt państwa buforowego, z dużym udziałem kapitału amerykańskiego kontrolującego zasoby naturalne ziemi ukraińskiej, jest czymś trudnym do zaakceptowania w świecie

Spółeczeństwa bardzo szybko wyłapują sztuczność relacji zbudowanych w sytuacji przewagi jednej strony

tle znajomości rosyjskiej mentalności narodowej. Dla wszystkich sił niechętnych Zachodowi jest to wręcz modelowy przykład wyciągnięcia obcych zachodnich szponów po bogactwa ziem należących do tzw. ruskiego miru. W latach 1918–1920 Rosjanie wielokrotnie byli pobudzani do patriotycznego uniesienia za pomocą kliszy, w ramach której polscy panowie czy też demoniczna ententa dokonywali rozbioru „ziem ruskich” dla zaspokojenia swoich zachcianek. Sam Hetmanat, będący de facto niemieckim państwem marionetkowym, był gratką dla propagandy bolszewickiej, która niezwykle celnie wskazywała, że ukraińskie zboże wywożone jest dziesiątkami tysięcy transportów kolejowych na zachód.

W imię czego Rosja ma zaakceptować taki nieformalny patronat Ameryki nad Ukrainą? To, że Trump jeszcze nie doszedł do punktu, w którym Rosjanie odniosą się do takich planów, wcale nie oznacza, iż takie weto nie nastąpi. No chyba że Trump nie przesadza, mówiąc,



z otoczenia Trumpa, winien być fakt, że scysja w Gabinetcie Ovalnym w Białym Domu niezwykle podniosła popularność Zełenskigo w społeczeństwie. Ma wsparcie najważniejszych krajów Unii, a już nieraz wykazał się talentem w sztuce przetrwania.

A przecież są inni gracze, jak np. Turcja. Dziś pomaga ona Ukrainie, jak może, bo nie chce, by północne brzegi Morza Czarnego były w całości kontrolowane przez Rosję. Ale przecież prezydentowi Erdoğanowi też wcale nie muszą się uśmiechać odejście Zełenskigo i pojedyncza dominacja Ameryki nad Ukrainą.

CO TO MOŻE ZNACZYĆ DLA NAS?

Akurat w Polsce jakaś dominacja amerykańska nad Ukrainą mogłaby być przyjęta jako stosunkowo najmniej złe. Ustabilizowanie naszego wschodniego sąsiada jako państwa stale oddzielającego nas od agresywnej Rosji byłoby zapewne dobrze przyjęte przez sporą część Polaków. Ale dla takich sił politycznych jak Platforma Obywatelska, którym bliżej do najważniejszych graczy unijnych – jak Francja i Niemcy – dysonans poznawczy byłby trudny do uniknięcia. Ile możliwych konfliktów mogłoby powstać na takim polu?

Ponadto totalna przewaga Ameryki jako gracza gospodarczego na Ukrainie może Polsce zagrażać, jeśli wyjdzie poza formułę korzystania z rzadkich minerałów. Wyobraźmy sobie, że amerykańskie firmy wykupują wielkotowarowe gospodarstwa rolne na ukraińskiej ziemi i zaczynają być konkurentem dla naszego rolnictwa. Wtedy oburzenie naszych rolników może być odrzucone przez amerykańskie władze, które twarzą będą stać po stronie interesów amerykańskich koncernów zbożowych.

CO ZA DUŻO, TO NIEZDROWO

Skojarzenia między losami Hetmanatu a niejasną jeszcze wizją kształtu Ukrainy, który możemy jedynie zgadywać z wypowiedzi Donalda Trumpa, prowadzi nas do dalszej refleksji. Państwo ukraińskie uzyskało szacunek świata wskutek ogromnej determinacji w obronie swojej wolności. Za idee wolności Ukrainy od początku wojny na pełną skalę oddało życie – według różnych szacunków – od 60 do 100 tys. żołnierzy, a liczbę rannych

Totalna przewaga Ameryki jako gracza gospodarczego na Ukrainie może Polsce zagrażać, jeśli wyjdzie poza formułę korzystania z rzadkich minerałów

szacuje się na 400 tys. W tej sytuacji Ukraińcy nie dadzą sobie łatwo narzucać rozwiązań podejmowanych ponad ich głowami – i na dodatek niezwykle często podawanych w aroganckiej, a niekiedy wyzywająco brutalnej formie przez przedstawicieli czołówki ekipy Trumpa. Ukraińcy mogą nie mieć dostatecznej siły, aby zatrzymać nieakceptowane przez siebie procesy polityczne, ale mogą też je na sporą skalę zdestabilizować. A tempo, z jakim na Ukrainie spadają sympatia i zaufanie wobec Ameryki, powinno już teraz być przedmiotem bardzo uważnej analizy Donalda Trumpa.

Wszelka nonszalancja i założenie, że Ukraińcy nie mają wyboru i muszą brać to, co im wujek Donald załatwi, mogą się okazać największym błędem nowego amerykańskiego przywódcy. Społeczeństwo świadome swej tożsamości i podmiotowości nie daje się pomijać w żadnym ważnym zjawisku geopolitycznym. Donald Trump cały czas podnosi potrzebę zatrzymania sytuacji, w której wojna powoduje straty ludzkie po stronie ukraińskiej i rosyjskiej.

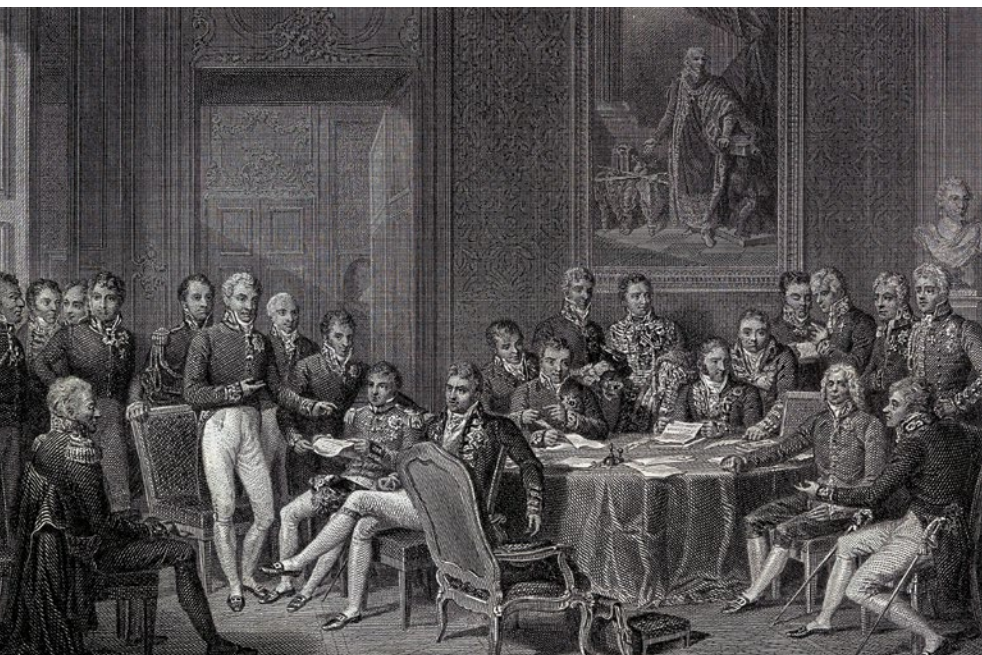
Ale oprócz godnego poparcia postulatów zatrzymania krwawej jatki są też inne kwestie. Choćby to, w jakim stopniu nowy ład po zamrożeniu wojny będzie ładem sprawiedliwym i uwzględniającym aspiracje Ukraińców. I to ich raczej muszą być stawiane wyżej, bo to oni są ofiarami agresji ze strony Rosji. Jeśli nowe rozwiązanie nie będzie ładem sprawiedliwym, to taki rozejm będzie albo kruchy, albo będzie generował nowo ukryty konflikt, który wybuchnie za jakiś czas. Dlatego samo mówienie o zatrzymaniu giniecia ludzi ma sens tylko przy założeniu, że nowy ład będzie optymalnym rozwiązaniem dla wszystkich stron, a nie tylko mechanicznym zatrzymaniem konfliktu.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

że ma narzędzia, za pomocą których zmusi Putina do zaakceptowania jakiegoś nowego pokojowego status quo.

KTO MA TYM ZARZĄDZAĆ?

Przyjmijmy więc, że Trump naprawę chce powstania buforowej Ukrainy z bardzo silną gospodarczą obecnością amerykańską na Ukrainie. I przyjmijmy, że Ameryka nadal zbroiłaby armię ukraińską, pozostawiając jej samodzielne zadanie chronienia takiego obszaru wspólnych interesów. Pytanie brzmi: Czy wiązać się to będzie z aktywnym działaniem na rzecz odejścia prezydenta Zełenskigo? I kolejna kwestia: Kto będzie zarządzał państwem do momentu przeprowadzenia wyborów prezydenckich i – jak można podejrzewać – powiązanych z nimi wyborów do nowego parlamentu? Zełenski dotąd był człowiekiem orkiestrą, który koordynował i symbolizował cały wysiłek obronny trzech długich lat wojny powstrzymującej agresję Kremla. Jeśli umowa, nad którą mają negocjować politycy ukraińscy z Amerykanami, będzie zawierać taką dymisję, to pytanie brzmi, jaka będzie dla takiej dymisji legitymacja społeczna. Co z tego, że Amerykanie wynajdą jakiegoś generała i zainstalują go w miejsce Zełenskigo? Poważnym ostrzeżeniem dla takich pomysłów, jeśli pojawią się one w głowach osób



prowadzenie własnej polityki i osiąganie postawionych celów, które podlegają racjonalnej analizie.

Celem pracy jest analiza planów i działań elity władzy Królestwa Polskiego w latach 1815–1830 z perspektywy realizmu politycznego. Efektem tych zabiegów była budowa w krótkim okresie państwa w ramach unii rosyjsko-polskiej, które miało instytucje parlamentarne, samorząd lokalny, dobrze zorganizowany system szkolnictwa, sprawną administrację, świetną armię, szczytło się klasycystyczną kulturą i rozwijało gospodarkę na podstawie interwencjonizmu państwowego, ale wielkimi problemami były zbyt skromny kształt terytorialny oraz brak rozwiązania kwestii chłopskiej. Dlaczego mimo to realiści przegrali ze spiskiem podchorążych ze szkoły piechoty i wspierających ich cywilnych konspiratorów przepojonych ideałami romantycznymi? Czy mogło być inaczej?

Autor ciekawie prezentuje sylwetki rosyjskich protagonistów analizowanych przez siebie wydarzeń. O imperatorach – Aleksandrze i Mikołaju czy wielkim księciu Konstantym – pisze rzeczowo, a w przypadku tego ostatniego podkreśla, że to niewykorzystana szansa ustrojowo-polityczna Królestwa, również na odzyskanie ziem zaniemeńskich i zabużańskich. Rzadko we współczesnym polskim piśmiennictwie można spotkać się z tego typu stanowiskiem, opartym na dużej znajomości zagadnienia.

GEOPOLITYCZNA ZMIANA

Skoro Księstwo Warszawskie w roli dalekiego bastionu imperium napoleońskiego przeciwko imperium carów zostało zastąpione po klęsce Napoleona w 1812 r. przez Królestwo Polskie jako bliski Rosji bastion w środkowej Europie, to należało wykorzystać tę sytuację zgodnie z polskim interesem. Można było tego dokonać w ramach świadomej swych celów opcji prorosyjskiej. Bez wątpienia byłoby to adekwatną odpowiedzią na geopolityczną zmianę, która po kongresie wiedeńskim dokonała się w sprawie polskiej. Nie miałoby to nic wspólnego z wysługiwaniem się caratowi przez notabli Królestwa, a jedynie byłoby realizacją interesu ówczesnego państwa polskiego, tym bardziej że Aleksander dał więcej Warszawie niż Napoleon. Po-

Dlaczego realiści przegrali?



Lech Mażewski

W roku 1812, po klęsce Napoleona, Księstwo Warszawskie w roli dalekiego bastionu imperium napoleońskiego przeciwko imperium carów zostało zastąpione przez Królestwo Polskie jako bliski Rosji bastion w środkowej Europie. Była to szansa, którą Polacy powinni byli wykorzystać. Stało się jednak inaczej. Kwestię tę porusza Emil Antipow w książce „Realizm polityczny elity władzy w Królestwie Polskim (1815–1830)”

Książka Emila Antipowa składa się z trzech części, w których omawiane są kolejno: tematyka i metodologia, teoria realizmu politycznego oraz kontekst historyczny widziany przez pryzmat tej teorii. Najobszerniejsza jest część ostatnia, w której analizowane są wydarzenia ustrojowo-

-polityczne od kongresu wiedeńskiego w 1815 r. do nocy listopadowej 1830 r. Ta część podzielona została na trzy rozdziały odpowiadające wyróżnionym okresom, co stanowi syntetyczne ujęcie występujących wówczas wydarzeń i zjawisk. Działania realistyczne określone są jako umożliwiające lub wspierające

lacy do dziś nie są w stanie tego przyjąć do wiadomości.

Zwrot prorosyjski w polityce Królestwa Polskiego nakazywałby konieczność publicznej obrony swoich poglądów przez przedstawicieli elity władzy, szczególnie w momencie starcia różnych racji ideowo-politycznych. Proces przed Sądem Sejmowym w 1828 r. był taką chwilą próby, rodzajem publicznego egzaminu, któremu zostali poddani notabla Królestwa w sprawie ich stosunku do status quo ukształtowanego w 1815 r. Okazało się jednak, że przedstawiciele elity władzy nie byli gotowi bronić istniejącego porządku. Za brak takiej postawy krytykował ich Michał Bobrzyński, czołowy przedstawiciel krakowskiej szkoły historycznej, w swojej syntezie „Dzieje Polski w zarysie”.

W noc listopadową 1830 r. elita władzy Królestwa zawiodła po raz wtóry. Nie była w stanie zapanować nad wydarzeniami, stając się ich sługą, zamiast je kreować – mimo dysponowania siłą całego aparatu państwowego. Konstancy powtarzał, że Polacy muszą wykazać się w tej krytycznej chwili umiejętnością rządzenia, inaczej pod znakiem zapytania postawią dalszy byt państwowy Królestwa. Jednak notabla dali sobie wmówić, że ich wysiłki po 1815 r. są nic niewarte, nie wynikają z polskiego patriotyzmu, a embrion polskiego państwa, któremu przewodzili, nie miał prawa istnieć, bo nie była to Polska niepodległa w przedrozbiorowych granicach.

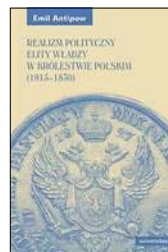
Tu pojawiała się jeszcze jedna kwestia. Otóż w ówczesnych realiach nie do wyobrażenia była Polska bez ziem zabużańskich i zaniemeńskich. Ale dlaczego Polska nie mogła istnieć bez Wilna, ale już bez Lwowa, Krakowa lub Poznania jak najbardziej tak? Autor tłumaczy to wszystko zwycięstwem romantyzmu. Czy z tym patriotycznym maksymalizmem nie należało zetrzeć się właśnie w imię politycznego realizmu? Właśnie tego oczekiwał od notabli Królestwa przywoływany już Bobrzyński.

NUMER JEDEN POLSKIEJ POLITYKI

Prorosyjski zwrot w polityce polskich elit może nie okazał się całkowitym humbugiem, ale jednak triumf odniósł powstańczy szantaż, którego sens sprowadzał się do imperatywu walki

z eurazjatyckim imperium, za wszelką cenę i bez względu na okoliczności. Wskazywało to, że zwrot prorosyjski w nastawieniu rządzących w Warszawie nie miał głębokiego charakteru i chodziło głównie o zwykły oportunizm, wyrażający się w postawie „brać i nie kwitować”. Ale tak na dłuższą metę polityki nie da się uprawiać. Musiało to prowadzić do przegranej zwolenników stawki na Rosję i pojawienia się pytania: Co dalej? Na jakim fundamencie geopolitycznym miano tym razem tworzyć Polskę? Czy postanowienia wiedeńskie już nie obowiązują? Czy sami Polacy mogliby unieważnić dzieło austriackiego kanclerza Klemensa von Metternicha – tak wychwalane wspólnie przez Henry’ego Kissingera jako modelowy przykład systemu równowagi?

Nie znaczy to, że Królestwo Polskie musiało być na zawsze związane z Rosją albo być z nią połączone jedynie na zasadach określonych w 1815 r. Zależałoby to od sposobu rozumienia polskiego interesu i możliwości jego realizacji. Przede wszystkim do wykorzystania była szansa wynikająca z tego, że Konstancy był wicekrólem de facto ziem obejmujących część dawnej Korony i dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego wraz z zasobami tam istniejącymi. Odrębną koniunkturę stwarzałoby zarysowanie się porządku europejskiego ustalonego w Wiedniu. W tym przypadku antyrosyjski zwrot w postawie polskich elit musiałby mieć miejsce w ramach szerszej koalicji europejskiej, podejmującej wojnę z Petersburgiem, inaczej przegrana Królestwa była nieuchronna. Ale i tak należałoby



EMIL ANTIPOW
„REALIZM
POLITYCZNY
ELITY WŁADZY
W KRÓLESTWIE
POLSKIM
(1815-1830)”
UNIVERSITAS,
KRAKÓW 2024

pamiętać, że w 1812 r. z imperium carskim walczyła właściwie cała Europa (poza Wielką Brytanią, Szwecją i państwami iberyjskimi), a mimo to skończyło się sromotną klęską.

Ugięcie się przed powstańczym szantażem przez elitę władzy Królestwa, co oznaczało zwycięstwo politycznego romantyzmu, było równoznaczne z tym, że ponownie staliśmy się bezradnymi klientami Zachodu. Wreszcie w latach 1853–1856, w ramach wojny wschodniej, zwanej krymską, doszło

do ograniczonego starcia liberalnego Zachodu z Rosją. Okazało się jednak, że i tym razem ani Londyn, ani Paryż nie chciały nic uczynić dla zaspokojenia niepodległościowych oczekiwań polskiej emigracji. W trakcie konferencji pokojowej przywódcy Zachodu zadowolili się jedynie ustnymi zapewnieniami przedstawiciela nowego imperatora Rosji Aleksandra II, że w Królestwie wkrótce nastąpią reformy.

Po przegranej w wojnie polsko-rosyjskiej 1831 r. rozpoczęły się bezradne narzekania na temat zdrady Zachodu, dla którego tak bezinteresownie się poświęcamy. Będzie to odtąd cyklicznie się powtarzać, dowodząc jedynie, że Polacy kompletnie nie rozumieją, na jakich zasadach funkcjonuje polityka zagraniczna. Decydują o tym posiadana siła i interesy, a wartości, o czym większość z nas tak uwielbia rozprawiać, nie mają specjalnego znaczenia. W momencie ustanowienia równowagi sił w stosunkach międzynarodowych odpowiednio skonfigurowane wartości będą użyte do jej uzasadnienia. Kto tego nie rozumie, sprowadza klęskę na siebie i zbiorowość, w imieniu której występuje.

Recenzowana książka to cenny przyczynek do badań nad realizmem w polskim życiu publicznym – po tym, jak Polska w wyniku wojny północnej (1700–1721) została poddana rosyjskiej hegemonii. Dotychczasowy przebieg konfliktu na Ukrainie wskazuje, że Rosja ponownie staje się punktem numer jeden polskiej polityki. Może dzięki tej pracy będziemy mogli czegoś nauczyć się z przeszłości, chociaż wiem, że w zakresie stosunków polsko-rosyjskich to bardzo trudne.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Paweł Chmielewski

Kościół katolicki myśli o ustaleniu wspólnej daty Wielkanocy z prawosławnymi. Rozmowy są prowadzone od dekad, ale w tym roku pojawiła się dobra okazja na pozytywny finał. Na przeszkodzie może jednak stanąć Moskwa

Już w pierwszych wiekach po Chrystusie chrześcijanie spierali się, kiedy należy świętować Wielkanoc. Trudności w ustaleniu tej daty przysparzało używanie różnych kalendarzy, zależnie od regionu Imperium Rzymskiego. Dzięki wysiłkom Soboru Nicejskiego w 325 r., dopełnionym po ponad dwóch wiekach przez obliczenia jednego z uczonych mnichów, udało się na długi czas przewyciężyć większość sporów. W 1582 r. papież Grzegorz XIII zarządził jednak reformę obowiązującego kalendarza, który zdążył poważnie rozminąć się z czasem astronomicznym. Zmiana została przyjęta w Europie, ale wschodni chrześcijanie w większości ją odrzucili. Od tego czasu zdarza się, że katolicy i prawosławni świętują Wielkanoc w odstępie nawet czterech tygodni. To może wprawiać w konsternację – zwłaszcza tam, gdzie żyją obok siebie.

NADZIEJA NA ZMIANĘ

O ustaleniu wspólnej daty Wielkanocy dla wszystkich chrześcijan zaczęto myśleć na poważnie w latach 60. XX w. Stało się to możliwe za sprawą rozpoczęcia przez Kościół katolicki i świat prawosławny regularnego dialogu ekumenicznego. W czasie Soboru Watykańskiego II doszło do przełomowego spotkania. W styczniu 1964 r. na Górze Oliwnej w Jerozolimie rozmawiali ze sobą papież Paweł VI i patriarcha Konstantynopola, Atenagoras. Wprawdzie prawosławie nie ma jednego zwierzchnika, jak katolicyzm, ale ze względów historycznych patriarchat Konstantynopola zajmuje w nim szczególnie miejsce. Paweł VI i Atenagoras podjęli wówczas decyzję o rozpoczęciu drogi, która docelowo miałyby zakończyć się pojednaniem. Rok



Papież Franciszek i patriarcha Konstantynopola Bartłomiej I, 26 maja 2018 r. FOT. ZUMA/SPLASH NEWS/EAST NEWS

Nowa data Wielkanocy?

poźniej znalazło to swój wyraz w konkretnej decyzji. Zdjęli ekskomuniki, którymi nawzajem obłożono się w 1054 r., kiedy legat papieża Leona IX ekskomunikował patriarchę Konstantynopola, Michała, a ten w odpowiedzi zwołał synod, który zareagował tym samym. W oczywisty sposób zaostrzyło to wzajemne relacje, nawet jeżeli nie doprowadziło do ich zerwania. W kolejnych wiekach nie brakowało nowych powodów do poważnych sporów. W 1596 r. zawarta została unia brzeska, jedna z najważniejszych prób doprowadzenia przez Kościół wschodnich chrześcijan do jedności z Rzymem. Prawosławni odczytali ruch uniatycki jako podważenie prawomocności Cerkwi i ważności sprawowanych przez nią sakramentów. Wprowadzona nieco wcześniej reforma kalendarza i związany z nią rozjazd daty Wielkanocy niejako podkreślały pogłębiającą się przepaść.

Po spotkaniu Pawła VI z Atenagorasem pojawiła się nadzieja na zmianę. W listopadzie 1964 r. biskupi zebrani na Soborze Watykańskim II przyjęli dekret „Unitatis redintegratio” o ekumenizmie. Stwierdzono tam jednoznacznie, że prawosławni posiadają „prawdziwe sakramenty, szczególnie zaś, na mocy sukcesji apostołskiej, kapłaństwo i Eucharystię”, a to powoduje, iż ich Kościoły „są z nami” – katolikami – „złączone najściślejszym węzłem”. Właśnie na tej podstawie stało się możliwe zniesienie ekskomunik i nawiązanie formalnego dialogu.

W połowie lat 70. patriarchat Konstantynopola utworzył komisję do spraw dialogu z katolicyzmem; analogiczne ciało utworzył Rzym. W 1980 r. rozpoczęła działalność Międzynarodowa Komisja mieszana do dialogu teologicznego między Kościołem katolickim a Kościołem prawosławnym. Na przestrzeni lat

gremium to przyjęło wiele dokumentów zbliżających katolicką i prawosławną teologię i rozumienie tego, czym jest Kościół, zwłaszcza gdy chodzi o relacje pomiędzy sprawowaniem prymatu biskupa Rzymu a soborami i synodami. Ze strony prawosławnej do dialogu weszły wszystkie najważniejsze patriarchaty: oprócz Konstantynopola były to patriarchaty Aleksandrii, Antiochii i Jerozolimy, a także patriarchat moskiewski, bez którego dziś trudno wyobrazić sobie autentyczny i skuteczny dialog katolicko-prawosławny.

SZCZEGÓLNY MOMENT

Data Wielkanocy stanowiła niemal od początku ważny temat dialogu. W konstytucji Soboru Watykańskiego II o liturgii „Sacrosanctum concilium” zapisano, że Kościół katolicki „nie sprzeciwia się temu”, aby data Wielkanocy była stała, o ile zgodzą się na to właśnie prawosławni. Patriarcha Atenagoras wystąpił z ideą ustalenia wspólnej daty już w 1969 r. W odpowiedzi papież Paweł VI wyraził zainteresowanie. Żadnych decyzji jednak nie podjęto. Do tematu wracał św. Jan Paweł II, wyrażając nadzieję na porozumienie w sprawie świąt Zmartwychwstania podczas wizyty w Syrii w maju 2001 r. Znowu – bez rezultatów.

Znacznie większą wagę niż jego poprzednicy do kwestii wspólnej daty Wielkanocy przyłożył papież Franciszek. Być może wynika to z wydarzeń, które obserwował na początku swojego pontyfikatu. W 2011 r. wybuchła wojna w Syrii, która przyniosła chrześcijanom ogrom cierpienia, zwłaszcza ze względu na działalność Państwa Islamskiego. W lutym 2015 r. na plaży w Libii dżihadyści z tej organizacji ścięli 21 Koptów. Franciszek mówił w tym kontekście o „ekumenizmie krwi”. Zamordowanych Koptów nazwał „świętymi dla wszystkich chrześcijan”. W 2023 r. słowa przekuł w fakty – spotykając się z koptyjskim patriarchą Teodorem II, ogłosił, że ścięci przez islamistów będą czczeni w Kościele katolickim jako męczennicy.

Po raz pierwszy o swoim pragnieniu ustalenia wspólnej daty Wielkanocy Franciszek powiedział właśnie w 2015 r. Zaprosił do dialogu nie tylko Teodora II, lecz także patriarchę Konstantynopola Bartłomieja oraz prymasa anglikanów

Data Wielkanocy stanowiła niemal od początku ważny temat dialogu

Justina Welby’ego. Rok 2025 jest dla dyskutowanej kwestii szczególnym momentem. Wskutek koincydencji kalendarzy tym razem wszyscy chrześcijanie będą obchodzić święto Zmartwychwstania Pańskiego w tym samym czasie. Papież chciałby, aby tak już pozostało. W tym roku mija też 1,7 tys. lat od Soboru Nicejskiego – pierwszego soboru powszechnego, zasłużonego również dla ustalenia daty Wielkanocy. Podczas Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijan w styczniu Franciszek jeszcze raz ogłosił, że Kościół katolicki „jest otwarty na przyjęcie daty jedności” w sprawie świąt.

Jak miałyby to wyglądać w praktyce? Kilka lat temu konkretną propozycję przedstawił Hiob z Telmessos, prawosławny arcybiskup, który reprezentuje patriarchat Konstantynopola przy Światowej Radzie Kościołów w Genewie. Zasugerował, że podstawą wyliczenia daty Wielkanocy powinien stać się południk w Jerozolimie. Inną, w teorii znacznie prostszą, możliwością jest trzymanie się w przyszłości stałej, np. tegorocznej daty, czyli 20 kwietnia. O tym mówi zresztą konstytucja liturgiczna Soboru Watykańskiego II.

Wydaje się jednak, że ani jeden, ani drugi pomysł nie mają większych szans na realizację ze względu na stanowisko patriarchatu Moskwy. W 2015 r. Rosjanie ogłosili, że mogą zgodzić się na wspólną datę Wielkanocy, ale tylko pod tym warunkiem, że Kościół katolicki przyjmie za podstawę jej obliczania kalendarz juliański. Innymi słowy, Moskwa nie myśli o kompromisie i jakiegokolwiek zmianie własnej praktyki – oczekuje, że katolicy dostosują się do jej zwyczaju.

DYKTAT MOSKWY

Franciszek planował podróż do Nicei w dzisiejszej Turcji, gdzie miał spotkać się z patriarchą Konstantynopola, żeby uczcić rocznicę Soboru Nicejskiego. Byłaby to idealna okazja do ogłoszenia, że ustalono wspólną datę. Jeżeli miałyby to być data stała albo wyliczana w jakiś

nowatorski sposób, to oznaczałoby to jednak pogłębienie podziałów w ramach świata prawosławnego. Te i tak są duże. Rosjanie od kilku lat są z patriarchą Bartłomiejem w ostrym konflikcie. Spór wybuchł m.in. wokół Ukrainy. Na przełomie lat 2018 i 2019 Konstantynopol zgodził się na utworzenie Kościoła Prawosławnego Ukrainy, który podlega jego jurysdykcji. Moskwa odczytała to jako akt wypowiedzenia religijnej wojny. Nie ma większych szans, by Rosjanie zmienili swoją optykę zadeklarowaną w roku 2015. Jedyną drogą jest zatem zgoda na dyktat Moskwy i przyjęcie kalendarza juliańskiego albo też pójście przez Rzym i Konstantynopol własną drogą, niezależną od Rosji. To byłoby jednak krokiem wątpliwym, zwłaszcza ze względu na polityczną zależność od Rosjan wielu mniejszych Kościołów prawosławnych.

Problemem pozostają też protestanci. Anglikanie zgodziliby się najpewniej na rozwiązanie przyjęte przez Rzym, bo od lat starają się, w ograniczonym zakresie, uznawać prymat biskupa Rzymu. Być może z racji ekumenicznych dostosowaliby się również luteranie czy kalwini. Wiele wspólnot protestanckich mogłoby jednak pozostać przy dawnej praktyce z czystej niechęci do Rzymu, a to mogłoby pogłębić podziały wśród chrześcijan w niektórych regionach, zwłaszcza w USA i krajach Ameryki Łacińskiej oraz Afryki.

Czy coś z tego wyjdzie, zobaczymy już w tym roku. Ostatecznie wspólna data Wielkanocy jest tylko jednym z elementów coraz bardziej zaawansowanego dialogu katolicko-prawosławnego. W jednym z tegorocznych numerów „Do Rzeczy” pisałem o dokumencie z czerwca 2024 r., który ogłosiła watykańska Dykasteria Rada Jedności. Jego tytuł brzmi „Biskup Rzymu”, a treść zawiera liczne propozycje transformacji sposobu sprawowania posługi papieskiej, tak by prymat zwierzchnika Kościoła katolickiego stał się akceptowalny dla anglikanów i prawosławnych. Jeżeli katolicy i chrześcijanie wschodni zgodziliby się w tym roku na wspólną datę Wielkanocy, to mogłoby to być symbolicznym początkiem kolejnych, dalece głębszych kroków ku jedności.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.



Rafał Łatka

Redakcje „Więzi” oraz „Tygodnika Powszechnego” po śmierci ks. Michała Czajkowskiego próbowały nie tylko wybielać jego biografię, przejść do porządku dziennego nad jego długoletnią działalnością agenturalną oraz czynami pedofilskimi, lecz także szantażować moralnie wszystkich tych, którzy się nie zgadzali na kreowanie go na postać wybitną, wspaniałą, „czyniącą dobro”. To razi mocno, tym bardziej że wobec innych pedofilów w sutannach katolicy „otwarcy” postępowali zupełnie inaczej, stale eksponując ich winy i domagając się daleko idących kościelnych rozliczeń. W przypadku swojego księdza postanowili postąpić jednak zupełnie inaczej

Niemal równo 20 lat temu, w maju 2006 r., Tadeusz Witkowski opublikował artykuł na łamach „Życia Warszawy”, w którym ujawnił, że gwiazda środowiska katolików „otwartych”, ks. Michał Czajkowski, była długoletnim donosicielem UB/SB o ps. Jankowski. Dwa miesiące po jego publikacji ukazał się specjalny raport przygotowany przez Andrzeja Friszkego, Annę Karoń-Ostrowską, Zbigniewa Nosowskiego i Tomasza Wiślickiego, w którym przedstawiciele „Więzi” analizowali przebieg współpracy z bezpieczeństwem wieloletniego asystenta kościelnego redakcji tegoż pisma (1984–2006). Czajkowski, co warto dodać, nie tylko był ważnym członkiem wspomnianego środowiska, lecz także przyjaźnił się z wieloma osobami związanymi z szeroko rozumianym Kościołem „otwartym” i był tam traktowany jako tzw. autorytet moralny.

Donosiciel bez skrupułów



FOT. TOMASZ CZEL/PAP

W momencie, gdy ukazał się raport „Więzi”, bohater tego tekstu przyznał się do współpracy agenturalnej, co zresztą mocno podkreślano w mediach katolików „postępowych”, wskazujących, że Czajkowski był pierwszym kapłanem, który to uczynił. Dzisiaj jednak mamy prawo przypuszczać, że zrobił tak dlatego, iż nie ujawniono wówczas dokładnych powodów werbunku z przyczyn jego słabości obyczajowych. Witkowski, a także autorzy raportu nie dysponowali bowiem teczką personalną „Jankowskiego”, która stała się dostępna w Archiwum IPN dwa lata po ukazaniu się ich publikacji. W 2023 r. dziennikarze „Rzeczpospolitej”, Piotr Litka i Tomasz Krzyżak, ujawnili, że aparat bezpieczeństwa miał niezwykle mocne materiały do szantażu ks. Czajkowskiego, a mianowicie dowody na molestowanie przez niego dwóch małoletnich chłopców (9 i 10 lat) w 1960 r.

W poniższej analizie opiszę w całościowy sposób współpracę agenturalną ks. Czajkowskiego. Pojawia się w niej wątki, które dotychczas były nieznane, a także krytycznie zweryfikuję raport „Więzi”, gdyż w moim przekonaniu jego autorzy podeszli zbyt przychylnie do bohatera swoich rozważań (ze względu zresztą na bliskość z nim współpracę trudno było im zachować w pełni badawczy obiektywizm) i jego tłumaczeń. Niestety, uwierzyli w kłamstwa, które im ich kolega i współpracownik suflował. Artykuł powstał też dlatego, że redakcje „Więzi” oraz „Tygodnika Powszechnego” po śmierci ks. Czajkowskiego próbowały nie tylko wybielać jego biografię, przejść do porządku dziennego nad jego długoletnią działalnością agenturalną oraz czynami pedofilskimi, lecz także szantażować moralnie wszystkich tych, którzy się nie zgadzali na kreowanie go na postać wybitną, wspianą, „czyniącą dobro” (jak napisał redaktor Nosowski). To razi mocno, tym bardziej że wobec innych pedofilów w sutannach katolicy „otwarcie” postępowali zupełnie inaczej, stale eksponując ich winy i domagając się daleko idących kościelnych rozliczeń (w tym także w dniu śmierci ks. Andrzeja Dymyera). W przypadku swojego księdza postanowili postąpić jednak zupełnie inaczej.

PIERWSZE KŁAMSTWO

Michał Czajkowski został dwukrotnie zwerbowany do współpracy agenturalnej:

w latach 1956 i 1960. W obydwu przypadkach powodem podjęcia działalności delatorskiej był szantaż obyczajowy. Pierwszy kontakt z aparatem bezpieczeństwa 20-letniego kleryka miał miejsce 13 lipca 1956 r., gdy studiował w Wyższym Seminarium Duchownym w Gościńsku-Paradyżu. Bezpieka wiedziała o jego „miłosnych kontaktach” z kobietą. Wprost pisał o tym w planie werbunku ppor. Tadeusz Rutkowski, pierwszy oficer prowadzący Czajkowskiego: „Materiały dot. jego niemoralnego prowadzenia się jako kleryka wykorzystane zostaną do głębszego związania go z Organami Bezpieczeństwa Państwa przez wykazanie mu, iż jest on w kolizji z prawem kanonicznym i moralnością chrześcijańską – jako kleryk. Wykaże mu się, iż w świetle prawa kanonicznego i ostatnio wydanego dekretu przez Kurję Gorzowską fakt ujawnienia jego stosunków z ob. KK [uczenicą liceum] mógłby się przyczynić do kompromitacji go w WSD [Wyższym Seminarium Duchownym] oraz wśród rodziny i najbliższego otoczenia z jednoczesnym wydaleniem go z Seminarium”.

W tym momencie wychodzi na jaw pierwsze poważne kłamstwo Czajkowskiego wobec kolegów z „Więzi”, którym mówił, że jedynym powodem nawiązania kontaktów z UB było wezwanie na milicję, które otrzymał w sprawie udziału w wydarzeniach poznańskiego Czerwca. Szantaż okazał się nad wyraz skuteczny, a sam kandydat przyznał się podczas rozmowy z ubekami do relacji z kobietą. W czasie spotkania werbunkowego z ppor. Rutkowskim i jego przełożonym por. E. Strychalskim 13 lipca 1956 r. Czajkowski zgodził się na współpracę agenturalną, podpisał zobowiązanie do zachowania rozmowy w tajemnicy oraz przekazał kilka przydatnych dla bezpieki informacji. Nadano mu pseudonim Janek. Kleryk nie miał oporów, jeśli chodzi o charakteryzowanie swoich kolegów z seminarium. Zdaniem funkcjonariuszy bezpieki: „Uzyskane od niego materiały w dużym stopniu przyczyniły się do rozeznania sytuacji w WSD oraz opracowania i dokonania werbunków spośród kleryków”. Ten etap współpracy agenturalnej zakończył się dość szybko, bo już 28 sierpnia 1956 r., gdy Czajkowski pisemnie zrezygnował z relacji z bezpieką oraz poinformował, że przeniósł się do seminarium we Wrocławiu. Tam też

duchowny otrzymał w 1958 r. święcenia kapłańskie, a rok później został skierowany przez przełożonych na studia specjalistyczne na KUL.

W zainteresowaniu bezpieki znalazł się ponownie w kwietniu 1960 r., gdy SB dowiedziała się, że planuje wyjazd do Rzymu, by dalej się kształcić. Początkowo to właśnie starania o rzymskie studia chciano wykorzystać do ponownego werbunku Czajkowskiego, gdyż aparat bezpieczeństwa miał świadomość, jak bardzo bohaterowi tekstu na tym wyjeździe zależy. Okazało się jednak, że funkcjonariusze zdobyli o wiele lepszy materiał do szantażu, czyli dokumentację dotyczące molestowania przez ks. Czajkowskiego dwóch chłopców (bardzo szczegółowe zeznania dzieci i ich rodziców zebrane w śledztwie). I w tym przypadku duchowny okłamał kolegów z „Więzi”, gdyż nie było to „drobne wydarzenie” – jak twierdził sam zainteresowany – ale zmuszenie dwóch małoletnich do obcowania płciowego. Czajkowski podczas spotkania z oficerem SB Mieczysławem Mroziewiczem 17 sierpnia 1960 r. nie tylko przyznał się do molestowania chłopców, lecz także napisał własnoręcznie oświadczenie, że zachował się „niemoralnie, dopuszczając się wykroczenia seksualnego w stosunkach do synów ob. [...] zamieszkałych w P. [zanonimizowano miejscowość]”. Funkcjonariusz we wnioskach z rozmowy jasno wskazał, że Czajkowski „zdaje sobie sprawę z konsekwencji swego czynu i faktu, że związanie się z Organami Bezpieczeństwa stwarza mu korzystne warunki uniknięcia sankcji karnych i zachowania dobrej opinii u przełożonych”.

PRZYŁAPANY W RZYMIE

Ksiądz Czajkowski od początku współpracy agenturalnej przekazywał SB ważne i przydatne dla aparatu bezpieczeństwa informacje. Dokonywał charakterystyk duchownych, z którymi miał kontakty, opisywał ich wzajemne relacje i konflikty. Oprócz uniknięcia odpowiedzialności karnej za czyny pedofilskie duchowny uzyskał także pomoc w przyspieszeniu uzyskania paszportu na wyjazd do Rzymu. Ponadto – jak słusznie zauważyli autorzy raportu „Więzi” – „w ciągu dwóch miesięcy Mrozowicz stopniowo poszerzał formy kontaktów z »Jankowskim«, przekraczając kolejne progi na drodze

■ pogłębienia współpracy. Najpierw był szantaż, potem konspiracyjne spotkania w Lublinie w oznaczonym z góry terminie i miejscu, dalej podanie adresu do korespondencji w Warszawie (przy Grochowskiej 309), nakłanianie do pisania notatek, z kolei przekazanie »Jankowskiemu« telefonu w Warszawie, by to on był inicjatorem spotkania”. Funkcjonariusz umiejętnie coraz silniej „wiązał” ks. Czajkowskiego z SB. 3 grudnia 1960 r. przekonał kapłana do przyjęcia gratyfikacji finansowej. Duchowny pieniądze przyjął (czemu oczywiście po latach zaprzeczał), w teczce personalnej zachowało się podpisane przez niego pokwitowanie odbioru 2 tys. zł.

Zgodnie z planem przygotowanym przez Mrozwiewicza w listopadzie 1960 r., po przyjeździe do Rzymu, ks. Czajkowski miał zostać przekazany na kontakt do wywiadu PRL. Miało się to stać po ok. roku pobytu, by duchowny się zdomowił. W okresie przejściowym Departament I MSW miał prowadzić z nim korespondencję na skrzynkę pocztową w Polsce. W teczkach pracy kapłana jako informatora zachowało się osiem tego rodzaju listów. Oprócz kwestii prywatnych stopniowo pojawiały się w nich informacje o innych kapłanach studiujących w Rzymie. Formalnej rejestracji ks. Czajkowskiego jako agenta Departamentu I dokonano 25 listopada 1962 r. Po spotkaniu z duchownym 21 grudnia jego oficer prowadzący, mjr Leszek Guzicki, stwierdził w raporcie, że Czajkowski „nie ma oporów do współpracy z nami na terenie Rzymu. Poza tym – jak się zorientowałem – w jakiś sposób współpracą z wywiadem imponuje mu”. Duchowny współpracował z Departamentem I MSW w latach 1962–1964. Donosy przekazywał w czasie spotkań z funkcjonariuszami, był też wynagradzany pieniężnie. Przekazywał zarówno charakterystyki polskich kapłanów, którzy studiowali w Rzymie, jak i relacjonował pobytu w Wiecznym Mieście bp. Bolesława Kominka (jego ordynariusza) oraz kard. Stefana Wyszyńskiego. Informacje były nieraz bardzo szczegółowe, gdyż bp Kominek miał zaufanie do ks. Czajkowskiego, który przez pewien czas pełnił nawet funkcję jego nieformalnego kapelana. Stąd też donosić mógł informować nawet o przebiegu spotkań ordynariusza wrocławskiego



Adam Pietruszka, oficer prowadzący ks. Michała Czajkowskiego, jako oskarżony podczas procesu przeciwko sprawcom uprowadzenia i zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki, Sąd Wojewódzki w Toruniu, styczeń 1985 r. FOT. GRZEGORZ ROGŃSKI/PAP

z hierarchami z poszczególnych watykańskich dykasterii.

USUNĄĆ SPRZED OCZU

Autorzy raportu „Więzi” próbowali nieco rozmiękczyć ten etap współpracy agenturalnej, wskazując, że nie ma stuprocentowej pewności, iż charakterystyki księży, które są w teczce pracy agenturalnej, pochodzą od Czajkowskiego. Lektura akt personalnych jednak jasno to potwierdza, tym bardziej że to właśnie te materiały okazały się przyczyną dekonspiracji kapłana jako konfidenta SB w 1963 r. Tej dokonali wspólnie księża Tadeusz Pieronek (późniejszy biskup) oraz ks. Zdzisław Seremak. Pierwszy ze wspomnianych duchownych przeszukał rzeczy ks. Czajkowskiego znajdujące się w jego pokoju w Instytucie Polskim w Rzymie i odnalazł tam przygotowane przez niego charakterystyki księży. Następnie obydwaj kapłani przekazali za pośrednictwem Marii Winowskiej informacje na ten temat kard. Stefanowi Wyszyńskiemu. Według

wiedzy bezpieki o relacjach duchownego z aparatem bezpieczeństwa wiedzieli już wtedy: kard. Wyszyński, abp Antoni Baraniak, bp Kominek, Winowska i ks. Seremak. W istocie po spotkaniu w maju 1964 r. kontakty bezpieki z ks. Czajkowskim zostały zawieszone. Wynikało to także z tego, że bp Kominek zdecydował, by podległy mu duchowny kontynuował studia w Jordanii i Jerozolimie. Ordynariusz wrocławski miał na celu także usunięcie go z Rzymu sprzed oczu tych, którzy wiedzieli o jego relacjach z SB.

Ksiądz Czajkowski do Polski powrócił na początku 1967 r. W latach 1967–1972 był wykładowcą we wrocławskim WSD i rektorem kościoła św. Marcina; następnie był proboszczem w Zgorzelcu (1972–1976). W marcu 1967 r. został przekazany „na kontakt” Departamentowi IV MSW. Jego oficerem prowadzącym został mjr Ludwik Dąbrowski i był nim do 1971 r. Współpraca agenturalna była w dalszym ciągu bardzo efektywna. Duchowny przekazywał wiele informacji na temat księży z archidiecezji wrocławskiej. W teczce pracy zachowało się w sumie 20 doniesień agenturalnych. Jak trafnie zauważyli autorzy raportu „Więzi”: „Raporty – a mówiąc językiem MSW, doniesienia – »Jankowskiego« z lat 1967–1972 są obszerne i wielowątkowe. Nie sposób nawet streścić tu wszystkich tematów, których dotyczyły. Przede wszystkim »Jankowski« informował o sytuacji duchowieństwa wrocławskiego, o poglądach panujących w kurii i w seminarium duchownym, o różnicach

Ksiądz Czajkowski był nie tylko konfidentem, lecz także agentem wpływu i konsultantem, z którym wysoki rangą funkcjonariusz SB omawiał interesujące go problemy dotyczące Kościoła katolickiego

opinii między księżmi a biskupami, o pojawiających się napięciach i konfliktach, o szczegółach pracy Wyższego Seminarium Duchownego. »Jankowski« nie tylko opisał konflikt arcybiskupa z księdzem, którego postawa moralna stwarzała poważne problemy, ale przekazał nawet – niewątpliwie ściśle poufny – wewnętrzny kościelny protokół z rozstrzygającej rozmowy biskupa z tym duchownym”. Oprócz informacji ks. Czajkowski dostarczał także wewnętrzkościelne dokumenty, mjr Dąbrowski przekazał mu zresztą w 1967 r. szpiegowski aparat fotograficzny do realizacji tego zadania.

Informacje, które ks. Czajkowski dostarczał SB, były oceniane jako bardzo cenne. Prawdopodobnie z tych też względów oraz chęci jeszcze lepszego wykorzystania donosiela jego oficerem prowadzącym został płk Mikołaj Maszara, szef aparatu bezpieczeństwa we Wrocławiu. Wspomniany wysokiej rangi funkcjonariusz spotykał się z „Jankowskim” w latach 1972–1975 co najmniej siedem razy i uzyskał od niego 11 opracowań (w tym także materiałów, które u ks. Czajkowskiego zamówił). Największą intensywność rozmowy z kapłanem przybrały w 1972 r. Regularność spotkań znacząco się zmniejszyła, gdy ks. Czajkowski przestał być wykładowcą WSD (jak wynika z danych posiadanych przez SB, stało się tak prawdopodobnie na skutek niechęci rektora seminarium i złej opinii na temat „Jankowskiego” w archidiecezji) i władze kościelne przeniosły go do Zgorzelca. Od 1975 r. prowadził go już mjr Bogumił Bedka, naczelnik Wydziału IV SB we Wrocławiu. W czasie rozmów z tym funkcjonariuszem ks. Czajkowski w dalszym ciągu przekazywał przydatne dla bezpieczeństwa informacje, m.in. na temat wrocławskiego Klubu Inteligencji Katolickiej.

DONOSY NA KS. JERZEGO POPIEŁUSZKĘ

W październiku 1976 r. rozpoczął się nowy – warszawski – etap w życiu ks. Czajkowskiego: praca w Akademii Teologii Katolickiej (od 1999 r. UKSW), gdzie pełnił funkcję kierownika Katedry Teologii Ekumenicznej do 2003 r. Od sierpnia 1976 r. „Jankowski” miał już nowego oficera prowadzącego w osobie płk. Stanisława Nowaka. Początkowo ks. Czajkowski przekazywał głównie informacje dotyczące duchowieństwa

archidiecezji wrocławskiej. Stopniowo jego donosy zaczęły zmieniać tematykę. Zawierały one informacje na temat funkcjonowania ATK, a także działalności środowisk zorganizowanej opozycji, m.in. KOR i środowiska „Znaku”.

W grudniu 1976 r. nowym oficerem prowadzącym kapłana został mjr Adam Pietruszka (późniejszy wicedyrektor Departamentu IV, skazany w procesie morderców ks. Jerzego Popiełuszki). Otworzyło to etap chyba najbardziej owocnej współpracy agenturalnej duchownego. Ksiądz Czajkowski w latach 1978–1984 spotkał się z Pietruszką co najmniej 73 razy, przekazując wiele przydatnych dla SB informacji. Kolejne 16 kontaktów to prawdopodobnie rozmowy telefoniczne. „Jankowski” donosił na temat ATK czy działalności środowisk opozycyjnych, wykonywał też zadania zlecone przez

„Jankowskiego” prowadzili niemal bez wyjątku wysocy rangą oficerowie bezpieki, co potwierdza dodatkowo wartość ks. Czajkowskiego dla UB/SB

Pietruszkę. Był nie tylko konfidentem, lecz także agentem wpływu i konsultantem, z którym wysoki rangą funkcjonariusz SB omawiał interesujące go problemy dotyczące Kościoła katolickiego. Jak słusznie zauważyli autorzy raportu „Więzi”, informacje uzyskane od Czajkowskiego trafiały do „różnych jednostek MSW: gabinetu ministra, wiceministra Władysława Ciasionia (szefa SB), Departamentu I (wywiadu), II (kontrwywiadu), III (zwalczającego opozycję), a w Departamencie IV – do Wydziału IV (analitycznego) i II (zajmującego się laikatem), do różnych wymienionych z nazwiska funkcjonariuszy”.

„Jankowski” donosił też na ks. Jerzego Popiełuszkę, i to w złośliwy sposób, a także starał się kształtować negatywne poglądy prymasa Józefa Glempa w odniesieniu do tego kapłana Solidarności. Ksiądz Czajkowski był regularnie wynagradzany za współpracę agenturalną. Otrzymywał zarówno

prezenty, jak i wysokie kwoty pieniędzy. Dzięki ppłk. Pietruszce otrzymywał od października 1981 stałą pensję od SB w wysokości 5 tys. zł, od marca 1984 r. było to już 9 tys. zł. Oficer prowadzący w następujący sposób uzasadniał podniesienie poziomu przekazywanych środków finansowych: „TW współpracuje z naszą służbą 24 lata. W okresie tym realizował szereg zadań specjalnych wymagających zaangażowania i osobistej odwagi. Aktualnie TW posiada naturalne możliwości realizowania zadań w ośrodkach wrogich związanych z opozycją antysocjalistyczną. Dostarcza on też wartościowych i sprawdzonych informacji ze środowiska naukowego wyższych uczelni katolickich”. Nie muszę w tym miejscu dodawać, że ks. Czajkowski kłamał, iż nie otrzymywał od Pietruszki (i innych funkcjonariuszy) gratyfikacji finansowych. Współpraca „Jankowskiego” z bezpieką zakończyła się 28 października 1984 r., jak wynika z zachowanych materiałów źródłowych.

Ksiądz Czajkowski, jak jasno wynika z materiałów SB, był nie tylko długoletnim donosicielem, lecz także obydwa jego werbunki agenturalne wynikały ze słabości obyczajowych. Molestowanie chłopców, którego się dopuścił, było czynem wyjątkowo obrzydliwym, a dzięki bezpieczeństwu i podjętej z nią współpracy uniknął jakiegokolwiek odpowiedzialności karnej. Aparat bezpieczeństwa uzyskał za to bardzo lojalnego konfidenta, który przez 24 lata przekazał wiele przydatnych dla funkcjonariuszy SB informacji.

Czajkowski donosił bez żadnych skrupułów, szczegółowo informował o wielu duchownych, wskazując także na słabości ich charakterów. Nie wahał się przekazywać także bardzo szkodliwych dla nich informacji, w tym też takich, które dotyczyły ich słabości obyczajowych, oraz wykonywać zadań zleczanych przez funkcjonariuszy. „Jankowskiego” prowadzili niemal bez wyjątku wysocy rangą oficerowie bezpieki, co potwierdza dodatkowo wartość ks. Czajkowskiego dla UB/SB. Kreowanie kogoś takiego na autorytet, osobę „czyniącą dobro” nie powinno zyskiwać w opinii publicznej jakiegokolwiek akceptacji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem, doktorem habilitowanym nauk humanistycznych, profesorem UKSW, pracownikiem Biura Badań Historycznych Instytutu Pamięi Narodowej.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Szkalowanie

Jak cię widzą, tak cię piszą – głosi porzekadło. A jeśli to jest pospolite szkalowanie? Ten proceder trwa kilkadziesiąt lat i stale rośnie. Jesteśmy pokazywani w świecie w absurdalnym świetle. W dodatku takie obrazy wracają do nas i są propagowane w czołowych mediach. Przykładem niech będzie choćby wywiad Rafała Betlejewskiego z Baruchem Bergmanem, zamieszczony w „Dużym Formacie” (2014).

Bergman całą okupację spędził w podbitej przez Niemców Warszawie, powinien zatem wiedzieć, jak było. Ale nie, roztacza przed dziennikarzem apokaliptyczną wizję sprowadzoną do absurdu. Wywiad ukazał się pt. „Ani jednego dobrego Polaka”. Można zatem zapytać, jak Bergman przeżył kilka lat okupacji bez ich pomocy. No właśnie – musiał udawać Polaka. Jego przemyślenia, przelane na papier, porażają. Według niego Polacy cierpieli na „obłąd narodowy”, co miało się wyrażać m.in. w zmianie powitania. Zamiast zwyczajowego dobrego mówiono „te sk..... Żydy” i taki był odzew. Księża w kazaniach zabraniali udzielania im jakiegokolwiek pomocy.

Ciekawe są jego relacje o powstaniu warszawskim. Jakoby 1 sierpnia 1944 r. na ulicach zbierały się grupy mężczyzn. Mieli oni karabiny owinięte w koce. O godz. 17 dzwony zabiły pięć razy i się zaczęło... Baruch

otrzymał dwa granaty i stał się powstańcem. Po kilku dniach trafił do Lasów Chojnowskich, gdzie dowódca oddziału por. „Szary” przyjął go do zgrupowania... NSZ! Ale por. „Szary” (Florian Kuśkowski) zginął już 1 sierpnia w akcji przeciwko Niemcom w Jeziornie! Dzielny Baruch ciekawski był i pytał, dokąd wyruszają w las grupy uzbrojonych partyzantów. Dostał odpowiedź: „Tam się Żydy chowają w lesie, oni idą ich wyłowić”. To nic, że tam nie było ukrywających się Żydów. To tylko nieistotny szczegół. Baruch twierdził, że „wszyscy byliśmy [ze sobą] bardzo blisko”, ale nikogo nie zapamiętał.

Jego brat, całkowicie głuchy, też rzekomo był powstańcem. Trafił do obozu dla młodocianych jeńców wojennych, gdzie wyszło na jaw, że jest Żydem. Wtedy niemiecki komendant powiedział: „Jak jemu coś się stanie, to ja was zastrzelę!”. A przecież brat był kompletnie głuchy, to jak mógł cokolwiek usłyszeć?

Takie opowieści na Zachodzie są czymś oczywistym. Ale coraz częściej docierają do nas w niezmienionej formie. Pytanie: Jak on został „powstańcem warszawskim”? I dlaczego co roku był zapraszany i honorowany? „Chcę podziękować Muzeum Powstania Warszawskiego, że zapraszają mnie co roku, jako powstańca, i że płacą za koszt mojego lotu, za hotel dla mnie i dla żony”. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Reformacja po polsku

Specyfiką polskiej reformacji było to, że jej siłę napędową stanowiła szlachta, a nie bogate mieszczaństwo, jak w innych państwach Europy. Warto jednak pamiętać, że w Polsce odsetek herbowych był największy na kontynencie, liczył bowiem od 8 do 10 proc. ogółu społeczeństwa. W naszym kraju reformacja nie podzieliła też ziemiaństwa tak jak na zachodzie kontynentu. Polscy katolicy, kalwini czy luteranie utrzymywali ze sobą kontakty towarzyskie, a różnice religijne nie przeszkadzały nawet w zawieraniu małżeństw. W sprawach politycznych szlachcice wyznania kalwińskiego bez problemu dochodził do porozumienia ze swoim katolickim czy prawosławnym sąsiadem, a dyskusje religijne znikły, gdy rozpoczynały się obrady sejmiku ziemskiego.

Rozwojowi reformacji w Polsce sprzyjało to, że Zygmunt August był władcą tolerancyjnym. Podobno mawiał, że nie chce być królem ludzkich sumień, a jeżeli pod naciskiem papieża wydawał edykty przeciwko innowiercom, to nie zamierzał ich realizować. Jednocześnie jego agenci kupowali dla króla w całej Europie książki uważane przez Kościół katolicki za heretyckie.

Król nie przejmował się też specjalnie opiniami dostojników katolickich, a swoimi poglądami potrafił wprawić ich w osłupienie. Gdy oskarżono grupę Żydów o kradzież

hostii, by wycisnąć z niej krew do profanacji, stwierdził w rozmowie z nuncjuszem papieskim, że „nie jest tak głupi, by wierzyć, że z hostii rzeczywiście płynie krew”.

Tymczasem w Rzeszy Niemieckiej po okresie wojen religijnych wprowadzono w 1555 r. zasadę „cuius regio, eius religio” („czyj kraj, tego religia”). Oznaczało to, że decyzję o wyznaniu panującym podejmowali władcy poszczególnych państw, a poddani musieli się do niej dostosować. Z tego powodu ludność Palatynatu zmieniała religię cztery razy w ciągu 20 lat, a oporni nie mieli wyboru i gdy nie chcieli uznać decyzji panującego, musieli udać się na wygnanie. Natomiast w Polsce, kraju uchodzącym za katolicki, pierwsze publiczne nabożeństwo protestanckie (luteranckie) odbyło się w Toruniu 25 marca 1557 r. na mocy przywileju królewskiego.

Wygrywanie interesów różnych grup wyznaniowych było zresztą Zygmuntovi Augustowi na rękę, gdyż dzięki temu mógł prowadzić własną politykę, tym bardziej że praktycznie gwarantował on swobodne wyznawanie religii niemal każdemu dopóty, dopóki nie będzie to wywoływało niepokojów społecznych. Dzięki temu udało mu się spokojnie przeprowadzić Polskę i Litwę przez okres wojen religijnych w Europie, co można uznać za jedną z największych zasług tego władcy. ©©



TRANSKOBIETA NIE POMOGŁA

Vancouver Island Mariners, żeńska drużyna koszykówki uczestnicząca w kanadyjskich akademickich rozgrywkach krajowych (CCAA), wzbudziła kontrowersję, wystawiając w swoim składzie biologicznego mężczyznę identyfikującego się jako osoba transseksualna. Na nic to się jednak nie przydało. Zespół przegrał w ćwierćfinale rozgrywek i z nich odpadł, co pogrzebało jego nadzieje na zdobycie mistrzostwa kraju.

FOT. ADRIE STOLK

PRZERAŻENIE OCHRONIARZA

W Santiago (stolicy Chile), w bloku mieszkalnym, skąpo ubrana kobieta zaatakowała werbalnie i fizycznie ochroniarza budynku. Oskarżyła go o to, że zadenuncjował ją żonie mężczyzny, z którym nawiązała romans. Para kochanków – zresztą sąsiadów, tyle że z różnych pięter – została prawdopodobnie wcześniej przyłapana na gorącym uczynku. Choć przerażonemu ochroniarzowi nic się nie stało, to z uwagi na swoje samopoczucie wziął zwolnienie lekarskie.

JELENIE NA LOTNISKU

Dzika przyroda coraz bardziej wdziera się w ludzką codzienność. Na lotnisku niedaleko Sapporo (Japonia) przez niemal godzinę nieczynne były dwa pasy startowe. Powód? Dwa jelenie biegały między kilkoma samolotami na płycie lotniska. W konsekwencji utrudnienia dotknęły siedem lotów.

OJCOWSKA FANTAZJA

W argentyńskim mieście José C. Paz mężczyzna pozwolił swojemu siedmioletniemu chłopcu jeździć samochodem po ulicach. W dodatku chłopiec zasiadł za kierownicą bez zapiętych pasów bezpieczeństwa. Krajowej Agencji Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego w Argentynie udało się namierzyć mężczyznę. Jego prawo jazdy zostało zawieszone.

MAKABRYCZNY LOT

Para z Australii doświadczyła makabrycznego, traumatycznego przeżycia. Na pokładzie samolotu, którym kobieta i mężczyzna lecieli z Melbourne do Dohy, zmarła pasażerka. Załoga samolotu położyła ciało denatki na fotelu, przykrywając je kocem. Tyle że obok siedział wspomniany mężczyzna, który musiał w tych warunkach spędzić w podróży cztery godziny. Tymczasem w samolocie było mnóstwo pustych miejsc. ©

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Rewolucja w odchudzaniu

Wartość sektora aplikacji wykorzystujących algorytmy sztucznej inteligencji (AI) ma wzrosnąć w ciągu pięciu lat z 5,5 mld dol. na koniec 2025 r. do 30 mld dol. w roku 2030 – szacują eksperci platformy Business of Apps.

Sztuczną inteligencję w smartfonach już dziś wykorzystywać można nie tylko do usuwania na zdjęciach niechcianych osób czy szpecących elementów tła, lecz także do pozbywania się niechcianej tkanki tłuszczowej. I to nie w wirtualnej, ale w tej najbardziej rzeczywistej rzeczywistości.

Liczne aplikacje zdrowotne są wyjątkowo pomocne. Wystarczy rano wejść na wagę sparowaną z telefonem, aby śledzić postępy w walce z nadwagą, patrzeć, jak maleje procent tkanki tłuszczowej i rośnie waga masy mięśniowej. Aplikacje pozwalają łatwo rejestrować kolejne litry wypitej wody oraz zliczać pochłaniane kalorie. Wykresy pokazujące spadek wagi i uśmiechnięte buźki gratulujące kolejnych sukcesów dodają zaś motywacji, gdy słodycze i kabanosy szturmują myśli człowieka na diecie. Sam dzięki technologicznym pomocnikom schudłem od stycznia aż 11 kg!

Część aplikacji jest darmowa, w niektórych płaci się za funkcje premium. Na przykład polska aplikacja Fitatu udostępniła w marcu możliwość szacowania liczby pożartych kalorii nie tylko za pomocą czasochłonnego skanowania kodów kreskowych i ważenia kaszy, mięsa etc. Wystarczy zrobić jedno zdjęcie posiłku! Zaawansowany algorytm AI szybko rozpoznaje składniki na talerzu (np. schabowy, czarny ryż, ogórek lub bułka z szynką i pomidorem), po czym szacuje ich wagę i kaloryczność. Już robi to całkiem nieźle, a ciągle się uczy. AI likwiduje więc nasze ostatnie wymówki... ©

Ukraińska opinia publiczna coraz więcej uwagi poświęca możliwym konsekwencjom wojny dla społeczeństwa. Znany psychiatra Ołeksandr Fedorec w wywiadzie dla portalu NV.ua wyróżnił trzy etapy przezwyciężania traumy wojennej przez żołnierzy na froncie. Pierwszym jest ostra reakcja szokowa. Kiedy żołnierz po raz pierwszy znajdzie się w trudnej sytuacji na polu bitwy, mózg wydaje zwiększone rozkazy: „Walcz, uciekaj, nie ruszaj się”. „Można wpaść w panikę, dezorientację albo odwrotnie – w stupor. Wtedy pomóc mogą towarzysze broni, np. krzycząc do żołnierza: »Trzymaj się mnie, ja ci pokazę, co masz robić!«” – mówi Fedorec. Dla wielu ludzi w takiej sytuacji najgorsze jest poczucie braku kontroli nad sytuacją. Strach przed tego typu niepewnością może być silniejszy nawet niż sam strach przed śmiercią. W przełamaniu tych obaw pomaga rozmowa z towarzyszami broni. Omówienie sytuacji pozwala ją zrozumieć i zredukować napięcie. Straszne wspomnienie staje się elementem doświadczenia, nauką na przyszłość.

Drugim etapem jest ostra reakcja na stres. Jest ona dostrzegalna w rozbiegającym i nieobecny spojrzeń żołnierza, który patrzy beznamiętnie przed siebie, a jednocześnie w jego głowie kotłują się traumatyczne wspomnienia. Z czasem jego stan się polepsza. W ciągu dnia strauatyzowany człowiek ogląda filmy, słucha muzyki, próbując wyrzucić ze świadomości wspomnienia, które jednak powracają nocą jako flashbacki. Z czasem realistyczne wspomnienia ustępują miejsca koszmarom. „Kiedy przyjeżdżam do szpitala i widzę chłopaków, którzy wyszli z działań bojowych dwa, trzy dni wcześniej, to wszyscy oni wyglądają, jakby byli w stanie ostrej reakcji stresowej. Po tygodniu przyjeżdżam i widzę, że już się trochę uspokoili, że oni wszyscy już normalniej się zachowują, normalnie rozmawiają z innymi i coraz lepiej śpią” – opowiada psychiatra. Z jego doświadczenia wynika, że ok. 20–30 proc. weteranów nie wychodzi ze stanu ostrej reakcji stresowej – ich psychika nie jest w stanie przepracować tych przeżyć albo po prostu nie chcą o nich zapomnieć.

Wreszcie, jeśli dany pacjent nie wyleczy się ani po pierwszym, ani po drugim etapie zmagania z traumą, czeka

Czym grozi wojenna trauma



Maciej Pieczyński

Pokój na froncie nie przyniesie pokoju w głowach Rosjan i Ukraińców. Weterani z zespołem stresu pourazowego z bohaterów stają się przestępcami. Doświadczenie kosmaru wojny zostawi trwały ślad w psychice nie tylko żołnierzy, lecz także cywilów

go etap trzeci – PTSD, czyli zespół stresu pourazowego. Nie jest on nieuleczalny. Jeśli weteran potrafi rozmawiać o wojennym doświadczeniu, to trauma stopniowo mija. Jeśli jednak koszmarm wojny nałoży się na negatywne doświadczenia z przeszłości, to stan chorego się pogorszy. „Pojawią się symptomy, które mogą doskwierać latami – zamkniętość, brak zaufania do świata, lęk przed utratą kontroli nad sobą, przed byciem zranionym przez innych ludzi, nieumiejętność okazywania uczuć” – mówi Fedorec.

Stres pourazowy może mocno utrudniać życie codzienne. Na przykład ulicą jedzie tramwaj, a nam może się wydawać, że słyszymy nadjeżdżający czołg. To jednak i tak najłagodniejsze objawy.

Weterani cierpiący na PTSD odczuwają nie tylko strach, ból czy wyrzuty sumienia, lecz także złość i frustrację. A to wszystko może prowadzić do nadużywania alkoholu czy narkotyków, a także do stosowania przemocy.

STRASZNIE NA FRONCIE, STRASZNIE W DOMU

Z reguły po zakończeniu wojny w toczącym ją państwie dochodzi do wzrostu przestępczości. Potrafiący posługiwać się bronią, nauczeni zabijać żołnierze zostają zdemobilizowani i wracają do domów. Straumatyzowani szukają ujścia dla swoich negatywnych emocji. I znajdują je albo w spontanicznych, indywidualnych aktach przemocy, albo w szeregach gan-



teraz wywołuje problemy społeczne. Wiceminister spraw wewnętrznych Bohdan Drapiatjy przyznał, że w 2023 r. odnotowano o 20 proc. więcej przypadków przemocy domowej niż w roku 2022. Już po kilku miesiącach wojny na pełną skalę resort ostrzegł, że po jej zakończeniu na Ukrainie wzrośnie poziom przestępczości. Latem 2022 r. wiceminister spraw wewnętrznych Jewhenij Jenin informował, że w kraju odnotowano zwiększoną liczbę przestępstw związanych z posiadaniem broni, a także kradzieży samochodów.

„Strasnie było nie wtedy, kiedy był na froncie, ale wtedy, kiedy wrócił” – tak o swoim mężu – żołnierzu cierpiącym na PTSD – wiosną 2024 r. opowiadała w rozmowie z Hromadske.ua Wiktoria. Trzydziestodwuletnia z synem i córką mieszka w Krzywym Rogu.

W przypadku ukraińskich kombatantów traumę wojenną potęgować może frustracja wynikająca z poczucia, że ich wysiłek wojenny do pewnego stopnia poszedł na marne

gów, które chętnie rekrutują byłych mundurowych. Tak było w Rosji po wojnach w Afganistanie i Czeczenii, a na Ukrainie po aktywnej fazie walk w Donbasie. Tak też może być po zakończeniu obecnego konfliktu.

W przypadku ukraińskich kombatantów traumę wojenną potęgować może też frustracja wynikająca z poczucia, że ich wysiłek wojenny do pewnego stopnia poszedł na marne, bo choć udało się obronić niepodległość, to jednak nie powiodła się próba odzyskania sporej części okupowanych terenów, konieczny okazał się kompromis z agresorem, a poza tym państwo nie dość, że nie wyleczyło się z korupcji, to jeszcze głębiej w niej

ugrzezło, gospodarka zaś po trzech latach konfliktu stoi w ruinie.

Nad Dnieprem permanentnie brakuje żołnierzy. Dlatego na razie problemem nie są odesłani do cywila kombatanci (bo nikt ich do cywila nie odsyła), tylko ci, którzy albo uchylają się przed służbą wojskową, albo, zaciągnięci siłą do armii, dezertują. Jedni i drudzy nie stosują przemocy (chyba że w obronie przed funkcjonariuszami WKU wyłapującymi ich na ulicach). Przeciwnie – ukrywają się przed władzą, starając się nie zwracać na siebie uwagi, albo uciekają za granicę. Przestępczość w wykonaniu weteranów to zatem przyszłość – a nie teraźniejszość – Ukrainy. Niemniej statystyki pokazują, że związany z wojną stres już

Przy dobrych wiatrach widzi się z mężem dwa razy w miesiącu. Do wojska Anton poszedł już pierwszego dnia wojny. W cywilu był spawaczem. Praca nie była jego pasją – tę znalazł dopiero na froncie. Anton był dwukrotnie ranny, za każdym razem wracał na front. „Nie mógł inaczej. Na wojnie odnalazł siebie” – przyznała Wiktoria. Gdy po raz pierwszy był ranny i wrócił do domu, w oczach żony i dzieci zmienił się nie do poznania. Po powrocie ze szpitala obudził się w środku nocy, odłamał nogę od taboretu i położył sobie pod poduszkę. Na pytanie „Po co?” odpowiedział: „A co, jeśli ruscy przyjdą? Jak będę nas bronił?”. Był psychicznie złamany, miewał napady agresji. Popadł w alkoholizm. Pił z kolegami i opowiadał im wojenne historie. Odszedł z domu, żeby jego problemy nie miały wpływu na dzieci. Wojskowy psycholog poradził rozwód. A jednak udało się uratować

rodzinę. Pomogły cierpliwość Wiktorii i psychologiczny kurs, który ukończyła specjalnie po to, by dogadać się z mężem.

BANDYCI W MUNDURACH

Niezależnie od tego, jaki będzie ostateczny rezultat wojny, niemal na pewno nie będzie nim klęska Rosji czy upadek rosyjskiej gospodarki. A nawet jeśli społeczeństwo dotkliwie odczuje trudy konfliktu, to Rosjanie są stosunkowo wytrzymali, posłuszni i są w stanie wiele swojej władzy wybaczyć, więc nie należy się spodziewać nastrojów rewolucyjnych, porównywalnych z 1917 r. Inaczej niż na Ukrainie polityczna frustracja nie będzie tutaj katalizatorem społecznego wybuchu. Niemniej wzrost wynikającej z wojny przestępczości jest nie tyle pewny – on już nastąpił. W Rosji mobilizacja jest tylko częściowa, żołnierze podpisują czasowe kontrakty i wracają z frontu – Moskwa na taki luksus może sobie, w odróżnieniu od Kijowa, pozwolić. Oba państwa werbują więźniów. Tyle że Rosja wpadła na ten pomysł o wiele wcześniej i prowadziła o wiele szerzej zakrojoną rekrutację, obejmującą również sprawców cięższych przestępstw. O ile więc ukraińscy byli więźniowie jeszcze siedzą w okopach, o tyle wielu byłych rosyjskich więźniów zdążyło już wrócić zarówno do domu, jak i do swojej przestępczej działalności.

We wrześniu 2024 r. opozycyjny rosyjski portal Verstka opublikował wyniki dziennikarskiego śledztwa na ten temat. W ciągu 2,5 roku wojny Rosjanie uczestniczący w „specoperacji”, już w cywilu, po wyjściu z armii zabili co najmniej 242 osoby i ciężko ranili kolejnych 227 osób. Co najmniej, bo śledztwo oparte było na informacjach podanych w mediach czy na stronach sądów, które nie zawsze publikują wyroki. A nawet jak publikują, to z treści usuwają wzmianki o wcześniejszym ułaskawieniu przestępcy czy o jego udziale w wojnie. Z reguły przestępstwa te miały charakter obyczajowy i związane były ze spożyciem alkoholu. Bardzo rzadko się zdarza, by motywem zabójstwa była kradzież. Sprawcami było 426 kombatanów, z czego 246 to byli więźniowie ułaskawieni przez Putina i wysłani na front. To właśnie ci, którzy na wojnę trafili z za krat, częściej niż pozostali, zdemobilizowani żołnierze zabijają i popełniają przestępstwa (w tym seksualne) wobec

kobiet. Spośród 125 ułaskawionych, którzy po powrocie z frontu pozbawili kogoś życia, 54 wcześniej siedziało również za zabójstwo. W ich przypadku resocjalizacja raczej nie była skuteczna.

Verstka opisała szczegółowo kilka przypadków przestępstw weteranów „specoperacji”. Władimir Tołokonnikow wraz z pasierbem wiosną 2023 r. przyjechał do Kabardo-Bałkarii, żeby spotkać się ze swoim dowódcą. Po drodze poznał grupę kobiet i mężczyzn. Chciał im pokazać filmiki, które nakręcił na pierw-

W ciągu 2,5 roku wojny Rosjanie uczestniczący w „specoperacji”, już w cywilu, po wyjściu z armii zabili co najmniej 242 osoby i ciężko ranili kolejnych 227 osób

szej linii frontu. Nowi znajomi nie byli zainteresowani, więc urażony – a do tego pijany – weteran wyjął pistolet i zaczął strzelać. Bilans: jeden zabity, jeden ranny. Podczas rozprawy dowódca zeznał, że Tołokonnikow dwukrotnie przyjeżdżał na front i dwukrotnie uchylał się od walki, za co został „ze wstydem” wyrzucony z jednostki.

Podobnego wstydu uniknął Grigorij Starikow. Odsłużył swoje w szeregach Grupy Wagnera. Po powrocie z frontu, w czerwcu 2023 r., gościł u znajomych – dwóch mężczyzn i kobiety. Podczas suto zakrapianej imprezy doszło do kłótni związanej z dawnym, nierozwiązanym konfliktem. Pięć dni później właścicielka wynajmowanego mieszkania znalazła ciała trzech osób. Starikow załutkował swoich znajomych na śmierć tępym narzędziem, najprawdopodobniej łomem. Każdej z ofiar zadał od 18 do 22 ciosów. Początkowo chciał ich „tylko” pobić, ale po pierwszych uderzeniach postanowił jednak zabić.

Sąd wziął pod uwagę okoliczność łagodzącą – udział w „specoperacji” uhonorowany medalem za odwagę. Ostatecznie jednak Starikow został skazany na dożywocie. Pierwsze problemy z prawem miał już w 2015 r. Trafił wtedy do kolonii na

trzy lata za kradzież kabla telefonicznego. Po dwóch latach został przedterminowo zwolniony, by kilka miesięcy później znów zostać aresztowany. Za to samo przestępstwo. Tym razem na 3,5 roku. Od 2021 r. Starikow cierpiał na zaburzenia osobowości, na froncie zaś raniono go odłamkiem w głowę. Z zespołem stresu pourazowego „radził sobie”, nadużywając alkoholu.

Wiktor Budin, były więzień i zarazem weteran wojny, został skazany na 19 lat kolonii karnej za zabójstwo dwójga sąsiadów – emerytów.

Inny uczestnik „specoperacji”, Wasilij Kim, zamordował własną matkę i brutalnie pobił jej męża. Mężczyzna wychowywał się w domu dziecka, a następnie w rodzinie zastępczej. Chciał jednak poznać swoją prawdziwą, biologiczną rodzinę. Z matką po raz pierwszy spotkał się tuż przed wybuchem wojny na pełną skalę. Po powrocie z frontu postanowił ją odwiedzić. Podczas zakrapianej rodzinnej biesiady pijany Kim wypomnił matce, że porzuciła go i jego rodzeństwo – brata i pięć sióstr. Najpierw kilkanaście razy uderzył ją pięścią w głowę, następnie kilkukrotnie dźgnął nożem. Na koniec zarząbał matkę siekierą, zadając symbolicznych siedem ciosów – dokładnie tyle, ile dzieci porzuciła. Kim trafił do kolonii karnej na 12 lat.

OJCÓBÓJCY

Najczęściej ofiarami padają krewni i bliscy znajomi przestępców. Matka Wasilija Kima nie jest bynajmniej wyjątkowym przypadkiem. Igor Bogatnow w 2017 r. został skazany na 22 lata więzienia za rozbój i dwa zabójstwa. Zza krat trafił na front, a następnie na wolność. W styczniu 2024 r. odwiedził swojego ojca. Ten bardzo głośno słuchał muzyki. Synowi się to nie spodobało. Doszło do ostrej kłótni. Igor chwycił leżący na stole nóż i zadał pięć ciosów. Ostatni był „kontrolny” – syn chciał się upewnić, że zabił ojca. Następnie wyszedł z mieszkania. Zadzwonił do sąsiadki i poprosił, by odwiedziła ojca.

Za zabójstwo Bogatnow został skazany na 8,5 roku kolonii karnej o zaostrowym rygorze. To tylko pół roku więcej, niż za rozpowszechnianie fałszywych informacji o działaniach armii rosyjskiej dostał pisarz Dmitrij Głuchowski.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Zmierzch duopolu PO-PiS?

Od 2005 r., czyli od 20 lat, Polską rządzi – rzecz jasna, za zgodą Polaków – duopol PO-PiS. W szczytowych okresach aż w sumie 75 proc. z nas popierało obie te partie, co oznacza, że dla pozostałych pozostawało w takich przypadkach do podziału wsparcie zaledwie 25 proc. Ale to się zmienia – duopol PO-PiS słabnie, sypie się, bo dziś opowiada się za nim – czyli za naprzemiennymi rządami Platformy i PiS – w sumie już „tylko” 60 proc. Polaków.

Jak się wydaje, okoliczności zewnętrzne (w tym głównie wojna na Ukrainie i otwarcie na oścież przez PO-PiS dla uchodźców stamtąd granicy Polski oraz budżetu naszego państwa, w tym opieki zdrowotnej i szkolnictwa), a także okoliczności wewnętrzne (zgoda PO-PiS na rujnujący nas Zielony Ład, a także dopuszczenie przez PO-PiS do gigantycznego zadłużenia Polski oraz wysokiego i przeciągającego się inflacji), w sposób naturalny i coraz silniejszy odstręczają od PO-PiS, winnego temu stanowi rzeczy, coraz większą, wciąż rosnącą grupę Polaków.

I w sposób równie naturalny sympatia coraz większej liczby z nich zaczyna się kierować w stronę jedynej liczącej się w Polsce siły politycznej, która demonstrowała swój sceptycyzm zarówno w sprawie ukraińfilii PO-PiS, skutkującej ogromnymi wydatkami Polski na rzecz Ukrainy i Ukraińców i ryzykownymi

dla Polski iluzjami o błyskawicznym przyjęciu Ukrainy do NATO i UE, jak i w sprawie aberracyjnego Zielonego Ładu, czyli energetycznej drożyzny, a także obłędu rozdawnictwa pieniędzy podatników, zainicjowanego przez PiS, a kontynuowanego przez Platformę. Nie wspominając o silnym sceptycyzmie owej siły politycznej wobec sanitaryzmu PO-PiS-u w czasie tzw. walki z tzw. pandemią COVID-19.

A siłą tą – jak wiadomo – nie jest ani PSL, ani Polska 2050, ani żadna z wydmuszek lewicy, bo wszystkie te partie są częścią PO-PiS – wyżej wymienione po stronie Platformy, a Suwerenna Polska, gdy jeszcze istniała – po stronie PiS. A przynajmniej tak są postrzegane przez wyborców. Tą siłą jest szeroko rozumiana Konfederacja – szeroko rozumiana, bo zaliczam do niej także, mimo rozejścia się ich dróg, tę jej część, na której czele stoi Grzegorz Braun.

I to najpewniej właśnie z tego powodu – traceniu poparcia przez szeroko rozumiany PO-PiS; rozumiany wraz z PSL, Polską 2050 i lewicą – tak mocno zyskuje dziś w sondażach kandydat Konfederacji na prezydenta Sławomir Mentzen, który zaczyna doganiać w nich głównych kandydatów PO-PiS Karola Nawrockiego i Rafała Trzaskowskiego (bo pomniejszych, jak Hołownia czy Biejat, już dawno przegonił), a poparcie dla innego kandydata tejże Konfederacji, Grzegorza Brauna, też nie jest przecież zerowe... ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Kataster przestaje być tabu

Kataster, czyli podatek od wartości nieruchomości, został zarekomendowany Polsce w końcu ubiegłego roku przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Od tego czasu dzieje się wokół tej sprawy coś bardzo dziwnego.

Z jednej strony niby wszyscy wiedzą, że ruszenie tego tematu to w naszym kraju polityczne samobójstwo. Nie bez powodu Karol Nawrocki zapowiedział w Szeligach, że

że próbowano go niedawno zwerbować do akcji wsparcia dla katastru. Gdy temat poruszy się w mediach społecznościowych, natychmiast pojawia się masa wpisów popierających kataster jako rzekomo znakomity środek na problemy z dostępnością mieszkań. Przychylnie na ten temat zaczynają się też wypowiadać niektórzy ekonomiści publicyści. Dla osoby wyczulonej na podobne sygnały zaczyna to wyglądać jak inspirowana akcja, szczególnie że w normalnej sytuacji tematy podatkowe nie wywołują aż takiego zainteresowania.

Charakterystyczne jest i to, że zwolennicy katastru próbują przesunąć dyskusję z tematu „Czy kataster wprowadzać?” od razu na temat „Od którego mieszkania począwszy i w jakiej wysokości?”, czyli spowodować, żeby najbardziej podstawowe pytanie spadło z agendy.

Nie łudźmy się: narzędzie takie jak kataster, nawet gdyby początkowo miało dotyczyć tylko właścicieli – dajmy na to – przynajmniej pięciu nieruchomości, z czasem dotknie zwykłego Kowalskiego z jednym mieszkaniem. Taka jest logika władzy, która dowie się do kolejnego źródła dochodów. Dlatego trzeba być maksymalnie wyczulonym na wszelkie odgłosy w tej sprawie. ©©

**Nie łudźmy się:
narzędzie takie
jak kataster
z czasem dotknie
zwykłego
Kowalskiego**

chciałby Polakom zagwarantować w konstytucji, iż podatek katastralny nie zostanie u nas wprowadzony.

A jednak o konieczności „podjęcia dyskusji” na ten temat publicznie wspominali dopiero co minister funduszy i polityki regionalnej Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz czy minister rozwoju Krzysztof Paszyk. Mało tego – zastanawiająco wyglądają ruchy wokół tego tematu w Internecie i w mediach. Od jednego z szanowanych ekonomistów, który pełnił funkcję w rządzie PiS, usłyszałem,



Na Wschodzie bez zmian



Jakub Wozinski

Po trzech latach wojny rosyjska gospodarka ewidentnie cierpi, choć wieszczanie jej rychłego upadku to przejaw myślenia życzeniowego

Polską przestrzeń informacyjną można określić jako strefę zgniotu dwóch odmiennych narracji: z jednej strony mówi się o potężnym kryzysie gospodarczym Rosji i zabójczych skutkach nałożonych na nią sankcji; z drugiej zaś płynie przekaz, że sankcje zaszkodziły co najwyżej stosują-

cym je państwom, a gospodarka Federacji Rosyjskiej jest odporna na wszelkie przeciwności.

Prawda na temat ekonomicznych skutków militarnej konfrontacji przypomina zaś sytuację na froncie. Od ponad trzech lat każdego dnia na polu walki ginie po obu stronach łącznie ok. 500 osób, a rannych zostaje ok. 1,8 tys. W pierwszych tygodniach rosyjskiej agresji o działaniach obu armii informowały największe światowe media; obecnie żyje nimi już tylko wąskie grono najbardziej dociekliwych osób lub ekspertów. Nie oznacza to jednak, że na wojnie nie dzieje się zbyt wiele. Wręcz przeciwnie, skala zniszczeń jest wciąż znaczna i dotyczy to także rosyjskiej gospodarki, która każdego dnia ponosi zauważalne koszty największej militarnej

konfrontacji od kilku dziesięcioleci. Mało które ze zjawisk gospodarczych związanych z wojną przykuwa wystarczającą uwagę, aby podbić nagłówki portali informacyjnych, lecz wzięte wszystkie razem pozostawiają na rosyjskiej ekonomii coraz wyraźniejszą bliznę.

Z oczywistych względów dużo łatwiejsze do zaobserwowania są straty ponieszone przez Ukrainę, która tocząc wojnę na swoim terytorium, musi dodatkowo zachować większy zakres transparentności względem zachodnich sojuszników. W Rosji już od kwietnia 2022 r. władze zaczęły ograniczać dostęp do informacji na temat tak ważnych obszarów, jak choćby wartości eksportu i importu, przychodów ze sprzedaży ropy i gazu, zadłużenia publicznego czy innych danych



wej zatwierdzonej na obecny rok mają one wynieść aż 13,5 bln rubli (127 mld euro), co odpowiada za aż 32,5 proc. budżetu federalnego i 6,3 proc. rosyjskiego PKB.

Stany Zjednoczone w czasie wojen w Iraku i Afganistanie w latach dwutyśnięcych wydawały na obronność nawet 20 proc. budżetu, lecz nie wiązało się to dla nich z żadnymi istotnymi perturbacjami dla budżetu, rezerw finansowych czy sektora prywatnego. Przeciwnie: były to lata prawdziwej eksplozji branży technologicznej. W przypadku Rosji jest już zupełnie inaczej. Pokazuje to choćby kondycja rosyjskiego Narodowego Funduszu Dobrobytu, czyli publicznej skarbonki, do której wpłacano przez lata głównie zyski ze sprzedaży surowców. Jeszcze przed wybuchem wojny znajdowały się w nim środki o łącznej wartości ok. 183 mld dol., lecz w styczniu br. pozostało już tylko 116 mld. W skład tych środków wchodziły głównie chińskie juany, ruble i złoto, lecz pod koniec lutego okazało się, że z funduszu nieoczekiwanie zniknęło 112 ton złota, które wedle wszelkiego prawdopodobieństwa upłynniono w celu załatwienia dziur w państwowym budżecie. Narodowy Fundusz Dobrobytu spełnia więc, jak widać, swoją funkcję, ale jeśli środki na nim zgromadzone będą ubywać w tym samym tempie, co do tej pory, to za kilka lat zostanie w całości wyczerpany.

SŁABA WALUTA, WYSOKIE STOPY

Istotnym problemem dla rosyjskiego funduszu skarbonki jest to, że gromadzono w nim środki pieniężne w rublach. Rosyjska waluta nie zalicza się zaś, delikatnie mówiąc, do najmocniejszych na świecie. Kreml wprowadził ograniczenia w obrocie dewizami i oficjalny kurs rubla w ostatnich miesiącach oscyluje w granicach 90–100 za jednego dolara. Wiadomo natomiast, że realnie za dolara trzeba zapłacić nawet 150–160 rubli. Nie ma się temu zresztą co dziwić, ponieważ w ciągu ostatnich trzech lat podaż rosyjskiego pieniądza wzrosła o równowartość ok. 50 trylionów rubli (ponad 500 mld dol.), choć nie odpowiadała temu analogiczny wzrost gospodarczy. Większość tego przyrostu miała miejsce w pierwszych miesiącach wojny, ale i tak szacuje się, że ceny w Rosji rosną w tempie co najmniej 10 proc. rocznie.

Na przykładzie konieczności uciekania się do rozmywania wartości waluty

widać najlepiej, jak wielkim ciosem było dla Rosji odcięcie jej od systemu SWIFT i zachodnich rynków finansowych. Dla chcącego się zadłużać państwa pieniądze są dziś dostępne na międzynarodowych rynkach w wielkiej obfitości, ale Kreml od 2022 r. musi polegać głównie na swoich krajowych zasobach, czego przykładem są choćby kolejne duże emisje obligacji skierowanych do obywateli. Motywowani patriotycznym obowiązkiem Rosjanie na razie chętnie wspomagają państwo, ale warunki finansowe, na których zadłuża się rząd, drastycznie się pogorszyły. Jeszcze przed atakiem na Ukrainę Rosja emitowała na międzynarodowych rynkach 10-letnie obligacje o rentowności nawet 4–5 proc., lecz nowe emisje krajowych obligacji federalnych mają już rentowność sięgającą nawet 20 proc.

Dostęp do środków finansowych staje się dla Kremla coraz bardziej realnym problemem. W wielu sektorach, które nie są związane bezpośrednio z przemysłem wojennym, nie dzieje się dobrze, na co wpływ mają bardzo wysokie stopy procentowe. Bank Centralny Federacji Rosyjskiej podniósł główną stopę bankową do poziomu aż 21 proc., co stawia ją w gronie krajów o najdroższym kredycie na świecie. W zasadzie można stwierdzić, że po tego typu środki sięgają kraje upadłe ekonomicznie borykające się najczęściej z hiperinflacją. Zazwyczaj w tego typu sytuacji państwa zwracają się z prośbą o pomoc finansową do międzynarodowych instytucji lub innych potęg. Rosja może liczyć głównie na Chiny, choć te na razie nie obsypują jej deszczem pieniędzy.

PIĘTA ACHILLESOWA

Przy drastycznie wysokich stopach procentowych aktywność gospodarcza w wielu sektorach napotyka coraz większe trudności, a rząd dodatkowo zarządził podwyżkę podatków (m.in. CIT z 20 do 25 proc.). W Rosji od dawna najważniejszy jest jednak przemysł gazowy i naftowy, który radząc sobie świetnie pomimo sankcji, zdołał zakamuflować trudności napotykane w innych branżach. Wysokie ceny ropy i gazu na światowych rynkach pozwoliły tym samym zasilić budżet wystarczająco wysokimi przychodami z podatków, aby uniknąć załamania finansów publicznych.

demograficznych i z rynku pracy. Kreml ma bardzo długą tradycję raportowania nieprawdziwych danych, dlatego na wszystkie podawane przez niego oficjalne wskaźniki dotyczące stanu gospodarki należy patrzeć z pewnym dystansem.

Gdyby skupiać się na bardzo zawodnym wskaźniku, którym jest produkt krajowy brutto, to należałoby stwierdzić, że osiągnięty w 2024 r. wzrost na poziomie 4,1 proc. świadczy wręcz o dynamicznym rozwoju. W rzeczywistości rosyjski PKB podbijają rządowe wydatki związane z wojną. Nie jest wcale przesadne stwierdzenie, że Rosja wydaje na trwający konflikt prawdziwą fortunę (jak na swoje możliwości finansowe). W porównaniu z 2021 r. roczne wydatki na armię wzrosły aż czterokrotnie i według ustawy budżeto-

■ Istotnym atutem Rosji jest także to, że przed wybuchem wojny utrzymywała wzorową dyscyplinę budżetową, a deficyt w ostatnich latach rzadko kiedy przekraczał 1 proc. PKB. Dzięki temu zdołano udźwignąć ogromny ciężar związany z finansowaniem wojny, choć – jak już wspomniano – osiągnięto to kosztem upłynięcia znacznej części środków z narodowego funduszu.

Niewątpliwym sukcesem Rosji jest to, że pomimo zamrożenia przez zachodnie państwa aktywów banku centralnego o wartości 300 mld euro w ciągu minionych trzech lat zdołano je w zasadzie odbudować. Stosując ograniczenia w przepływach kapitałowych, przebudowując skład rezerw oraz korzystając z pomocy zaprzyjaźnionych państw, Bank Centralny Federacji Rosyjskiej ma dziś do dyspozycji nawet 620 mld dol., z czego aż 40 proc. stanowią środki zgromadzone w juanach. Chińska waluta jest przy tym zdecydowanie mniej płynna niż dolary czy euro, które jeszcze do niedawna stanowiły 60 proc. rezerw.

Piętą achillesową Rosji jest uzależnienie od dochodów ze sprzedaży ropy i gazu, które generują nawet 30–40 proc. dochodów budżetowych. Zachód nałożył swoje sankcje i ograniczenia, ale te okazały się niewystarczająco szczelne i nawet przy pewnych trudnościach związanych z eksportem Rosja zdołała zarobić na swoim surowcowym bogactwie rekordowe sumy. Pomogły jej w tym na pewno wysokie ceny na światowych rynkach, które pozwoliły zrekompensować z nawiązką straty z okresu pandemicznego. Krytykowany przez liberalne środowiska za rzekome sprzyjanie Rosji Donald Trump jest jednak bardzo zeterminowany do tego, aby drastycznie naruszyć surowcowe eldorado Kremla i zmusić go do podjęcia negocjacji poprzez swój program zwiększenia wydobycia na niespotykaną dotąd skalę.

Powtarzający przy różnych okazjach hasło „Drill, baby, drill” amerykański prezydent chce wykorzystać to, że jego kraj stał się światowym liderem wydobycia oraz dodatkowo nakłonić kraje zrzeszone w OPEC, aby wydatnie zwiększyły produkcję. W wywiadzie dla telewizji Fox News stwierdził wręcz, że zbijając cenę ropy do poziomu 45 dol. za baryłkę, zmusiłby Rosję do rozmów pokojowych szybciej, niż

się wszystkim wydaje. Od zapowiedzi do wykonania jeszcze długa droga, niemniej jednak wydaje się, że właśnie tego mechanizmu zabrakło w dotychczasowej polityce Zachodu względem Rosji. Joe Biden początkowo również zapowiadał, że zwiększy wydobycie ropy, lecz zabrakło mu nawet odrobiny konsekwencji.

CIERPIENIA CYWILNEJ GOSPODARKI

Z dzisiejszej perspektywy widać wyraźnie, że dziurawy system sankcji na rosyjską ropy i gaz uratował Rosję przed potężnym tąpnięciem. Pomimo tego rosyjska gospodarka i tak znalazła się w bardzo trudnej sytuacji. W całej „cywilnej” części gospodarki zauważalne są spadki produkcji i inwestycji oraz narastający brak rąk do pracy. Przez ostatnie trzy lata z rynku pracy ubyło na trwałe nawet 2,5–3 mln osób (w wyniku wcielenia do wojska lub ucieczki z kraju przed mobilizacją). Prorosyjskie media z dumą odnotowują niekiedy, że w Rosji bezrobocie wynosi zaledwie 2,3 proc., ale wynika to wprost z tego, że wojna przejęła ok. 5–6 proc. całej siły roboczej w kraju.

Przy utrzymaniu sankcji i dalszym trwaniu wojny władze Rosji są w stanie zapewnić tylko kontrolowany upadek

Rosja to kraj, w którym władza nie musi liczyć się z niezadowolonymi obywatelami, ale warto odnotować, że realne dochody zwykłych Rosjan są obecnie niższe o nawet 25 proc. niż przed wojną. Wiadomo też, że władze wprowadziły znaczące oszczędności, m.in. w zakresie służby zdrowia i opieki społecznej. Prawdziwe powody do obaw Kreml może mieć jednak z powodu swojego narastającego zapóźnienia technologicznego względem światowych liderów. Rosja nie była nigdy prymusem w zakresie nowych technologii, ale trwająca już od trzech lat wojna zmusiła ją do poskromienia ambicji i zmobilizowania wszystkich sił na potrzeby militarne.

Wiele ostatnio mówi się o zapóźnieniu technologicznym krajów Unii Europej-

skiej względem Stanów Zjednoczonych czy Chin, ale Rosja właściwie na długie lata wypisała się z jakkolwiek pojętej rywalizacji w najbardziej zaawansowanych dziedzinach gospodarki. Z Federacji Rosyjskiej po 2022 r. wycofało się aż 475 zachodnich korporacji (a 1360 ograniczyło zakres działalności), a to właśnie one miały najbardziej znaczący wpływ na rozwój najbardziej zaawansowanych branż gospodarki. Dodatkowo z kraju uciekło sporo wysokiej klasy specjalistów. Kreml zdecydował się zaatakować Ukrainę w samym szczycie wielkiej rewolucji technologicznej związanej z upowszechnieniem się sztucznej inteligencji i dziś płaci za to wysoką cenę. Jeszcze przed wybuchem wojny rosyjskie firmy miały udział w światowym rynku AI rzędu 0,6 proc., lecz obecnie szacuje się go na ok. 0,1 proc.

Rosyjska gospodarka brnie do przodu siłą rozdmuchanych wydatków publicznych, ale przy utrzymaniu sankcji i dalszym trwaniu wojny władze są w stanie co najwyżej zapewnić sobie kontrolowany i rozłożony na dłuższy okres upadek. W przeciwieństwie do Ukrainy, która posiada od samego początku konfliktu hojnych sponsorów, Rosja musi radzić sobie głównie sama, bo jako mocarstwo nie może zdradzać oznak słabości. W istocie jednak słabość ta jest zauważalna choćby poprzez to, że już po podjęciu pierwszych rozmów z USA w Arabii Saudyjskiej rosyjskie władze zaczęły wprost zachęcać międzynarodowe firmy do powrotu.

Nie brak opinii, że dążąc do szybkiego zakończenia wojny i nowego resetu w relacjach z Moskwą, prezydent USA Donald Trump chce tak naprawdę powstrzymać pełny upadek gospodarczy Rosji i przeciągnąć ją na swoją stronę w rywalizacji z Chinami. Na tym etapie jest wciąż zbyt wcześnie, aby stwierdzić, że rzeczywiście tak się stanie. Uwagę zwraca jednak to, że pomimo wszystkiego, co się mówi o nowym multipolarnym porządku na świecie, Amerykanie dysponują wciąż ogromnym arsenałem środków ekonomicznych zdolnych rzucić na kolana nawet kraje o statusie imperium. Zdaniem sekretarza skarbu Scotta Bessenta administracja Bidena nałożyła na Rosję tak naprawdę zbyt słabe sankcje i dopiero zastosowanie dużo ostrzejszych środków przymusi Rosję do uległości. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jacek Przybylski

Które banki oferują najwyższe oprocentowanie na koncie oszczędnościowym, a które na lokatach? Jak poza odsetkami od depozytu otrzymywać co miesiąc premię od banku? I jak oszczędzać w zagranicznych bankach?

Rentowność najmu mieszkań stała się relatywnie niska w porównaniu ze stopami zwrotu z lokat bankowych – wynika z najnowszego raportu banku PKO BP. „Co więcej, wobec relatywnie niskiego popytu na rynku inwestorzy nie mogą liczyć na szybki wzrost cen mieszkań. Przy spadającej inflacji zniknęła również motywacja zakupu nieruchomości jako inwestycji chroniącej oszczędności przed utratą wartości” – piszą ekonomiści PKO Banku Polskiego w raporcie „Puls Nieruchomości: Potencjał popytowy drzemie w obniżkach stóp”.

REKORDY NA LOKATACH

Jednocześnie wartość nadwyżek finansowych gospodarstw domowych zdeponowanych w bankach i obligacjach skarbowych osiągnęła w tym roku rekordowo wysoki poziom. Gdzie jednak trzymać pieniądze w niepewnych czasach? Ten tekst nie stanowi porady inwestycyjnej. Jednym z najprostszych i stosunkowo najbezpieczniejszych sposobów na ochronę kapitału są jednak lokaty i konta oszczędnościowe w bankach. Najnowsze dane NBP pokazują, że po wielu miesiącach spadków w styczniu 2025 r. Polacy zdeponowali na lokatach 89,3 mld zł. To o 11,6 proc. więcej niż w grudniu 2024 r. i niewiele mniej, niż wynosił historyczny rekord z lipca 2024 r.

Trzeba jednak pamiętać, że mimo stabilnych stóp procentowych banku centralnego oraz stawek WIBOR bankowcy nad Wisłą powoli obniżają stawki za depozyty. Według najnowszych danych NBP średnie oprocentowanie nowych depozytów terminowych gospodarstw domowych w styczniu 2025 r. spadło z 4,42 proc. do 4,07 proc.

(to oprocentowanie w skali roku przed odjęciem podatku Belki). Tym samym różnica między oprocentowaniem nowych lokat a stopą referencyjną NBP zwiększyła się do niemal rekordowego poziomu (najwyższego nie tylko od roku 2022, lecz także od mniej więcej dwóch dekad). Banki mogą więc niemalże bez ryzyka lokować nadwyżki płynności w NBP lub w papierach emitowanych przez Skarb Państwa i naprawdę nieźle na tym zarabiać.

NAWET 9 PROC. W SKALI ROKU

Kiepskie średnie oprocentowanie w bankach nie oznacza wcale, że przeciętny Kowalski musi się godzić na tak słabe oprocentowanie. Aby za pomocą lokat oraz kont oszczędnościowych próbować uchronić pieniądze przed inflacją (wstępne dane za styczeń wskazują na wzrost cen na poziomie 5,3 proc. w skali roku), trzeba jednak regularnie przeglądać ofertę banków, zapomnieć o jakiegokolwiek lojalności wobec instytu-

miesiącach, należy zapewnić wpływy na konto min. 1 tys. zł oraz wykonać minimum sześć transakcji bezgotówkowych kartą do konta. Jeśli dodatkowo wykona się również jedną transakcję bezgotówkową kartą kredytową, to oprocentowanie z 8 proc. wzrośnie do 9 proc. w skali roku.

Posiadaczom mniejszych depozytów BOŚ Bank oferuje darmowe konto oszczędnościowe Cyfrowy Zysk z oprocentowaniem do 14 maja wynoszącym 8,1 proc. w skali roku (do 5 tys. zł).

Najwyższe oprocentowanie na lokacie – czyli 8 proc. w skali roku – oferuje Credit Agricole. W ramach „Mistrzowskiej lokaty” można ulokować na 90 dni od 1 tys. do 100 tys. zł. Promocja dotyczy jednak wyłącznie nowych klientów, którzy lokatę założą w ciągu 14 dni od otwarcia konta osobistego, wyrażą zgody marketingowe (elektroniczne i telefoniczne), a lokatę założą w ciągu 14 dni po otwarciu konta, a także w każdym pełnym miesiącu trwania lokaty wykonają minimum pięć trans-

Stwórz własne „500+”

cji finansowych i aktywnie przenosić pieniądze z jednego konta na drugie, trzecie i czwarte. Banki najczęściej premiują bowiem nowych klientów. W ten sposób z lokat i kont oszczędnościowych można wycisnąć nawet 9 proc. w skali roku.

BNP Paribas oferuje nowym klientom konto oszczędnościowe oprocentowane na 8 proc. w skali roku (dla kwoty do 25 tys. zł). W tym celu trzeba jednak odwiedzić placówkę banku. Na start dostaje się 8 proc. w skali roku. Aby utrzymać tak atrakcyjne oprocentowanie w kolejnych

akcji bezgotówkowych kartą do konta lub BLIKiem, a także minimum raz zalogować się do aplikacji CA24 Mobile lub serwisu CA24 eBank. Uwaga: jeśli nie spełni się któregoś z powyższych warunków, to oprocentowanie spada automatycznie do poziomu 1,5 proc. w skali roku.

W VeloBanku nowi klienci, którzy zdalnie otworzą Elastyczne Konto Oszczędnościowe i zapłacą pięć razy w miesiącu kartą do konta lub BLIKIEM, mogą liczyć na oprocentowanie do 7,5 proc. w skali roku (do 50 tys. zł) i 6 proc. w skali roku ▶

dla nadwyżki od 50 tys. zł do 400 tys. zł dla nowych środków. Bank dla nowych i obecnych klientów ma też w ofercie VeloSkarbonkę z oprocentowaniem 6,5 proc. w skali roku (dla salda wynoszącego do 3 tys. zł). Bank dla nowych i obecnych klientów ma też w ofercie VeloSkarbonkę z oprocentowaniem 6,5 proc. w skali roku (do salda wynoszącego 3 tys. zł).

Nest Bank nowym klientom oferuje sześciomiesięczną lokatę „Witaj”. Można ją otworzyć w ciągu 30 dni od otwarcia konta osobistego. Lokata jest oprocentowana na 7,6 proc., ale maksymalnie można na niej ulokować 25 tys. zł. Aby móc skorzystać z promocyjnej stawki, należy udzielić zgody marketingowej na wszystkie kanały kontaktu oraz zapewnić wpływ wynagrodzenia w kwocie minimum 2 tys. zł (ci, którzy nie chcą do Nest Banku przelewać pensji, mogą zapewnić dowolne wpływy zewnętrzne w wysokości minimum 2 tys. zł oraz wykonać 10 płatności kartą lub BLIKiem. Uwaga: w przypadku niespełnienia któregokolwiek z warunków promocji pieniądze na lokacie są oprocentowane według stawki 0,5 proc. w skali roku.

Nest Bank ma więc też odmianę lokaty „Witaj” bez konieczności spełniania warunków aktywności. Wystarczy udzielić zgody marketingowej, by założyć lokatę na trzy miesiące z oprocentowaniem na poziomie 5,25 proc. w skali roku.

W mBanku można znaleźć dwie atrakcyjnie oprocentowane oferty powitalne. W ciągu 30 dni od założenia eKonta Intensive można na trzy miesiące ulokować do 50 tys. zł na 7,2 proc. w skali roku. Z kolei w ciągu 30 dni po założeniu eKonta do usług można założyć trzymiesięczną lokatę oprocentowaną na 7 proc. w skali roku. Górne ograniczenie w tym przypadku wynosi 25 tys. zł. W przypadku obu rodzajów kont minimalna kwota jednej lokaty w promocji wynosi 1 tys. zł, a lokat można założyć tyle, ile się chce, byle nie przekroczyć kwoty maksymalnej (czyli 50 tys. lub 25 tys. zł).

Promocyjne lokaty powitalne znaleźć można również w ofercie Citibanku. Nowi posiadacze konta Citigold (ze średniomiesięcznym saldem na poziomie co najmniej 420 tys. zł) mogą ulokować do 200 tys. na trzy miesiące na lokacie oprocentowanej na 7 proc. w skali roku. Na klientów konta Citigold Private Client (saldo minimum

4 mln zł) czeka z kolei oferta z lokatą powitalną 6,5 proc. w skali roku do 2 mln na sześć miesięcy oraz lokatą dodatkową na 6 proc. w skali roku do 2,2 mln zł na trzy miesiące.

Bank Pekao oferuje nowym klientom, którzy spełnią warunki promocji, konto oszczędnościowe z oprocentowaniem 7 proc. w skali roku przez pięć miesięcy (do 100 tys. zł). Promocja trwa do 31 marca. Bank Pekao oferuje też atrakcyjnie oprocentowane lokaty walutowych. Oferta przeznaczona jest dla wszystkich osób, które nie prowadziły w Pekao Konta Walutowego w walucie lokaty lub posiadają taki rachunek, ale 31 stycznia 2025 r. mieli na nim zdeponowane nie więcej niż 3 tys. USD lub EUR i jednocześnie nie mieli lokaty terminowej oraz funduszu inwestycyjnego w tych walutach. Depozyty w USD oprocentowane są na 3 proc. w skali roku, a w EUR na 2 proc. w skali roku (minimalna kwota to 5 tys. USD/EUR, a maksymalna to 200 tys. USD/EUR). W danej walucie można założyć zдалnie jedną nieodnawialną lokatę na trzy miesiące i jedną na sześć miesięcy. Z oferty można skorzystać do 20 kwietnia.

Siedem procent na koncie oszczędnościowym w złotych oferuje również ING

Bank Śląski. Oprocentowanie obowiązuje przez trzy miesiące dla kwot poniżej 200 tys. zł. Aby na nie zasłużyć, trzeba jednak spełnić wszystkie warunki określone w regulaminie, czyli założyć konto osobiste, minimum trzy razy zalogować się do aplikacji Moje ING oraz zrobić co najmniej 15 transakcji kartą lub BLIKiem. Z podobnej oferty mogą skorzystać dotychczasowi klienci banku, obowiązuje ona jednak wyłącznie na nowe środki.

Volkswagen Bank oferuje nowym klientom darmowe konto oszczędnościowe z oprocentowaniem na poziomie 6,7 proc. (gdy saldo konta wynosi do 49999,99 zł) lub 7,2 proc., gdy saldo wynosi co najmniej 50 tys. zł (wyższe oprocentowanie jest wówczas naliczane dla wszystkich zgromadzonych środków). Aby skorzystać z promocyjnego oprocentowania w sześciu 30-dniowych okresach, trzeba wyrazić zgody marketingowe oraz dokonywać minimum pięciu transakcji bezgotówkowych kartą płatniczą na łączną kwotę co najmniej 2 tys. zł w każdym okresie. Volkswagen Bank ma też w ofercie Lokatę Plus na okres od 30 do 360 dni o stałym lub zmiennym oprocentowaniu (lokaty zakładane do 179 dni mają oprocentowanie stałe, a na





FOT. ANDRZEJ STOK

depozytu w euro oprocentowanie waha się od 1,1 proc. do 2,7 proc. w skali roku). Atrakcyjną cechą konta oszczędnościowego oferowanego za pośrednictwem aplikacji Revolut jest też to, że odsetki od kapitału dopisywane są codziennie. Pieniądze deponowane są w Aion Banku (z gwarancją ochrony depozytów do łącznej kwoty 100 tys. euro – gwarantem jest w tym przypadku belgijski fundusz gwarancyjny). Niestety, Revolut nie odprowadza automatycznie podatku od zysków kapitałowych, trzeba go więc samodzielnie wyliczyć i samemu odprowadzić do właściwego urzędu skarbowego przy okazji składania rocznego PIT.

Polacy mogą również korzystać z platformy oszczędnościowej Raisin. To produkt niemieckiego fintechu, który oferuje dostęp do oprocentowanych lokat bankowych z różnych krajów Europy za pomocą jednego konta. Dzięki platformie można np. ulokować środki na trzy miesiące na 6,7 proc. w skali roku w szwedzkiej instytucji HoistSpar. HoistSpar zapewnia, że depozyty do równowartości 100 tys. euro są chronione przez szwedzki Bankowy Fundusz Gwarancyjny, trzeba jednak samodzielnie wyliczyć i odprowadzić do właściwego urzędu skarbowego podatek od zysków kapitałowych, który polskie banki odprowadzają automatycznie.

PREMIE OD BANKÓW

Aby zarabiać na bankowaniu, nie trzeba mieć olbrzymich pieniędzy. Wiele banków oferuje nowym klientom premie za założenie i aktywne korzystanie z konta i za polecenie produktów bankowych.

Promocji jest wiele. Na przykład w mBanku za założenie konta mIntensive lub eKonta do usług i ich aktywne użytkowanie można otrzymać w ciągu kilku miesięcy łącznie do 860 zł różnego rodzaju premii. W Alior Banku oraz w ING premie mogą wynieść do 600 zł.

Bank Pekao oferuje do 300 zł premii dla nowych klientów zakładających Konto Przekosztne (pierwsze 150 zł klient może otrzymać po otwarciu konta z kartą, bankowością internetową Pekao24 i aplikacją PeoPay oraz zapewnieniu wpływów w łącznej wysokości min. 1 tys. zł w miesiącu otwarcia konta lub następnym, a drugie 150 zł za realizację min. pięciu transakcji bezgotówkowych kartą w każdym z trzech miesięcy po założeniu konta).

Bank BNP Paribas na start oferuje 50 zł za otwarcie Konta osobistego z Kartą oraz dostępem do Bankowości elektronicznej i Konta Lokacyjnego. Premia może jednak wzrosnąć o kolejne 200 zł, jeśli spełni się dodatkowe warunki. VeloBank oferuje klientom, którzy polecają VeloKonto, 100 zł za każdą osobę, która spełni warunki promocji (nowy klient otrzymuje wówczas 50 zł premii). Również Revolut premiuje osoby polecające konto tego popularnego fintechu. Za skuteczne zaproszenie każdego nowego klienta można otrzymać np. 200 zł. Ta oferta się zmienia i pieniądze od Revoluta może otrzymać w zależności od konkretnego przypadku zarówno osoba polecająca, jak i dotychczasowy klient banku (np. 150 zł i 100 zł).

Fintech Raisin także oferuje bonus dla nowych klientów, choć wymaga on nieco więcej pracy: należy zarejestrować się na platformie do 21 kwietnia, otworzyć elastyczny produkt oszczędnościowy lub

800 zł

WYPŁATĘ „BONUSU POWITALNEGO” W TEJ WYSOKOŚCI OBIECUJE PLATFORMA RAISIN

lokatę terminową do 5 maja 2025 r. i utrzymać na wybranym produkcie depozyt w wysokości co najmniej 40 tys. zł przez minimum sześć miesięcy. Do 5 maja 2025 r. trzeba też wysłać e-mail ze zgłoszeniem chęci otrzymania bonusu z tematem „Bonus powitalny”. Do wzięcia jest od 100 zł do 800 zł w zależności od kwoty wpłaty.

Okazji do zarobku jest więc sporo, a to tylko przykładowe oferty. Do tego w wielu bankach można uzyskać vouchery na zakupy w ramach programu Mastercard Bezcenne Chwile. Aby otrzymać premie w wyżej wymienionych bankach i fintechach, warto bardzo dokładnie przestudiować regulamin. Czasem wystarczy bowiem np. wyrazić zgodę marketingową na kontakt elektroniczny, ale zabronić kontaktu telefonicznego, aby premia przepadła. Dodatkowe pieniądze od banku mogą także przepaść, jeśli np. zamiast wymaganych 2 tys. zł jednorazowo przeleje się dwa razy po 1 tys. zł.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Szokująca kopalnia



Jacek Pańkiewicz

W czasach sowieckich w Kara Bogaz Goł robotnikom towarzyszyły pochwalne pieśni, bohaterom pracy socjalistycznej dedykowano poezje i wystawiano pomniki. Dzisiaj pracownicy zatoki mogą jedynie pocieszać się, że praca, nawet ponad siły, jest lepsza niż żadna



FOT. JACEK PAŃKIEWICZ

Widziałem wiele ekstremalnych środowisk naturalnych, ale nigdy tak niesamowitego i bezlitosnego jak to. Oślepiająca biel pustkowia z błękitnymi odcieniami niczym rafa koralowa ciągnie się aż po horyzont, drażniąc oczy. Iskrzące się kryształkami soli, pozbawione jakiegokolwiek cienia rozległe bezludzie, urozmaicone smugami różowej piany dryfującej na wodzie, sprawia upiorne wrażenie. Kiedy wysiadałem z klimatyzowanego samochodu, uderza w twarz obezwładniające niczym ogień z hutniczego pieca powietrze. Wkrótce dosięga mnie świadomość własnej nicości i nie ma co ukrywać – żałosne poczucie bezbronności. Śniłem o najmniejszym chociażby powiewie powietrza, a myśli ulatywały gdzieś do krainy zimna za kołem podbiegunowym.

Opisywane miejsce to położona w suchym stepowo-pustynnym klimacie Turkmenistanu zatoka Kara Bogaz Goł, czyli „Czarna otchłań”, oddzielona od Morza Kaspijskiego długą, piaszczystą mierzeją. W 1919 r. rosyjski akademik Mikołaj Kurnakow po jej zbadaniu doszedł do wniosku, że ma do czynienia ze składnicą największych na świecie złóż mirabilitu, naturalnego minerału siarczanu sodu, znanego w formie przetworzonej jako sól glauberska. Ma ona zastosowanie przy wyrobie detergentów, szkła, farb, papieru czy przy

zmiękczeniu wody. Intensywne w ciągu upalnego lata parowanie wody, o zawartości soli większej niż w Morzu Martwym, powoduje w okresie zimowym wytrącanie z oziębionej wody wykrystalizowanej, wysokojakościowej soli glauberskiej, która osadza się w jej w płytkich zalewach.

W końcu lat 20. naturalny zasobnik siarczanu sodu stał się pierwszą wielką budową socjalizmu, która miała otworzyć etap sowieckiego przemysłu chemicznego. Projekt stał się priorytetem pierwszej „pięciolatki”, obok elektryfikacji kraju, budowy Kanału Wołga-Don czy nowych ośrodków przemysłowych na Uralu. Latem 1932 r. kombinat solny zatrudnił 4 tys. robotników, głównie Kazachów i Turkmenów, a także młodych komsomolców przybyłych z różnych zakątków ZSRS. Pomimo prymitywnych warunków pracy, pogodowego piekła i trudnej sytuacji bytowej, z dotkliwym nieustannym brakiem wody pitnej włącznie, wydobywanie ewaporatów solnych za pomocą łopat i kilofów wynosiło w tym pionierskim okresie prawie 80 tys. ton, przekraczając wszelkie oczekiwania. Odkuty od powierzchni mirabilitu był transportowany barkami do Baku, Astrachania, ale głównie do Machaczkały, skąd przewożono go kolejną do przedsięwzięcia w Rosji, na Ukrainie, w Mołdawii i krajach bałtyckich.

Dyrektorem generalnym kombinatu był polski Żyd Jakow Rubinstein, do głębi

oddany partii Lenina, który w uznaniu „wielkich zasług dla radzieckiego państwa i społeczeństwa w dziedzinie produkcji” został odznaczony Orderem Czerwonego Sztandaru Pracy. W okresie stalinowskich czystek popadł w niełaskę i w 1937 r. na podstawie sfałszowanych aktów procesowych Najwyższy Sąd Wojskowy skazał go za działalność kontrrewolucyjną na karę śmierci, ze skutkiem natychmiastowym. Niewielką satysfakcją dla jego bliskich musiało być to, że w okresie odwilży politycznej, rozliczenia ze stalinowskimi metodami budowy komunistycznego raju na ziemi, został on oczyszczony ze wszelkich zarzutów.

Sochad Berdijew, były pracownik Kombinatu Chemicznego, jeden z ostatnich, którzy jeszcze nie uciekli z tego piekła, opowiada o losach przedsiębiorstwa przynoszącego do niedawna 3 mln dol. dochodu rocznie. W połowie XX w. poziom wody w Morzu Kaspijskim z niezrozumiałych powodów zaczął katastroficznym opadać. Razem z nim i w leżącym o kilka nacię metrów poniżej Kara Bogaz Goł. Jakiś „pogromca natury” w Moskwie, chcąc ratować Morze Kaspijskie, zdecydował odgradzić je od zatoki. W marcu 1980 r. na przeciskającej się przez mierzeję wąskiej cieśninie postawiono tamę. Ośmi lat później lustro bezodpływowej zatoki skurczyło się prawie pięciokrotnie, a po kolejnych

dwóch latach Kara Bogaz Goł zamieniała się w słone zanikające jezioro, a mówiąc bardziej dokładnie – w kurzącą, cuchnącą solanką, istną toksyczną pustynię. Pojawiły się niepokojące problemy. Z obnażonego dna wiatry unosiły bezwartościową sól osadową i przenosiły ją na duże odległości, niszcząc pola bawełniane i stwarzając problemy zdrowotne dla ludności regionu. Lekarze alarmowali o licznych przypadkach jaglicy, chorób układu oddechowego czy skóry noworodków. Pasterze zaś narzekali, że „zasolone” owce dają trzy razy mniej wełny.

Po rozpadzie Związku Sowieckiego Saparmurat Nijazow, dożywotni przywódca pięćmilionowego pustynnego kraju w środkowej Azji, postanowił odzyskać przynoszącą wielkie straty ekonomiczne zatokę i polecił zburzyć 200-metrowej długości tamę. Tym samym przywrócił połączenie morza z odnowioną zatoką. Ale z powodu zwiększonej koncentracji solna panew uległa w tym czasie zanieczyszczeniu chlorkiem sodu, prozaiczną solą kuchenną. Los przemysłu siarczany został zagrożony. Wyniki produkcji spadały, wielka socjalistyczna inwestycja dogorywała.

PONAD LUDZKIE SIŁY

Latem tego samego roku, mając w kieszeni z trudem zdobytą zgodę, znalazłem się nad tą osobliwą, prawie nikomu nieznaną zatoką. Właśnie zaczęła się ona w cudowny sposób odnawiać. Woda pojawiła się także w „Jeziorze numer 6”, zalewie, gdzie skoncentrowane jest wydobywanie bogactw natury, górnolotnie określanych „białym złotem”. Kombinat mógł znowu pracować.

Doskonale pamiętam minerał skrzypiący niczym śnieg pod moimi butami. Ale jeszcze bardziej grupy mężczyzn w białej odzieży, w dużych roboczych ciemnych okularach i z głową obwiązaną chustą chroniącą przed udarem słonecznym oraz nos i usta przed wszechobecnym, zabójczym pyłem solnym. Scena niczym z thrilleru o zombie z postapokaliptycznego świata.

Powietrze przesycone solą sprawia, że niemiłosiernie palące słońce nabiera przymglonego, lekko srebrzącego zabarwienia. Termometr wskazuje 41 st. C, ale tropikalna spiekota natężona jest promieniowaniem cieplnym i na dodatek jeszcze promieniami odbitymi od nagrzanego do

temperatury 85 st. C piasku. Deszcz jest tutaj nieznany, bo żar jest tak wielki, że woda spadająca z nieboskłonu wyparowuje, nie docierając do powierzchni ziemi. Wszystkie wokół na tej siarkowej zatoce pokrywa białe naloty soli. Postacie ludzkie przypominają zagubione duchy zmarłych, które dostały się pod kontrolę „rytuału opętania” kapłana voodoo i teraz wykonują jego polecenia. Widok wystawionych na niesamowity wysiłek mężczyzn poruszających się nierównym krokiem pod ciężarem pokątnych worków z solą napawa bezgranicznym zaszewieniem.

Już samo przebywanie w tym bezlitosnym klimacie przekracza limity survivalowe istoty ludzkiej. Płuca dyszą z trudnością, a obezwładniające, przesycone solą i pyłem powietrze oraz dojmujące uczucie duszności stają się trudne do zniesienia. Człowiek jest bezbronny w starciu z 50-stopniowym żarem. Nie sposób opisać, jak można w tak niewyobrażalnie cierpkich warunkach wykonywać jeszcze katorżniczą pracę. Jeśli przed ekstremalnym zimnem można się obronić dodatkową odzieżą, wysokokalorycznym posiłkiem, gorącą herbatą czy aktywnością fizyczną, to tutaj nie ma żadnej osłony.

W czasach sowieckich w Kara Bogaz Goł robotnikom towarzyszyły pochwalne pieśni, bohaterom pracy socjalistycznej dedykowano poezję i wystawiano pomniki. Dzisiaj pracownicy zatoki mogą jedynie pocieszać się, że praca, nawet ponad siły, jest lepsza niż żadna. „Nie mam pretensji do losu – twierdzi, nie wdając się w dłuższą rozmowę 38-letni Elyar Faiq, azerbejdżański uchodźca z Karabachu. – Chociaż praca jest zabójcza, a zarobki tak marne, że nikt nie chce się podjąć tej pracy, to nie mam innego wyjścia, żadnych perspektyw”.

W odległości 20 km od „Jeziora numer 6” leży zapomniane przez Boga Bekdasz. Wygląda na powojenne Sarajevo, rozpadające się bloki, okna bez szyb, rozlatujące się chodniki zasypane piaskiem przez hulający wiatr; rozbite beczkowozy i nieopisana beznadzieja bijąca z półopustoszałego miasteczka. Życie tutaj stało się istną męką. Bekdasz zawsze był wielonarodową osadą, gdzie zgodnie mieszkali Rosjanie, Ormianie, Azerowie i Kazachowie. Redukcje w przedsiębiorstwie, żenująco niskie wynagrodzenia i bezrobocie zmusiły ludzi do wyjazdu. Liczba mieszkańców zmniejszyła się trzy razy.

Konsekwentna turkmenizacja wszystkich dziedzin życia publicznego, kierowana przez Nijazowa i wdrażana wraz z polityką izolacjonizmu, narzuciła obowiązkowy narodowy język, dla nieznaających go nie było miejsca na kierowniczych stanowiskach. Większość wyjechała do swojej historycznej ojczyzny – głównie do Rosji, Kazachstanu i Azerbejdżanu. Na dalszy plan zostały zepchnięte instytucje użyteczności publicznej, zabrakło podstawowych warunków do życia. Pojawiły się ogromne problemy z zaopatrzeniem, drastycznie pogłębił się niedostatek wody pitnej. W mieście pozostały dwie z trzech szkół średnich i tylko trzy z ośmiu przedszkoli. Zlikwidowano bibliotekę, chociaż nadal działała szkoła muzyczna. Zamknięto szpital, pozostało tylko ambulatorium, do specjalisty trzeba jechać do odległego o 100 km Turkmenbaszy lub Aszchabadu. Woda pitna, która tutaj była zawsze problemem, nie jest już dostarczana do budynków mieszkalnych. Miejscowi robią, co mogą, aby ją zdobyć, niektórzy mają w domu destylatory, inni jeżdżą po nią do Turkmenbaszy albo zamawiają u kierowców tirów jeżdżących do pobliskiego Kazachstanu. Oprócz problemów z wodą występuje niestabilne zasilanie elektryczne. Kiedy w mieście wybuchł pożar, przyjechał samochód strażacki, ale bez wody. Podczas gdy kierowca pojechał zatankować, skrzynia biegów odmówiła posłuszeństwa...

W IZOLACJI

Wraz z upadkiem ZSRS w 1991 r. nastąpiło w całym kraju załamanie gospodarcze, co dotknęło także produkcję chemiczną w Bekdasz. Teraz kombinat Karabogazchim sprawia wrażenie przygnębiającego widma. Działalność została zredukowana do minimum, straszą pustym wnętrzem opuszczone hale, bezużyteczne kominy, rozwalone budowle i rdzewiejące koparki.

„Władze centralne od dawna zapowiadają ożywienie przemysłu chemicznego, wnoszącego do miasta nowy impuls – żali się Gulnara ze sklepu spożywczego. – Jednak nikt z tych, którzy pozostali, nie jest skory, aby temu uwierzyć”. Wkrótce po moim pobycie autokratycznie rządzony, bogaty w zasoby gazu ziemnego, Turkmenistan wprowadził politykę samoizolacji, stając się jednym z najbardziej zamkniętych dla podróżnych krajem na świecie.



SUZUKI S-CROSS SP 1.5 DUALJET HYBRID

Ten model japońskiej marki to „kompaktowy SUV” dla tych, którzy od samochodu nie oczekują wodotrysków i sportowych możliwości, ale praktyczności, solidności, bezawaryjności i jak najlepszego stosunku jakości do ceny.

Mierzący 430,5 cm długości S-Cross SP może jeździć w trybie Sport, Auto, Eco oraz Snow (w tym ostatnim porusza się z napędem na wszystkie cztery łapy). Daje więc radę zarówno na nieutwardzonych traktach, jak i na lewym pasie polskich autostrad (prędkość maksymalna wynosi 175 km/h). Pokonywanie wysokich krawężników oraz dziurawych fragmentów polnych dróg ułatwia nieco podwyższony prześwit (17,5 cm).

Kabina została stworzona raczej z myślą o tradycyjalistach niż o miłośnikach najbardziej nowoczesnych motoryzacyjnych gadżetów. Ekranik systemu multimedialnego ma przekątną 9 cali. Próżno tu szukać bezprzewodowej ładowarki. W kabinie nie ma też luksusowych materiałów. Wykończenie jest twarde, ale solidne. Nic nie skrzypi ani nie trzeszczy. Wszystko wydaje się stworzone po to, aby przetrwać długie lata. Zawieszenie zostało zestrojone tak, aby auto dobrze prowadziło się na serpentynach, ale jednocześnie pozwalało na komfortową jazdę. Wszystkie wersje wyposażenia posiadają reflektory LED Hi/Low (dla świateł mijania i drogowych), kamerę cofania czy adaptacyjny tempomat. W wyż-

szych wersjach są również podgrzewane fotele, system kamer 360 stopni czy panoramiczny dach.

Wadą jest słabe wyciszenie kabiny. Minusem jest też mały kufer, który ze względu na ukryte pod podłogą akumulatory ma zaledwie 293 l pojemności.

Pod maską S-Crossa znajduje się napęd hybrydowy 1.5 Dualjet Hybrid, na który składają się wolnossąca czterocylindrowa, 16-zaworowa jednostka, o mocy 102 KM i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym 138 Nm, oraz silniczek elektryczny o mocy 33 KM i 60 Nm (energia magazynowana jest w akumulatorach litowo-jonowych o pojemności zaledwie 840 Wh). Łączna moc tego układu hybrydowego wynosi zaś 116 KM.

Napęd współpracuje z sześciostopniową zautomatyzowaną skrzynią biegów AGS. Trochę szkoda, bo skrzynia AutoGear Shift to nie jest ani najnowsze, ani najlepsze rozwiązanie. Zastosowanie AGS utrudnia choćby dynamiczne przyspieszanie („sprint” od zera do setki trwa więc aż 13,5 s, a gwałtownym zrywom towarzyszą szarpnięcia skrzyni). A co ze spalaniem? Średnia z testu po mieście, drogach krajowych, ekspresowych i autostradach wyniosła 7,2 l/100 km. Osiągnięcie takiego wyniku wymagało zaś bardzo delikatnego obchodzenia się z pedałem gazu.

Suzuki S-Cross SP 1.5 Dualjet Hybrid w wersji wyposażenia Premium Plus z napędem tylko na jedną oś kosztuje 131,9 tys. zł. Ta sama wersja z napędem na cztery koła to wydatek co najmniej 143,9 tys. zł. Testowany egzemplarz w wersji wyposażenia Elegance Sun z napędem 4WD wyceniony był zaś na 152,6 tys. zł. ©

FOT. JAP

EZVIZ SMART HOME SENSOR KIT

Szybka instalacja, banalnie prosta obsługa, powiadomienia o alarmie w bezpłatnej aplikacji, minimalistyczne wzornictwo, skuteczność działania, możliwość łatwej rozbudowy systemu oraz świetny stosunek ceny do jakości – to największe zalety czteroelementowego zestawu czujników do inteligentnego domu chińskiej marki Ezviz.

Nie każdy już na etapie budowy domu zdecydował się na projekt mający uczynić jego cztery kąty „inteligentnymi”. Nie każdy ma również możliwość i pieniądze, aby wydać fortunę na nową instalację. Wiedzą o tym doskonale producenci elektroniki, którzy oferują stosunkowo tanie, bezprzewodowe systemy do inteligentnego zabezpieczenia domu lub mieszkania.

Testowany zestaw startowy składa się z czterech elementów. Wszystkie są stosunkowo niewielkie i białe, dzięki czemu powinny łatwo komponować się z wystrojem wnętrz. Pierwszy z nich to podłączana do prądu bramka A3. To z nią za pośrednictwem ZigBee 3.0 paruje się kolejne przyciski i czujniki. Drugim elementem jest niewielka czujka ruchu T1C. Zasięg detekcji

wynosi do 7 m. Czujka PIR jest wyposażona w osłonę, dzięki której przy odpowiednim montażu będzie reagowała na ludzi, ale ignorowała zwierzęta domowe. Trzecim elementem jest czujnik otwarcia/zamknięcia drzwi lub okien T2C. Czwartym zaś inteligentny przycisk alarmowy T3C – za jego pomocą np. osoby starsze mogą wezwać na pomoc innych użytkowników. Można go również używać do włączania i wyłączania systemu czujników.

Elementy testowanego zestawu po wykryciu zagrożenia wysyłają alerty bezpośrednio do bezpłatnej aplikacji na smartfonie.

System jest również kompatybilny z kamerami do monitoringu i innymi czujnikami, jak np. czujnik zalania wodą czy czujnik dymu (trzeba kupić je oddzielnie). Jedna bramka pozwala na podłączenie do niej 32 urządzeń bezprzewodowych.

Minusy? Wadą i jednocześnie zaletą urządzeń, które podłącza się do zestawu, jest to, że działają wyłącznie na baterie. Nie wymagają więc kabli, a w przypadku braku zasilania nadal będą więc strzegły przed zagrożeniami (jeśli bramkę podłączymy do UPS). Jednakże trzeba pamiętać o regularnej wymianie baterii.

Testowany zestaw Ezviz B1 kosztuje 479 zł. ©



FOT. MATERIAŁ PRASOWE



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Wąchock bez sołtysa

Wąchock leżący w województwie świętokrzyskim, mniej więcej w połowie drogi między Skarżyskiem-Kamienną a Starachowicami (bliżej jednak tych ostatnich), przez całe lata był przedmiotem niewybrednych dowcipów, w których niepoślednią rolę odgrywał jego sołtys. Chciałoby się rzec – być może dlatego, aby przykryć piękną historię tego miasteczka zasłużonego w czasach powstania styczniowego i w okresie drugiej wojny wspieraniem partyzantów z oddziału Jana Piwnika „Ponurego”.

Wąchock pojawił się na widowni dziejów pod koniec XII w., być może w 1179 r., kiedy biskup krakowski ufundował w tym miejscu opactwo cystersów; jedno z najstarszych w Polsce.

Natomiast nazwa miasta pojawia się po raz pierwszy w 1218 r., zapisywana była jako „Vancoz”, a zakonnicy, którzy założyli tutaj swoją siedzibę, przybyli z Francji. Na przełomie wieków XII i XIII

zbudowano kościół, potem resztę zabudowań konwentu, co sprawia, że opactwo stało się jednym z najstarszych w Polsce. Długo jednak zachowywało obcy charakter. Pierwsi opaci, jak Haymo i Gwidon, byli cudzoziemcami, dopiero w 1461 r. wybrano pierwszego Polaka – Mikołaja Raduńskiego.

Do tego czasu opactwo stało się jednym z największych i najbogatszych w Polsce – dzięki nadaniom i darowiznom rycerzy i możnowładców. Jednak ogromny wkład w jego siłę włożyli sami mnisi. Tereny dzisiejszego Świętokrzyskiego były bowiem w średniowieczu



FOT. DOMENA PUBLICZNA

zdziżać i trudne do wykorzystania w rolnictwie. Jedynie cysterska cierpliwość, znajomość technik karczowania, zakładania stawów, pasiek, młynów i wiosek przemienić mogła dzikie, kamieniste okolice w krainę miodem i mlekiem płynącą. Do czasu jednak. W XIII w., w latach 1260 i 1289, klasztor padł ofiarą najazdu Tatarów, którzy zniszczyli i złupili wszystko, co miało jakąkolwiek wartość; zerwali nawet ołowiane dachy zabudowań. Opactwo zostało zrujnowane tak bardzo, że trzeba było sprowadzać nowych zakonników, gdyż poprzedni zostali zabici lub uprowadzeni w niewolę. Sprowadził ich książę Bolesław Wstydlivy, który wydał cystersom przywilej na poszukiwanie w okolicy szlachetnych kruszców, a dodatkowo powierzył im nadzór nad kopalnią soli w Bochni. Odtąd Wąchock stał się stolicą lokalnego przemysłu – na początku XVI w. funkcjonowały tutaj 22 kuźnie, działały tutaj również piec odlewniczy do wytopu łożu i liczne huty szkła.

Przez cały ten czas miasteczko rozwijało się jakby w cieniu konwentu. A jednak to sami zakonnicy zabiegali o nadanie mu praw miejskich, co ostatecznie osiągnęli w 1454 r. Od tego czasu, dzięki przywilejom nadanym przez króla Kazimierza Jagiellończyka, Wąchock rozwijał się nieprzerwanie przez 200 lat. To był fenomen dawnej Korony Polskiej i późniejszej Rzeczypospolitej – przez dwa stulecia żadne obce armie nie

okupowały ani nie niszczyły okolicy, z wyjątkiem kilku łupieżczych konfederacji wojskowych.

Wszystko skończyło się w połowie XVII stulecia, kiedy kraj załapały trzy potopy. W 1657 r. miasteczko i klasztor zostały zniszczone przez wojska księcia Jerzego II Rakoczego; złupiony został skarbiec, spalono archiwum i budynki konwentu. Cysterscy mnisi rozpoczęli jednak powolną odbudowę, która trwała praktycznie do końca stulecia. W kościele dobudowano chór, kruchtę, zbudowano kaplicę błogosławionego kronikarza Wincentego Kadłubka, ozdobiono klasztor barokowymi ornamentami. Niestety, po upadku I Rzeczypospolitej nadszedł kres także tego opactwa. W 1819 r. na mocy bulli papieża Piusa VII dokonano jego kasaty, a wszystkie dobra przejął rząd Królestwa Polskiego. Zabudowania zaczęły wówczas popadać w ruinę.

W 1863 r. Wąchock stał się przez pewien czas nieformalną stolicą powstania styczniowego, gdyż Marian Langiewicz przeprowadził tutaj koncentrację oddziałów powstańczych, które uzbrajano w kosi i pałasze produkowane w miejscowej fabryczce. Stąd właśnie dyktator rozsyłał odezwy do ludności i zgromadził ok. 1,4 tys. powstańców. 3 lutego stoczył zwycięską bitwę o miasteczko, w której pokonał Moskali. Później jednak wycofał się, zakładając dwa obozy – jeden w klasztorze na św. Krzyżu, a drugi w Nowej Słupi.

W 1887 r. zabudowania klasztoru stały się własnością parafii w Wąchocku, która rozpoczęła remonty opuszczonych i zaniedbanych obiektów. Niestety, zmieniono wówczas unikalne barokowe zdobienia konwentu. Cystersi powrócili do klasztoru dopiero w 1951 r. i działają tutaj do dziś. ©©



PKS QBA

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK
I ANNA POPEK Z D. CHRUIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Czas
oczyszczenia

Nie zmarnujmy Wielkiego Postu. Wykorzystajmy ten czas na oczyszczenie organizmu. Zarówno z tego, co zaśmieca umysł – każdy sam musi sobie odpowiedzieć, co to jest – jak i z tego, co szkodzi ciału. Za oczyszczenie naszego organizmu odpowiadają wątroba i nerki. Wątroba metabolizuje toksyny, nerki dbają o to, by usunąć je jak najszybciej na zewnątrz. Nasz znajomy lekarz zajmujący się uzależnieniami mówił, że gdy przychodzi pacjent z uzależnieniem alkoholowym, nie rozpoczyna terapii dopóty, dopóki przez 10 dni pacjent nie powstrzyma się od spożywania alkoholu. Dopiero po 10 dniach reakcje na leki i na pracę terapeutyczną mogą być niezakłócone krążącymi w organizmie toksynami. Alkohol w istotny sposób wpływa też na mózg, przyczyniając się do jego szybszej degeneracji. Inny nasz znajomy – neurochirurg – mówił, że istnieje ścisła zależność pomiędzy alkoholem a chorobami takimi jak Alzheimer czy Parkinson. Dlatego w ramach oczyszczenia i Wielkiego Postu serdecznie rekomendujemy odstawienie alkoholu. Co ponadto? Codziennie trzeba pić wodę: 30 ml na każdy kilogram masy ciała, czyli osoba ważąca 70 kg powinna wypijać ponad dwa litry. Do codziennych zwyczajów powinno też wejść picie naparów ziołowych. Działanie oczyszczające mają te z pokrzywy, rumianku, ostropestu plamistego i czystka. Nie są może tak smaczne jak czerwone wino, ale trudno – coś za coś.

Co jeść?
Dietetycy radzą, żeby na ten czas zrezygnować z wieprzowiny, tłustych wędlin



i kiełbas – one obciążają wątrobę. Za to można jeść ryby oraz drób: kaczka, kurczak, gęś – pieczone będą i smaczne, i zdrowe. Wątroba regeneruje się dość szybko, ale trzeba dać jej szansę. Co jeszcze?

Bardzo dobre działanie oczyszczające mają buraki – zawierają witaminy A, B, C oraz żelazo – przydatne nam zawsze, a o tej porze roku szczególnie. Buraki skutecznie usuwają szkodliwe złoże z jelit.

Dodatek żurawiny – albo w formie suszonej, albo kompotu z mrożonych owoców – także dobrze wpływa na oczyszczanie, poza tym żurawina usuwa bakterie z układu moczowego, więc przy infekcjach jest bardzo wskazana.

Co zatem proponujemy?

Kotleciki z dorsza
z buraczkami

- 400 g fileta z dorsza bez skóry
- 1 kajzerka • jajko • 1 łyżeczka suszonego koperku • sól, pieprz
- 4–5 kropli soku z cytryny

Filety umyć i wyciągnąć ości, jeśli są. Następnie zmielić. Kajzerkę namoczyć w wodzie; kiedy zmięknie, odcisnąć i dodać do ryby. Wbić jajko, dodać przyprawę i sok z cytryny. Wszystko razem wymieszać i wyrabiać ręką dłuższą chwilę, tak żeby masa była gładka. Następnie uformować kotlety i obtaczać je w bułce tartej. Na patelni rozgrzać olej. Smażyć kotlety po kilka minut

z każdej strony na niewielkim ogniu. Do tego tarte bu-raczki zasmażane na oliwie z oliwek albo na maśle. Smacznego! ☺☺



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Wojna i miłość
nad Berezyną

Autor tej wspaniałej książki pisał ją na emigracji w Argentynie, gdzie do końca życia – a zmarł w 1964 r. – pracował jako robotnik w rzeźni.

O „Nadberezyńcach” Floriana Czarnyszewicza dowiedziałam się przypadkiem od znajomej na Facebooku – dziękuję, Liliano Sonik!

I okazało się nawet, że mamy ją w domu, a jeden z synów ją przeczytał.

Mnie zachwyciła, podobnie jak wcześniej Czesława Miłosza („Wystarczyło jednej strony, ażeby uległ wpływowi tego narkotyku i przeczytał dużym tchem 577 stron jednego formatu”) oraz Marię i Józefa Czapskich („Płakaliśmy z Marynią jak osły”).

W moim wydaniu „Nadberezyńców” (Arcana 2010) stron jest 640, trzy tomy w jednym. Niemożliwe do przeczytania w jedną noc, nie tylko z powodu rozmiaru. Jest tu – i myślę, że dla każdego czytającego to współcześnie – trudność leksykalna. Dialogi są pisane mieszkanką gwary, języka białoruskiego, polskiego. Pełno w nich rusycyzmów. Większość trudnych słów wydawca tłumaczy, jednak nie umniejsza to trudności lektury.

Dla Miłosza i rodzeństwa Czapskich zarówno miejsce – ziemie białoruskie nad Berezyną i górnym Dnieprem – jak i czas – lata 1911–1920 – były bliskie geograficznie i kulturowo. Oni urodzili się i wychowali na tyle blisko, żeby rozumieć tamte sprawy. Historia

toczyła się na ich oczach, tak jak dla Czarnyszewicza.

W tej książce jest wszystko, czego potrzebuje wielkoformatowa XIX-wieczna powieść: wojna, historia, miłość, ojczyzna, szlachetny bohater i paru szwarczarakterów. Porównywać „Nadberezyńców” do „Wojny i pokoju”? Nie jest bez sensu.

Salonów brak, bo dzieje się w ubogich szlacheckich zaściankach zatopionych w białoruskich kniejach. Pomijając dialekty, cóż to za język! Cudowne opisy przyrody.

Trudno nie wspomnieć o Gombrowiczu, bo przecież obaj, prawie równiecy (Gombrowicz urodzony w roku 1904, o cztery lata młodszy od Czarnyszewicza), przebywali w Argentynie w tym samym czasie. Podobno Gombrowicz przeczytał „Nadberezyńców” (książka wyszła w 1942 r. w Buenos Aires), jednak trudno o bardziej odległe wizje świata niż tych dwóch panów. Z jednej strony Czarnyszewicz patriotyczny, religijny, oddany idei narodu i polskości opartej na chrześcijaństwie. Całkiem niemodny w XX w.

Za to w Gombrowiczu ironicznym, ośmieszającym zaściankowy patriotyzm było wszystko, czego ówczesne salony literackie potrzebowały. Antykomunizm i nienawiść do Niemców Czarnyszewicza wydawały się anachroniczne i nie na miejscu. Dziś jestem po stronie niesłusznie zapomnianych i szczęśliwie odnalezionych. ☺☺



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Globalistyczny globus

Jak się świat zmienia, to mapy się mieszają. Trzeba więc uważnie je rozczytywać, bo motywacje działań poszczególnych państw stają się wtedy jaśniejsze. Zaczniemy od globusa. Wydaje się, że mamy obecnie zmianę świata na podzielony na dwa obozy – globalistyczny i antyglobalistyczny. Chodzi tu nie tyle o globalną gospodarkę, ile o projekt polityczny – potwierdzany i planowany co roku w Davos. To tam zjeżdżają się moiżni tego świata i z listy obecności wynika, kto należy do klasy. Panów. Zdeklarowanym celem globalistów jest powstanie rządu światowego, depopulacja, deindustrializacja i likwidacja państw narodowych.

Do tej pory było dość ciasno, kiedy za globalistyczne ręce trzymała się Europa z USA, a trzeba wiedzieć, że globaliści też mają swoje „przedstawicielstwa” w różnych rejonach globusa. Teraz, kiedy USA odjechały z tego przystanku, można już zobaczyć globalistyczną wersję w formacie minimum. Jej narzędnikiem jest Unia Europejska, ale nie tylko. To, że projekt się dzięki Trumpowi „skurczył”, daje nam łatwiejsze narzędzia do jego analizy. Wychodzi z tego, że Trump jest przeciwko globalistom, a także... Putin, co tłumaczy w pewnym sensie nagłą przyjaźń obu panów przy takiej jedności celów. Chiny patrzą na globalizm tylko pod względem gospodar-

czym, a jako że – jak kiedyś USA – ciągną rentę z gospodarczego prymatu, są raczej za światowym pokojem obserwowanym ze wzgórz.

Teraz globaliści – to Unia Europejska, oczywiście bez wyklętych Węgrów i Słowaków. Ale – co ważne – dochodzi do tego imperium brytyjskie. Widać bowiem, że mimo brexitu agendy globalistycznej tam nie zarzucono. Ba, w członkach Commonwealthu na innych kontynentach (Kanada, Australia) widać ostre trzymanie się kursu na globalizm. Interesująca jest sytuacja w Rumunii – tam globaliści, ewidentnie kojarzący demokrację z systemem, w którym tylko „nasi” wygrywają, właśnie nie dopuścili najpopularniejszego kandydata do wyborów. Ciekawe, jak na taki numer zareaguje Waszyngton, bo wiceprezydent Vance już się wygrażał w Monachium, że tak się nie będziemy bawili.

A gdzie my w tym wszystkim? Obecnie w obozie globalistów, choć i za poprzedniej władzy – która mówiła Kaczyńskim co innego, a Morawieckim co innego, podpisywała w wszystkich globalistyczne kwity – było podobnie. Najgorsze (najlepsze?), że Kaczyński tęskniący za amerykańskim patronem będzie musiał teraz przełknąć pośrednią miłość do... Putina. Wszak Putin też jest antyglobalistą. Ciekawe, czy jest nim Kaczyński, ale ten chyba sam tego nie wie. ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

TSUE broni lekarzy

W czasie, gdy w Polsce ciągle toczą się postępowania wobec lekarzy, którzy w latach 2020–2021 podpisali apele do władz RP krytykujące pandemiczną politykę rządu, Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej wydał orzeczenie, które powinno unieważnić wszystkie toczące się procesy.

30 stycznia 2025 r. TSUE wydał wyrok w sprawie dotyczącej Giovanniego Frajesego, lekarza z Włoch, skarżącego Komisję Europejską. Włoch zabiegał, by Komisja Europejska cofnęła dopuszczenie do obrotu szczepionek Spikevax (Moderna) i Comirnaty (Pfizer/BioNTech). Frajese argumentował, że decyzje KE wpłynęły na jego praktykę zawodową, narażając go na potencjalną odpowiedzialność za skutki uboczne u pacjentów.

Nie wdając się w szczegóły tego konkretnego postępowania, tym, co stanowi przełom, jest potwierdzenie przez TSUE indywidualnej odpowiedzialności lekarza za podawanie szczepionki. Trybunał orzekł, że samo dopuszczenie do obrotu przez Europejską Agencję Leków (EMA) produktu nie jest równoznaczne z zobowiązaniem lekarzy do podawania szczepionek. Lekarz w oparciu o swoją wiedzę, biorąc pod uwagę indywidualny przypadek pacjenta, jeśli żywił wątpliwości co do zasadności aplikowania preparatu lub obawy przed

powikłaniami, które mogły wywołać szczepienie Spikevax lub Comirnaty, miał prawo nie zalecać pacjentowi poddania się immunizacji. Orzeczenie potwierdza autonomię lekarza co do oceny skutków szczepień wynikającą z etycznego obowiązku ochrony zdrowia swojego pacjenta. Z tego orzeczenia wynika zatem indywidualna, cywilna i karna odpowiedzialność lekarza, której nie uchyla samo istnienie zezwoleń wydanych przez EMA. Tu trzeba dodać, że producenci szczepionek zostali zwolnieni z odpowiedzialności za potencjalne skutki uboczne, przenosząc wszelkie ewentualne roszczenia prawne poszkodowanych pacjentów na państwo.

Wygląda na to, że wyrok TSUE pozwala pacjentom lub ich rodzinom dochodzić w procesach cywilnych odszkodowań, tym razem już nie tyle od państwa (co wcale nie jest proste), ile od lekarzy, którzy aplikowali szczepienia. Zgodnie z logiką orzeczenie także potwierdza, że lekarze sceptyczni wobec szczepień, którym cofnięto uprawnienia – m.in. dr Anna Martynowska, dr Dorota Sienkiewicz, dr Zbigniew Martyka i inni – mieli rację i powinni odzyskać prawo wykonywania zawodu. Ale nie tylko. Powinni wszcząć postępowania wobec izb lekarskich i działających przy nich sądów o odszkodowania za utracone dobre imię i utracone zarobki. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Z buziami przy rządzie

Jest sobie taki Wojciech Sadurski, profesor prawa. Stop. Wszystko o nim można powiedzieć, ale nie to, że jest bezstronny czy że fakty i prawo stawia ponad politykę, co to, to nie. Stop. Jego wygibasy prawne dostarczające dużo uciechy – kiedy np. Komisja Wenecka przestaje mu się nagle podobać, bo mówi ona, że żadnych neosędziów nie ma – przechodzą już do legendy prawników na „Napisze mi pan opinię?”. Stop. I znów Sadurski kwiatuśzek: Tusk, którego nasz profesor, zdaje się, wielbi, pojechał do Turcji, gdzie spotkał się z Erdoğanem. Stop. I tu wpis Sadurskiego z mediów społecznościowych: „Wielu moich kolegów, koleżanek po fachu gnije w więzieniach w Turcji. Polski prezydent cieszy się na widok ich kata, ani słowa o więźniach politycznych nie wykrztusi. »Za Wolność Waszą i Naszą« była taka maksyma. Wstydzę się. To nie jest mój prezydent”. Stop. To oczywiście Sadurski pisał o prezydencie Dudzie, którego nie znosi, kiedy jednak z Erdoğanem spotyka się Tusk i jeszcze się ten Tusk uśmiecha i Erdoğanowi dziękuje, i Erdoğan o parę rzeczy prosi, wtedy nasz dzielny Sadurski zapomina o kolegach i koleżankach za kratami i o wstydzie też. Stop. Taki, jak by go określić... Sadurski.

Przed tą historią należy zacytować Elżbietę Bieńkowską związaną z Platformą Obywatelską: „Ale jaja, ale jaja”. Stop. Błysnąć chciał wi-

cepremier z Lewicy Krzysztof Gawkowski i ogłosił: „Ogromny sukces, będzie podatek dla cyfrowych gigantów! Big techy, które przez lata czerpały ogromne zyski z danych i pracy polskich użytkowników, w końcu zapłacą sprawiedliwe podatki!”. Stop. Zapal nieco ostudził ambasador USA w Polsce Thomas Rose, pisząc, że Ameryka w takim przypadku to raczej też coś podniesie i się chyba nie opłaci. Stop. Wtedy na scenę weszło dwóch katów Gawkowskiego, minister finansów Domański, który stwierdził, że nikt nad tym podatkiem nie pracuje, a potem Gawkowskiego publicznie wyśmiał Tusk, mówiąc, że ten podatek będzie albo go nie będzie. Stop. I tak oto ogromny sukces zdechł spektakularnie na naszych oczach, a wicepremier po bolesnym klapsie dochodzi do siebie w zacinzu.

I znów piękną mamy historię ludowców z buziami przy rządzie! Stop. Otóż – jak wyciągnęła Wirtualna Polska – niejaki Zbigniew Ziejewski z PSL, wiceminister w Ministerstwie Aktywów Państwowych, ma na koncie wyroki posługiwania się fałszywymi fakturami i działanie na szkodę spółki. Stop. Jak się okazuje, jako wiceminister ma pośrednio tą właśnie spółką zarządzać, co jednak nawet jak na standardy PSL trąci klejącą się perwersją. Stop. Jak pamiętamy, już Włodzimierz Lenin pisał: „Kadry decydują o wszystkim”. ©©

DARIUSZ
WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Do góry nogami

Uchwalone niedawno w polskim Sejmie przepisy dotyczące tzw. mowy nienawiści będą w polskich mediach zrozumiałe kontrowersje. Środowiska konserwatywne słusznie widzą w nich zagrożenie dla zasady wolności słowa i furtkę, przez którą lewicowi globaliści wprowadzić mogą cenzurę i wymierzone w przeciwników politycznych represje. Czy z forsowanych dziś przez ateistyczną lewicę praw nie dałoby się jednak wyciągnąć społecznego pożytku?

Położona na antypodach Indonezja – z przypominającą polską czerwono-białą flagą – zasługuje w tym względzie na uwagę. Indonezyjska opinia publiczna ze zrozumieniem, a nawet satysfakcją, przyjęła do wiadomości niedawny wyrok sądu z tropikalnej wyspy Sumatra. Na trzy lata więzienia skazany tam został transwestyta imieniem Ratu Thalisa. Podając się za kobietę mężczyzna jest indonezyjską gwiazdką TikToka, obserwowaną przez 400 tys. „followersów”. W nagraniu przez siebie programie wykorzystał on wizerunek Jezusa, któremu udzielać zaczął rad dotyczących fryzury i zarostu. W opinii tiktokera Jezus według tradycyjnej ikonografii „nie miał wyglądać jak mężczyzna”. Indonezyjscy chrześcijanie oskarżyli biegłego w sztuce fryzjerskiej transwestytę o bluźnierstwo. Sąd uznał ich argumenty za słuszne.

Indonezja jest krajem w większości muzułmańskim, zamieszkanym jednak przez liczne mniejszości religijne. Na Jawie, Celebesie i Flores spotkać można miliony katolików i protestantów, na Bali – hinduistów. W przeszłości dochodziło w Indonezji do licznych konfliktów religijnych, dlatego władze szczególnie wyczulone są na wszelkie prowokacje mogące spowodować zamieszki. Sąd skazujący Ratu Thalisa na karę więzienia uznał wypowiedziane przez niego bluźnierstwa za zagrożenie dla porządku publicznego i „harmonii religijnej”. Sumatra, na której zapadł ten wyrok, jest wyspą niemal jednolicie muzułmańską. Od decyzji sądu odwołał się prokurator, żądając dla oskarżonego kary pięcioletniego więzienia. Zrobiła to także obrona, wspierana przez Amnesty International.

Wygłąda na to, że zakaz „mowy nienawiści” może być także wykorzystany z dobrym skutkiem, dla społecznego pożytku. Byłoby dość niezwykle, gdyby europejscy chrześcijanie uczyć się tego mieli na przykładzie państwa muzułmańskiego, dbającego jednak o harmonię wśród swoich obywateli.

Postępującemu w cywilizacji Zachodu rozpadowi towarzyszy degeneracja zideologizowanego sądownictwa. Czyżby tylko na antypodach walka z „mową nienawiści” zachować miała swój rzeczywisty cel i sens? ©©



WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Sztuczna półinteligencja

Sztuczna inteligencja” Kai-fu Lee i Chen Qiufana nasuwa myśl o tym, czym może być sztuczna inteligencja i w czym jest ona różna od prawdziwej natury człowieka. Opowiadanka Chen Qiufana dają bardzo wiele do myślenia. Pozwalają zrozumieć, czym jest „uczenie głębokie” w odróżnieniu od prostego gromadzenia danych, a także jak skomplikowane są „funkcje celu” umysłu człowieka. Urządzenia AI mają funkcje celu zaprojektowane tak, by spełniać te cele najlepiej, ale są one jeszcze na ogół proste, podczas gdy w ludzkiej świadomości zachodzi znacznie więcej skomplikowanych procesów z dziedziny rozumu, woli i uczuć.

postępowaniem, od tych, które kierują zachowaniem urządzeń AI. Mało tego, ograniczając edukację i wychowanie do poziomu prostych komunikatów, czynią ogromną krzywdę młodemu pokoleniu, które może okazać się przez to bezradne wobec poziomu umiejętności tych maszynek. Wychowają bowiem sztuczną półinteligencję. Jeśli pokolenie to ma sobie radzić w świecie AI, to musi rozwijać swoją głęboką pamięć szybciej niż maszyny.

Zapytać można, czego może pod tym względem nauczyć się dzisiejszy uczeń, czytając „Pana Tadeusza”. Jeśli „funkcją celu” tej lektury ma być osiągnięcie korzyści w postaci dobrego stopnia, to uczeń słusznie odrzuci

Nie oszukujmy się: lektura „Pana Tadeusza” nie będzie dla młodego człowieka A.D. 2025 łatwa. „Litwo, ojczyzno moja” zaczyna Mickiewicz i od razu mamy problem: Dlaczego autor mówi o Litwie po polsku? Przecież tam się chyba mówi po litewsku. Mickiewicz Litwę stracił, ale czemu i dlaczego już wtedy, to znaczy gdzieś w połowie XIX w.? Zwoje mózgowie muszą popracować. „Panno Święta, co Ostrej bronisz Bramy”. Chyba nie chodzi o Częstochowę, ale o Wilno? „Dwukonną bryką wjechał młody panek”. Nie miał bardziej nowoczesnej „bryki”? Hybrydy jakiejś? Trudno sobie wyobrazić, jak ludzie byli wtedy zależni od koni! Tych na czterech nogach, a nie mechanicznych! A ta dziewczyna w ogrodzie nie w legginsach, tylko w jakiejś sukieneczce. Ciekawe, czy takie można zobaczyć na fejsie? Zawstydziła się. A to czemu? Sędzia i Wojski – czemu z dużych liter? Co to za faceci byli? Tadeusz rękę stryja w „kontuszu” całuje na powitanie? Co to za zwyczaj? Czy ja bym się tam potrafił znaleźć? I który to w ogóle rok? Chyba 1812. To co się tam działo? A Rusczy gdzie, że ich mało widać?

Dobry, choć trudny tekst wciąż i prowokuje do szukania odpowiedzi, prowokuje wyobraźnię po to, by zrozumieć, jak różne były i są ludzkie losy, choć motywy działania nieraz podobne: dążenie do wolności, próżność, miłość, wizerunek, lojalność wobec rodziny i ojczyzny. Chyba że pozwolił się młodemu czytelnikowi zadowalać prostymi komunikatami i – jak chcą tego panie z obecnego Ministerstwa Edukacji – zamiast głowy ćwiczyć środkowe partie organizmu. Nie dajmy tym paniom hodować sztucznej półinteligencji. ©©

Panie kierujące obecnym Ministerstwem Edukacji zupełnie nie rozumieją, czym różni się ludzka świadomość od zaprogramowanej maszynki AI i czemu mają służyć edukacja i wychowanie

Paniom kierującym obecnym Ministerstwem Edukacji wydaje się, że są nowoczesne, gdy kasują takie lektury jak „Pan Tadeusz”, bo one rzekomo dzisiejszemu uczniowi nie są potrzebne. Uważają one, że czytanie dłuższych tekstów pisanych w innej niż dziś stylistyce jest zawracaniem głowy, bo nie pozwala na szybkie i skuteczne przyswajanie potrzebnej dziś wiedzy. Panie te zupełnie nie rozumieją, czym różni się ludzka świadomość od zaprogramowanej maszynki AI i czemu mają służyć edukacja i wychowanie. Opowiadanka Chen Qiufana pokazują znakomicie, jak bardzo są nasze kierowniczki edukacji w błędzie, a także o ile bardziej skomplikowane są impulsy, które kierują ludzkim

tę lekturę, bo ona mu niewiele da podczas prostego testu. Jeśli jednak przezwycięży naturalne lenistwo lub bunt przeciw nakazom i zacznie rozplątywać, o co chodziło autorowi, to przezwycięży różne pokłady „głębokiej pamięci”, w których człowiek trzyma takie motywacje lub psychiczne ograniczenia, jak ciekawość, wyobraźnia, zdolność do kojarzenia, próżność, marzenia, korzyść, wstępną, irracjonalną lęk, racjonalność, nudę, pragnienie bliskości, bezpieczeństwo, pokorę, niechęć, libido, konieczność poświęceń, pychę, lojalność i wiele innych, nierzadko sprzecznych, jak duma i wstyd czy odwaga oraz lęk przed śmiercią.

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Umizgi Trumpa do Putina oceniane są w Polsce jako niesmaczne. Podobnie niesmaczne były umizgi Donalda Tuska do Putina na molo w Sopocie i z trybuny sejmowej. A po katastrofie smoleńskiej Tusk to się nawet fizycznie przytulał do Putina, co wykracza poza kategorię „niesmaczne” i jest obrzydliwe. Rozumiem więc i podzielam powszechne zniesmaczenie wobec umizgów.

Dostaję żądania, bym wytłumaczył Trumpa lub go ostro potępił. Cytuję przykładowy list:

„To niech mi pan teraz powie, czy czujesz się pan jak krety, widząc umizgi pańskiego idola – Trumpa – do Putina? Ja wiem, że pewnie zrobi pan wykret, że Trump działa w imieniu USA, a nie Polski. Chociaż ja nadal nie widzę w tym wszystkim amerykańskiego interesu. Ronald Reagan się w grobie przewraca, że jeden z jego republikańskich następców kręci interesy z byłym KGB-istą”.

Ronald Reagan się w grobie nie przewraca, bo sam czynił umizgi do niejakiego Gorbaczowa. I to kolosalne! Wspólne wycieczki, żony obu panów chodziły razem na zakupy, a potem kolacyjki, obiady – wielka przyjaźń. Michał Gorbaczow sam KGB-istą nie był, ale był protegowanym szefa KGB Jurija Andropowa, czyli kimś gorszym niż Putin. Andropow wsadził Gorbaczowa do Komitetu Centralnego Partii Komunistycznej, a potem do politbiura. Putin był w KGB oficerem, Gorbaczow protegowanym szefa. W czasach Reagana w Polsce panował komunizm i dopingo-



FOT. W. CEJROWSKI / LUDYJADISLAW SIOSEK

waliśmy Reagana. Większość Polaków uważała, że umizgi do Gorbaczowa to gra dyplomatyczna i ogólnie dobrze, że rozmawiają i się dogadują. Teraz, gdy podobne rzeczy robi Trump, odbieramy to inaczej. Chociaż przecież Melania nie chodzi na zakupy z żoną Putina i nie ma mowy o żadnych kawkach i obiadkach.

Kto tam jeszcze z wielkich amerykańskich prezydentów czynił obrzydliwe umizgi do ruskiego bandyty? F.D. Roosevelt przesiadywał ze Stalinem, który od Gorbaczowa i Putina gorszy był po tysiącokroć. Stalin to obozy śmierci, tortury, masowe egzekucje. A Roosevelt Stalinowi rękę podawał, kawka, papieroski, pogaduszki, kolacyjki. Umizgi i handel całymi krajami.

Nie czuję się jak krety, widząc, co wyprawia Trump, bo nie mam złudzeń. Lubię jego styl, ale to nie ma znaczenia. Podoba mi się skuteczność w zwalczaniu biurokracji. Podoba mi się jego program wyborczy, ale to wszystko nie ma znaczenia w kontekście Polski. Liczy się tylko to: Stany Zjednoczone sprzedały Polskę w Jałcie i zrobią to ponownie, gdy tylko będzie to leżało w interesie USA. Po drugiej wojnie światowej Ameryka oceniła, że woli szybki pokój ze Stalinem niż kolejną wojnę o Polskę i inne kraje oddane w Jałcie.

Sprzedadzą nas po raz kolejny, jeśli uznają to za swój interes. Trump czy Biden, czy ktokolwiek inny. Sojusze

nie mają znaczenia, jeżeli nie ma się jakiejś własnej siły. I gwarancje międzynarodowe (np. te, które dostała Ukraina, gdy oddawała Roskom broń nuklearną) też są nic niewarte, jeżeli nie ma się jakiejś własnej siły. Polska nie ma siły wcale. Ukraina ma niewiele.

Przed drugą wojną światową Polska miała gwarancje międzynarodowe Anglii i Francji. I co? Wystawili nas, sprzedali, a my dzisiaj utrzymujemy z nimi przyjazne stosunki sojusznicze, prawda? Zdradzili nas, nigdy za to nie przeprosili, a Brytole jeszcze zabrali sobie część naszego złota zdeponowanego w ich banku przez rząd II RP, bo... kazali sobie płacić za mundury, szkolenie i wyżywienie oraz za sprzęt, którym posługiwała się polska armia walcząca pod ich dowództwem, np. Dywizjon 303.

Ogólnie należy więc pamiętać, że żadne sojusze ani gwarancje nie są wiele warte, jeżeli państwo nie ma własnej siły. Mnie się Trump podoba, ale jednocześnie wiem, że sprzedaje Polskę, gdy uzna, że to leży w interesie USA. I tak powinni myśleć o tej sprawie polscy politycy – że niezależnie od naszych zasług może nas sprzedać każdy sojusznik.

Trump i Putin... Cóż, może się nam to wydawać niesmaczne, że się dogadują, ale od tego są politycy, by pływać w szambie w interesie swojego narodu. Proszę się zastanowić, co lepsze dla Polski: trzecia wojna światowa o Ukrainę czy

niesmaczne rozmowy Putin – Trump. Ja wolę, żeby się Trump upaprał, stracił honor i wykonywał dowolne umizgi wobec dowolnej osoby w zamian za to, że trzeciej wojny nie będzie. Gdyby to samo robił polski prezydent, toby go za to krytykował z powodów estetycznych. Ale Trump jest dla Polski OBCY, więc mnie to nie przeszkadza, czy się upaprze w kontaktach z Putinem, byleby załatwił pokój. A czy to będzie pokój za cenę Ukrainy? Najprawdopodobniej tak, czyli taki sam, jak pokój za cenę Polski zawarty w Jałcie. Tamten pokój chwaliły sobie kraje położone dalej na zachód niż Polska. Były wdzięczne Ameryce, założyły NATO i miały kilkadziesiąt lat pokoju. Za jaką cenę? Za naszą cenę.

A co z gwarancją poszanowania suwerenności Ukrainy zawartą w memorandum budapeszteńskim z roku 1994? Ukraina oddała wtedy posowiecką broń nuklearną do Rosji i w zamian za to dostała gwarancję integralności terytorialnej. Gwarantami były Stany Zjednoczone, Rosja i Wielka Brytania. Dlaczego Ameryka nie szanuje swoich gwarancji? Jak można ufać Ameryce w innych sprawach, jeżeli nie dotrzymuje tamtej umowy? To proste: memorandum przestało obowiązywać, gdy Rosja zajęła Krym. Trzy państwa udzieliły gwarancji wspólnie. Jedno z nich zerwało umowę, czyli umowa przestała obowiązywać. Ponadto Ukraina miała być państwem bez broni atomowej, więc gdy zgłosiła chęć wstąpienia do NATO, to sama zerwała ustalenia zawarte w memorandum. Członkostwo w NATO oznacza, że na terytorium dowolnego z członków może się pojawić broń nuklearna, np. w ramach wspólnych ćwiczeń. ©

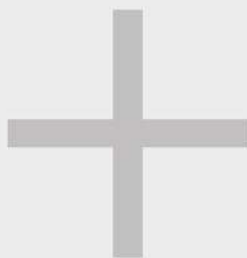
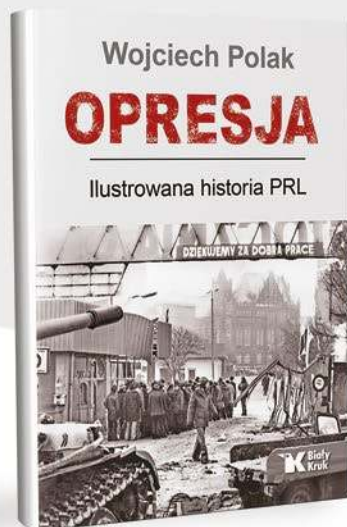
Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

**WOJCIECH POLAK: „OPRESJA.
ILUSTROWANA HISTORIA PRL”**

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~1482~~zł

494,00zł

OSZCZĘDNOŚĆ 988zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 2d04efd129



Dbamy o wartość polskiego pieniądza

Niezależny bank centralny

To polski złoty
– własna waluta
i stabilna gospodarka

To wolność,
jaką daje gotówka
– byś płacił, jak chcesz

To rosnące rezerwy złota
– dla bezpieczeństwa
naszych dzieci



nbp.pl

**Dzięki konstytucyjnej gwarancji niezależności
Narodowy Bank Polski wzmacnia Twoje bezpieczeństwo finansowe.**